Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr Indeksu 36762

- Emigrant
- Bitwa
- Ukrzyżowanie
- Pogoda dla złodziei
- Bomba zapalna w Sali Kongresowej

NUMER 3 (1399) ROK XXVIII 19 STYCZNIA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: Grzegorz Gałasiński

JAN SAWICKI

Łodzi pierwsze dni wolności

Był to chyba najdziwniejszy sylwester w historii naszego miasta: pełen nadziei, a zarazem obaw, 31 grudnia 1944 r. wszyscy Polacy, którzy przeżyli tu w Łodzi — przemianowanej na Litzmannstadt — przeszło pięć długich lat hitlerowskiej okupacji, wiedzieli, że to już na pewno będzie ostatni Nowy Rok w okowach niewoli. Był to niewątpliwie powód do radości. Z drugiej strony jakże świeżo w pamięci wszystkich nas były jeszcze nadzieje, jakie niosły ze sobą miesiące późnego lata, kończącego się właśnie 1944 r., kiedy to zdawało się, iż ofensywa Armii Czerwonej ostatecznie rozbije hitlerowskie kohorty i nie zatrzyma się wcześniej aż nie dopadnie najeźdźcy w jego własnym barłogu. Iluż to łodzian w sierpniu i wrześniu 1944 r., jak tylko na to pozwalał czas i okoliczności, wybiegało na północno-wschodnie krańce miasta — do Łagiewnik, aby przyłożywszy do ziemi ucho wsłuchiwać się w jej dudnienie, będące odgłosami toczącej się tam gdzieś wielkiej bitwy. Niewielu z nas zdawało sobie wówczas sprawę z tego, że są to odgłosy niosącego zniszczenie, a nie wolność naszej Stolicy

POWSTANIA WARSZAWSKIEGO.

Przedwczesny, bez porozumienia z dowództwem radzieckim wywołany wybuch powstania miał pośrednio swój wpływ także na losy innych miast polskich pozostających nadal pod hitlerowską okupacją, w tym szczególnie Łodzi. Ludność naszego miasta liczyła w drugiej połowie 1944 r. niewiele ponad 380 tys. mieszkańców. A przecież w 1939 r. mieszkało tu ponad 700 tysięcy ludzi. 400 tysięcy z nich stanowili Polacy, 240 tys. — Żydzi i około 70 tys. Niemcy oraz inne drobne grupy narodowościowe. W drugiej połowie 1944 r. — po pięciu latach masowych wysiedleń do GG, zsyłek na przymusowe roboty do Reichu i wywózce na śmierć do obozów koncentracyjnych pozostało w Łodzi niespełna 180—200 tys. Polaków, kilka tysięcy Żydów w getcie i ok. 180 tys. Niemców: Volksdeutschów, przesiedleńców niemieckich z republik nadbałtyckich i Wołynia oraz przybyszów z Reichu.

Po wybuchu Powstania Warszawskiego hitlerowcy, obawiając się powstań również na terenach przyłączonych do III Rzeszy, szczególnie w Łodzi, zorganizowali wielkie przymusowe roboty dla Polaków, czyli kopanie okopów. Do tych robót już we wrześniu i następnych miesiącach 1944 r. okupant wywiózł z Łodzi kilkadziesiąt tysięcy młodych Polaków. Niezależnie od tego wzmogła się infiltracja polskich domów nie tylko przez gestapo i policję, ale także przez cywilnych Niemców. Każdy Polak, młody, czy stary, mężczyzna czy kobieta, miał swojego „anioła stróża". Nie można było zrobić kroku, przyjąć osoby nie mieszkającej w danym mieszkaniu, aby o tym nie były zawiadamiane gestapo czy policja. Wywiezienie tysięcy ludzi na okopy utrudniało pracę organizacji podziemnych.

W tym samym czasie zaczęła się ostateczna likwidacja łódzkiego getta. Do Oświęcimia odchodziły stąd ostatnie transporty Żydów. W grudniu 1944 r. pozostało ich już ok. tysiąca, z czego około dwustu młodych ludzi ukrywało się w ruinach i zamaskowanych piwnicach domów. Reszta stanowiła grupę likwidacyjną fabryk, do tej pory pracujących na potrzeby Niemców. Faktycznie getto przestało istnieć!

Jak z tego widać Powstanie Warszawskie miało również duży wpływ na to, co działo się w Łodzi, a przede wszystkim na życie Polaków i Żydów, którzy zdołali przetrwać tu 5 lat hitlerowskiej okupacji, mimo zbrodniczej eksterminacji.

Rozniecone więc w sercach łodzian, w dniach Powstania Warszawskiego i letniej ofensywy radzieckiej, nadzieje na rychłe wyzwolenie w przeddzień nowego 1945 r. mocno przygasły. Zdławienie Powstania Warszawskiego, cisza na froncie wschodnim, powodzenie kontrofensywy hitlerowskiej w Ardenach na froncie zachodnim, liczne powroty Niemców, którzy latem w popłochu opuszczali Łódź, uciekając na zachód w głąb Reichu, w wielu umysłach Polaków budziły niepokój. Zastanawiali się oni nad tym czy na wyzwolenie nie będzie trzeba czekać jeszcze przez wiele miesięcy — do następnej letniej ofensywy radzieckiej? Niemcy łódzcy natomiast nadrabiali miną, a może rzeczywiście wierzyli w „Wunderwaffe", o której mówił Hitler, a która miała przywrócić Wehrmachtowi na wszystkich frontach siłę uderzeniową, jeszcze większą niż w okresie największego jego powodzenia?

Nadburmistrz Litzmannstadtu von Ventzki i szef łódzkiego gestapo — Bratfisch wygłaszali buńczuczne przemówienia, mające krzepić samopoczucie Niemców, a gasić nadzieje nas Polaków. Tym wystąpieniom towarzyszyły liczne zarządzenia, ograniczające i tak prawie żadne już, uprawnienia ludności polskiej, zaostrzające kary wymierzane za najmniejsze nawet przekroczenie okrutnych zarządzeń. Do ostatecznych granic napełniały się coraz to nowymi ofiarami więzienia i obóz śmierci na Radogoszczu. Codziennie odchodziły transporty do obozów koncentracyjnych. Terror dotykał także tych Niemców, którzy ośmielali się wyrażać swe niezadowolenie lub usiłowali nawiązywać współpracę z polskimi organizacjami podziemnymi. Pomnik poświęcony tym Niemcom, wymordowanym przez gestapo w ostatnich dniach, okupacji Łodzi, znajduje się na Cmentarzu Komunalnym na Dołach.

Terror, wywózki na okopy z jednej strony, a usiłowania przeciągania do lojalnej współpracy z okupantem co słabszych Polaków wyższymi przydziałami żywności i lepszą płacą, miały zapewnić spokój i zapobiegać organizowaniu na bezpośrednim zapleczu frontu wschodniego czynnego, zdolnego do uderzenia ruchu oporu.

Nic więc dziwnego, że nowy 1945 rok witaliśmy w Łodzi z pewnością, iż musi on przynieść upragnioną wolność, a jednocześnie z niepewnością co do terminu jej odzyskania: czy będzie ona kwestią dni, tygodni czy też kilku — niezmiernie długich w istniejących warunkach — miesięcy?

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doreczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doreczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 56. P-2

Przegląd prasy

Znane są z przeszłości takie przykłady, kiedy krytyka rozmijała się z gustami publiczności, albo wręcz myliła się w ocenie utworów literackich, malarstwa czy rzeźby, a i innych zjawisk artystycznych. Gdy w 1865 roku Edouard Manet wystawił w Paryżu „Olimpię" nazwano to *„poronioną propagandą prostytucji"* i zarzucano autorowi, iż namalował *„brudną"* kobietę. Różni krytycy widzieli „Olimpię" w różnych kolorach. Jules Cleretie widział ją żółtą, Honore Daumier — czerwoną, a Felix Deriege w trupim kolorze. Obraz zawieszony początkowo na rampie musiano zawiesić wysoko pod sufitem, albo uchronić go przed atakowaniem parasolkami. Dziś „Olimpia" należy do klasyki impresjonizmu i nikogo nie szokuje.

Ale po co szukać tak daleko. Pamiętam wydziwiania na temat wyświetlanego na Zachodzie *„Ostatniego tanga w Paryżu"*. Po latach obejrzeliśmy ten film i... nie było żadnego szoku. Film się zestarzał, czasy się zmieniły. Krytycy wiele utworów ocenili inaczej niż czytelnicy czy odbiorcy. Krytycy na przykład chwalą film, a w kinie pustki. I bywa odwrotnie: krytycy ganią, a kina pełne. Takie „nieporozumienia" zdarzają się też w literaturze. Oto Jerzy Ofierski — popularny

SOŁTYS KIERDZIOŁEK NARZEKA

w *„TYGODNIKU KULTURALNYM"* (nr 2 z 13 stycznia 1985 roku) na to, iż jego monologi zlekceważono i niedoceniono.

„... dopiero po napisaniu dwóch poważnych powieści — powiedział Janowi Piaseckiemu — *zostałem uznany za pisarza, którego można przyjąć do Związku Literatów. Gdy wcześniej złożyłem trzy zbiory Kierdziołkowych monologów, odmówiono mi tego prawa. Mimo to ośmielam się być zdania, że monologi Kierdziołka od strony literackiej nie są tylko czystą rozrywką, ale również pewnym historycznym zapisem naszych zdarzeń."*

Powieść Jerzego Ofierskiego *„Nie było słońca tej wiosny"* doczekała się nie tylko licznych recenzji, a więc uznania krytyki, ale też trwa praca nad jej ekranizacją. Monologów Kierdziołka jest już natomiast sześć tomów i — jak przyznaje Jerzy Ofierski — zebrało się po nich ze dwie trzy recenzje.

Ale, czy recenzje decydują o powodzeniu książki czy też czytelnicy. Są książki bardzo dobrze przez recenzentów ocenione, do których nikt nie zagląda i schlastane, które cieszą się nieustającą popularnością czytelników. A przecież monologi sołtysa Kierdziołka nadal są z przyjemnością słuchane i czytane. Przyznaje to sam Jerzy Ofierski, który opowiada, że nadal podróżuje po kraju, spotyka się z różnymi ludźmi, często zapraszany jest na wieś, gdzie też ludzie śmieją się z przygód sołtysa Kierdziołka.

Jerzy Ofierski uważa, że sołtys jest „niereformowalny" podobnie, jak i same Chłapkowice. Sołtys mówi o sprawach aktualnych, ale bohaterowie monologów znaleźli się jakby poza czasem, nie starzeją się, nie zmieniają. Tylko czasy się zmieniają, a oni te zmiany widzą, reagują na to, komentują, sami pozostając jakby w bezruchu. Taka jest konwencja monologów sołtysa Kierdziołka i czytelnik czy słuchacz godzi się z tym.

Trudno natomiast zgodzić się z zabiegiem „Tu i Teraz" które rozpoczęło publikację cyklu:

„NA MARGINESIE LITERATURY"

W numerze 1 „TU I TERAZ" (z 2 stycznia 1985 roku) ukazała się rozmowa Janusza Atlasa z Joanną Chmielewską. Tytuł: *„Mam to od dziecka"*.

„Wie pani — powiada Janusz Atlas — *że w cyklu „Na marginesie literatury" rozmawiamy z pisarzami bardzo określonego gatunku. Z autorami literatury „wagonowej", jakby gorszej, mało ambitnej — przynajmniej w ocenie krytyki. Równocześnie jednak ciekawi nas, czy ci autorzy przypadkiem nie czują się niedowartościowani, czy czasem nie chcieliby zerwać z przeszłością i zabrać się za pisanie czegoś naprawdę ambitnego? Może właśnie to się teraz Pani przydarzyło i stąd kłopoty wydawnicze?"*

Rzecz w tym, że Joanna Chmielewska napisała powieść *„Dzikie mięso"*, z którą ma kłopoty, bo nikt nie chce jej wydać. *„To jest powieść* — jak sama stwierdza — *historyczna, z okresu międzykartkowego", „jest to kontynuacja „Lesia". „Lesio"* powstał z 10 lat temu *„i były poważne kłopoty z zakwalifikowaniem książki do któregoś z gatunków literatury, bo kryminał to nie jest"*. Krytycy i wydawcy bardzo lubią aby wszystko było poszeregowane i mieściło się w ustalonych już schematach. A tu nagle Joanna Chmielewska, która zresztą też nie pisuje klasycznych kryminałów, tylko takie jakieś do śmiechu, pisze coś, co zupełnie nie mieści się w żadnym schemacie i nie wiadomo jak to zakwalifikować. W końcu wymyślono nowy gatunek: *„groteska realistyczna"*.

Ale wróćmy do pytania Janusza Atlasa, czy Joanna Chmielewska nie czuje się przypadkiem niedowartościowana i nie ma jakowychś ambicji?

„Nic z tych rzeczy — rozczarowuje Janusza Atlasa jego rozmówczyni — *żadnych ambicji! Ja chcę pisać utwory pogodne i rozweselające, a nie psychopatyczne majaczenia na niedostępnym ludzkiemu umysłowi poziomie. Poza tym wcale się nie czuję zdolna do napisania każdej książki."*

Otóż nie podoba mi się zabieg „Tu i Teraz" z tego powodu, że wartościuje pisarzy na „gorszych" i „lepszych" ze względu na uprawiane przez nich gatunki, a nie z powodu jakości i wagi tego co robią. Można być przecież miernym pisarzem z ambicjami i znakomitym w „pogardzanym" gatunku. U nas humoreska, powieść kryminalna, SF, farsa, a nawet komedia są w niskim poważaniu. Anna Lisiecka pyta na przykład w *„Czterech porach roku"* Kazimierza Brusikiewicza, występującego w granej przez „Syrenę" farsie *„Wiele hałasu o pchłę"*: — Czy pan nie wstydzi się grać w farsie? Jest to pytanie co najmniej nietaktowne, zważywszy, że Kazimierz Brusikiewicz jest aktorem „Syreny", a to jest teatr przeznaczony do grania takich między innymi sztuk. Sugeruje to pytanie, że „Syrena" jest podlejszym teatrem, a farsa podlejszym gatunkiem sztuki. Kto nie zagrał w „Hamlecie" albo „Dziadach", ten w ogóle nie powinien nazywać się aktorem. A przecież ludzie też chcą się śmiać. Pragną rozrywki. Że nasi wspaniali twórcy nie potrafią zrobić dobrej komedii, to już zupełnie inna sprawa. Ale — można podejrzewać — bierze się to też i ze stosunku do różnych gatunków. Twórca dramatu — to brzmi dumnie. Twórca komedii — to w ogóle nie brzmi. A który z reżyserów chciałby, aby o nim mówiono z uśmiechem. Niech mówią z powagą i nie chodzą do kina na jego filmy albo na sztuki do teatru. To przydaje chwały cierpiętnika, niezrozumianego, albo co lepiej — tępionego przez koterie i układy. Tymczasem ludzie po prostu potrzebują śmiechu, chcą się śmiać choć czasem im nie jest do śmiechu. Tym bardziej śmiech jest nam potrzebny.

Powinienem tradycyjnie zacząć od spraw poważnych, a sprawy śmiechu i rozrywki zostawić na koniec. Uczyniłem inaczej tylko dlatego, że potrzebę śmiechu i rozrywki uważam za sprawę śmiertelnie poważną i ważną. Wypowiedziawszy się w tej sprawie, mogę teraz przejść do innych. A mianowicie, chciałbym się zająć „Krakowską Kuźnicą" i pokazać na czym polega

RÓŻNICA MIĘDZY „KUŹNICĄ" A „KRAKOWSKĄ KUŹNICĄ"

W „ŻYCIU PARTII" (nr 1 z 2 stycznia 1985 roku) wypowiedział się na ten temat Tadeusz Hołuj.

„Po zmianie w 1981 Kuźnicy jako Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury na Ośrodek Kultury, z całą pewnością wpływ jej na życie polityczno-kulturalne Krakowa znacznie się zmniejszył. Jako stowarzyszenie mieliśmy statut, mogliśmy się wypowiadać „w imieniu", zajmować sprawami ogólnoideowymi, publicznie oświadczać...

Dziś nie jest to stowarzyszenie, proporcja działaczy partyjnych do bezpartyjnych zmieniła się na niekorzyść, odpadło wielkie pole działalności intelektualnej, wewnątrzpartyjnej. Teraz mamy inny typ zainteresowań naszymi imprezami, mają one bardziej charakter „rządowy" niż ideowo-polityczny...

Uważam, że w partii potrzebne są różne, nawet nieformalne ośrodki wymiany myśli pomiędzy organizacjami, ośrodki skupiające ludzi o podobnym światopoglądzie."

Temat „Kuźnicy" i „Kuźnicy Krakowskiej" podejmują w „POLITYCE" (nr 2 z 12 stycznia 1985 roku) Jacek Poprzecz.ko i Jagienka Wilczak w artykule *„Czerwony salon"*. Przypominają oni, że członkami „Kuźnicy" byli lewicowi twórcy i działacze kultury. Przy okazji omawiania dziejów „Kuźnicy" i „Krakowskiej Kuźnicy" pojawia się pytanie: co dziś znaczy termin „lewicowy"?

„Kuźnica" zrodziła się w określonym czasie, *„była szkołą kultury politycznej w czasach, gdy ową kulturę coraz bardziej zaliczano do umiejętności zbytecznych"*. Ale zmieniły się czasy i musiała się zmienić „Kuźnica". Zachował się natomiast lewicowy charakter „Krakowskiej Kuźnicy". *„Przychodzą tu wszyscy ci, którzy subiektywnie poczuwają się do przynależności do obozu lewicy"*.

— *„Jest to lewica* — mówił prof. Marian Stępień — *która pragnie autentycznego rozwoju myśli, która wierzy, że ma ideologiczną i naukową przewagę, która nie boi się myślenia. Rozumie, że minął czas zamknięcia na zdobycze innej myśli że wszystko, co cenne trzeba przyjmować i adaptować. Że możliwy jest taki model socjalizmu, w którym panuje wolność, swoboda myśli i sprawiedliwość, i że w tym jego przewaga."*

A co to jest dziś lewica, co się pod tym pojęciem kryje?

Na pytanie to Stanisław Wiśniewski odpowiedział następująco:

— *„Dla mnie lewicowość to myślenie o postępie społecznym"*.

W krakowskim „ZDANIU" (nr 12 z grudnia 1984 roku) pytanie o to, zadano prof. Stefanowi Żółkiewskiemu. „Zdanie" od dawna przeprowadza rozmowy w cyklu: *„Trzech na jednego"*. Tym razem Zbigniew Bauer, Edward Chudziński i Jerzy Ossowski przepytywali prof. Stefana Żółkiewskiego, a co się dowiedzieli, to opisali. Jedno z pytań brzmiało:

— *„Lewica dziś — co to znaczy?"*

Odpowiedź prof. Stefana Żółkiewskiego:

— *Łatwiej byłoby mi powiedzieć, co na pewno lewicą nie jest. Nie mieszczą się w tym pojęciu odradzające się tendencje nacjonalistyczne. Tym bardziej nie ma nic wspólnego z lewicą odradzający się klerykalizm. Nie godzi się kwestionowanie rewolucyjnych tradycji wolnościowych i realnych osiągnięć socjalizmu. Obca jest lewicy dzisiejsza niezdolność do współżycia i porozumienia z inaczej myślącymi i wieszczącymi, do wspólnej pracy dla lepszego, sprawiedliwego, godniejszego życia dla każdego. Z duchem lewicy nie jest zgodny taki stosunek do kultury, który autentycznym wartościom i działaniom odmawia prawa bytu dlatego, że są dla jednej strony przejawem „kolaboracji" lub — jak twierdzą niektórzy — że prowadzą one do „zamazywania kryteriów politycznych"*.

Tak więc lewicowość — to nie tylko myślenie o postępie społecznym, to również działanie na rzecz tego postępu.

LUCJAN BOGUSZ

Przeprowadzka

Stało się. Pozostawiamy cztery pokoje z kuchnią i łazienką, w których od 1977 roku mieściła się redakcja „Odgłosów". Wrócą one do swojej pierwotnej roli, czyli staną się mieszkaniem. W pokojach tych w domu przy al. Adama Mickiewicza 11 (róg ul. Wólczańskiej, prawa oficyna trzecie piętro) redakcja nasza przeżyła różne chwile — wzniosłe, smutne, tragiczne. Już w obecnym składzie naszego zespołu przeżywaliśmy okres trudny, kiedy gwałtownie spadł nam nakład i radosne, kiedy zaczął piąć się do góry osiągając 43 tysiące egzemplarzy. Oznaczało to, że Czytelnicy nas zaakceptowali, że trafiliśmy w ich zapotrzebowania, że staliśmy się im potrzebni.

Ostatnio znów zmniejszono nam nakład do 30 tysięcy egzemplarzy, co stało się wbrew naszym dążeniom i staraniom. Myśleliśmy o przekroczeniu już na stałe 50 tysięcy egzemplarzy, ale kolejne trudności z papierem spowodowały odroczenie tego starania. **Przepraszamy Czytelników, że znów będą mieli trudności z nabyciem „Odgłosów".** Jak długo te trudności będą trwały, trudno powiedzieć. Wydawca pociesza, że nie powinny trwać długo.

Wróćmy jednak do przeprowadzki. RSW „Prasa — Książka — Ruch" kupiły budynek przy ul. Henryka Sienkiewicza 3/5 — na rogu ul. G. Narutowicza — wieżowiec, na dachu którego znajduje się antena telewizyjna. Stąd budynek ten niesłusznie nazywa się potocznie budynkiem telewizyjnym. Jest to już bydynek prasy i ma tam powstać w przyszłości **centrum prasowo-telewizyjne.** Wprowadzenie się „Odgłosów" jest niejako inauguracją tego centrum. Jeszcze w tym roku do wieżowca wprowadzą się: Krajowa Agencja Wydawnicza, „Karuzela", „Express Ilustrowany" i Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Trwa remont budynku. Przeprowadzany jest niebywale skrupulatnie, za co należą się szczególne, **serdeczne podziękowania ekipom budowalnych, jak też projektantom z „Miastoprojektu".** Prace swoje wykonali bardzo dobrze. Można to uznać za wzorowe wywiązanie się z podjętych zobowiązań. Oby tak było zawsze!

Gorzej przedstawia się los części budynku poziomego od strony ul. H. Sienkiewicza, w której mieści się „Otex" Przedsiębiorstwo to — mimo obietnic Urzędu Miasta Łodzi — nie przeniosło się jeszcze do innego pomieszczenia, które miały mu zaproponować władze UMŁ. W budynku tym pomieści się „Głos Robotniczy" i „Dziennik Łódzki". Stan techniczny budynku przy ul. Piotrkowskiej 96 jest bardzo zły i może grozić to poważnymi następstwami. Wierzymy, że chwilowe trudności zostaną pokonane i idea centrum prasowo-telewizyjnego zostanie w całości — zgodnie z pierwotnymi założeniami — zrealizowana!

„Odgłosy" przenoszą się jako pierwsze, co wynika z programu remontu i zagospodarowywania wieżowca. Można powiedzieć, że przecieramy drogę i zdobywamy doświadczenia dla innych. Zwracamy miastu mieszkanie, co też nie jest bez znaczenia. Będziemy dysponowali lepszymi warunkami pracy i powinno się to uwidocznić w redagowanym przez nas piśmie.

Po trzech pokojach z korytarzykiem na ul. Piotrkowskiej i czterech pokojach z kuchnią i łazienką w al. Mickiewicza otrzymaliśmy wreszcie takie warunki, jakie powinny obowiązywać w każdej redakcji. Można oczywiście robić pismo w jednym pokoju nawet bez kuchni, ale prasa powinna odchodzić od metod XIX-wiecznych i przejmować nowoczesne metody pracy, jakie znane są w wielu krajach świata. Nasza przeprowadzka jest pierwszym krokiem w nowoczesność.

A oto nasz nowy adres:

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY „ODGŁOSY"
ul. Henryka Sienkiewicza 3/5
90—113 ŁÓDŹ

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego — 36-52-44,
— sekretarz redakcji, fotoreporter — 36-80-99,
— publicyści — 36-77-70.

Foto: Grzegorz Gałasiński

Dokończenie ze strony 1

Bo, czy zdołają Rosjanie — zapytywano — dość szybko odbudować łączność i powiązać głębokie zaplecze z frontem? Czy najpierw nie będą likwidować „wiszących" na północy, a zagrażających uderzeniem z flanki wysuniętym na zachód armiom radzieckim, zgrupowań hitlerowskich na Litwie i w Prusach? Czy nie będą w pierwszym rzędzie, ze względów bezpieczeństwa „wyprostowywać" frontów na południu? A to wszystko wymagać będzie przecież długotrwałych operacji!

Tak wyglądało życie

W MOIM MIEŚCIE,

w którym się urodziłem i wyrosłem, w szóstym roku okupacji, widziane z polskiej enklawy śródmieścia Łodzi — z ul. Abramowskiego. Tam właśnie rzuciło mnie ostatnie z kilku, przeżytych w tym czasie, przesiedleń. Każde z nich oznaczało pozostawienie w opuszczonym mieszkaniu wszystkiego co zdołało się w nim zgromadzić w okresie między poprzednim i następnym ewakuowaniem. Na „wyprowadzkę" SS-man z Umsiedlungsamtu dawał 10—15 minut czasu. Przy piątym czy szóstym takim przesiedleniu nie było zbyt wiele rzeczy do zabierania. Tym o czym nie wolno było zapomnieć były:

dokumenty, bez których nie można było wychodzić nawet do podwórkowych ubikacji, bo zamiast do mieszkania można było trafić do gestapowskiej katowni na Ansztadta;

ubranie dla dzieci, no i, o ile się zdążyło spakować i zezwolił na to SS-owiec, trochę jedzenia — jeżeli było i rzeczy osobistych, a przede wszystkim

kartki żywnościowe, brak których oznaczał w Łodzi śmierć głodową.

Summa summarum było tego wszystkiego nie więcej jak 15—20 kg, tj. tyle ile zdołał unieść dorosły człowiek. Z takim bagażem szło się na nowe, wyznaczone przez przesiedlającego miejsce zamieszkania, tj. do czterech brudnych, zarobaczonych pustych ścian. Czasem tylko pozwalano zamieszkać po przesiedleniu u kogoś z rodziny, do kogoś kto chciał się podzielić tym co sam jeszcze posiadał. W takich okolicznościach właśnie, wraz z żoną i dwojgiem maleńkich dzieci wylądowałem w pokoju odstąpionym mi przez starą ciotkę na ul. Abramowskiego. To tutaj właśnie moja starsza córeczka, siedząc na parapecie okna, skąd oglądała witrynę niemieckiej piekarni powiedziała z głębokim westchnieniem, na całe życie pamiętne dla mnie słowa: *„Tak bym zjadła jedną dużą, siuchą bułkę!"*.

Łzy, chociaż nie byłem do nich skory, zakręciły mi się w oczach, bo tej wymarzonej „duziej, siuchej bułki" nie mogłem jej dać. Była ona bowiem „nur fuer Deutsche" — „tylko dla Niemców!".

W takich warunkach witała 1945 rok przytłaczająca większość Polaków w naszym mieście. Jaki więc mógł być ich nastrój, gdy — bliskie zdawało się — wyzwolenie mogło odsunąć się o kilka długich miesięcy?

Nagle, 13 stycznia 1945 r. — była to sobota —

ŻYWIEJ ZABIŁY NASZE SERCA.

Przecieki radiowe, z komunikatów płynących przez głośniki w niemieckich mieszkaniach, informowały o gwałtownych walkach na wiślanych przyczółkach. Mówił o nich również komunikat komendy głównej Wehrmachtu, wywieszany codziennie w oknie filii berlińskiego „Voelkischer Beobachter" przy ul. Piotrkowskiej. *Już wieczorem w sobotę — opowiadali o tym nazajutrz rano Polacy—pracownicy kolei — pociągi opuszczające Łódź w kierunku* zachodnim przepełnione były wszelkiego rodzaju dygnitarzami hitlerowskimi, bogatymi fabrykantami i oficerami. Największe szczury pierwsze opuszczały tonący statek, szukając bezpieczniejszego schronienia w głębi III Rzeszy, wywożąc zrabowane w Łodzi bogactwa i własne, najcenniejsze dla nich, skóry.

15 stycznia także moja pracodawczyni — właścicielka szwalni reperującej wojskowe mundury — pakowała swe rzeczy w wielkie kartony i wysyłała je pocztą, która działała jeszcze normalnie, do Magdeburga. Wieczorem, wraz z mężem, pognała na dworzec i z bogactwem wypracowanym dla niej przez ciemiężonych Polaków, jak tysiące innych jej podobnych, odjechała do Reichu. Był to ostatni cywilny pociąg opuszczający Łódź. Od tej pory wszystkie pociągi podlegały gestapo i wojsku.

Blady strach padł natomiast na rzesze Volksdeutschów. Spotęgował się on do rozmiarów popłochu wieczorem tego i następnego dnia, kiedy to nad Łodzią zahuczały motory dziesiątek radzieckich samolotów, a na niebie zapaliły się tysiące, wolno opuszczających się rakiet oświetlających. Stało się wówczas widno jak w dzień. Niemcy pochowali się w swych mieszkaniach. Żaden z nich nie schodził do bram domów, zastępujących schrony, mimo że z samolotów sypał się na głowy uciekających oddziałów niemieckich grad bomb. Nie odezwała się ani jedna zenitówka niemiecka.

Na podwórka i ulice wylegli natomiast Polacy z radością witający przelatujące nad miastem eskadry radzieckich samolotów.

17 stycznia 1945 r. od rana w komisariacie policji na rogu ul. ul. Sienkiewicza i Abramowskiego ładowano do ciężarówek dokumenty, broń i amunicję. Na środku komisariatowego podwórka rozdygotani policjanci pospiesznie palili stosy papierów, stanowiących dowody ich przestępstw. Jednocześnie do wszystkich przewodniczących Hausratów (niemieckich rad domowych) gońcy doręczali zawiadomienie o mającej nastąpić wieczorem ewakuacji, do której mieli przystąpić także Polacy. Zbiórkę Niemców wyznaczono na dworcach kolejowych, Polaków na obecnym pl. 9 Maja.

Tymczasem przez miasto, z domu do domu, z mieszkania do mieszkania leciała wieść o minowaniu tego właśnie placu przez SS-manów. A więc uciekając usiłowali hitlerowcy dokonać jeszcze jednej potwornej zbrodni: wymordowania wybuchami min spędzonej na plac ludności polskiej. Wieść o tym była dla nas Polaków hasłem do oporu.

A tymczasem na północnym krańcu miasta dokonywała się inna

POTWORNA ZBRODNIA.

Mówiła o niej potężna łuna płonącego budynku obozu koncentracyjnego w Radogoszczu i serie wystrzałów z karabinów maszynowych. To SS-mani — strażnicy tego obozu śmierci rozprawiali się w bestialski sposób z więźniami. Najpierw zapędzili ich na wyższe piętra budynku. Później parter oblali benzyną i podpalili. Pofabryczny gmach o drewnianych stropach płonął jak żagiew, a w nim żywcem płonęli nieszczęśni więźniowie. Kto mógł uciekał na wyższe piętra i dach fabryki. Setki ludzi wyłamały okna, skacząc na ziemię. Kto nie zabił się spadając i usiłował uciekać dobijany był przez SS-manów seriami z karabinów maszynowych. Trzaskający mróz, mimo żaru bijącego od płonącego budynku, przemieniał zabitych w makabryczne, pełne grozy lodowe rzeźby. Nawet Dante nie potrafiłby chyba oddać straszliwego wyrazu tej okrutnej zbrodni.

UCIECZKA DONIKĄD

W środę ok. godz. 20.00 usłyszeliśmy kroki opuszczających swe mieszkania Volksdeutschów. Mimo krzywd, które nam wyrządzili przez długie lata okupacji, nie było w naszych sercach uczucia satysfakcji. Widok płaczących dzieci, szlochających kobiet, ponurych mężczyzn z tobołkami na plecach i walizkami w rękach, dla nas którzy wielokrotnie przeżywaliśmy wysiedlenia, nie stanowił w tym momencie powodu do — jak to dosadnie określają sami Niemcy — Schadenfreude, czyli uciechy z cudzego nieszczęścia, mimo że dotykało ono naszych wrogów. Mieszkania i domy opuszczone przez Niemców ogarnęła śmiertelna cisza. Nikt z odchodzących nie usiłował nawet przypominać nam Polakom o obowiązku udania się na zbiórkę na pl. 9 Maja. Nie zjawili się, aby nas wypędzać — czego obawialiśmy się — SS-mani. Byliśmy przygotowani do stawienia oporu, gdyby ktoś usiłował zmusić nas do wyjścia z domów.

Około północy na korytarzach i w klatkach schodowych usłyszeliśmy znów liczne kroki.

Zaryglowaliśmy drzwi. Przygotowaliśmy siekiery, młotki, haczyki. Gotowi na wszystko najgorsze.

Ale do naszych drzwi nikt się nie dobijał... Nikt nawet nie zapukał....

Wyjrzeliśmy przez okno. To łódzcy Volksdeutsche wracali do swych mieszkań z wędrówki DONIKĄD. Na Dworcu Kaliskim ani żadnym innym nie czekał na nich żaden z zapowiadanych pociągów ewakuacyjnych.

W czwartkowy poranek ulicami miasta przeciągały furmanki okolicznych Bauerów, wypełnione po brzegi wszelkim dobytkiem i przemarzniętymi uciekinierami. Inni „panowie świata" cały majątek zamknięty w walizkach, ciągnęli na saneczkach lub wprost po śniegu, uwiązany na sznurkach...

Piotrkowską, Wólczańską, Pabianicką chyłkiem przemykały grupki żołnierzy niemieckich. Od czasu do czasu z hukiem pędziły pojedyncze samochody pancerne i czołgi. Nie opodal Katedry pozbawiony paliwa czołg załoga wysadziła w powietrze. Wszystkie szyby w okolicznych domach wyleciały z okien.

A Radogoszcz palił się nadal! Przepalone mury waliły się na zwęglone zwłoki więźniów. Tylko dziewięciu cudem nieomal zdołało się ocalić, ukrywając się w zbiornikach z wodą, w opuszczonych przez strażników wieżyczkach i w innych zakamarkach, do których nie dotarł ogień ani kule hitlerowskich morderców. Nikt już tu nie strzelał... Gestapowcy i SS-mani uciekli z miejsca zbrodni. Część z nich jednak, łącznie z komendantem nie uszła zbyt daleko. Dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Ale to już zupełnie inna sprawa.

W czwartek 18 stycznia 1945 r. Łódź była miastem bezpańskim. Hitlerowcy uciekli lub pochowali się. Polacy, jakby ogłuszeni przebiegiem wydarzeń dopiero organizowali się. Podziemne komórki PPR i PPS nawiązywały kontakt między sobą, opracowując lokalne programy działania na najbliższe godziny i dni. W fabrykach polscy robotnicy, majstrowie i jakże nieliczni inżynierowie nie opuszczali miejsc pracy. Pełnili dyżury, pilnując całości maszyn, urządzeń oraz magazynów surowcowych i z gotowymi towarami.

Ani na moment nie przerwała pracy polska załoga elektrowni. Dzięki temu w większości łódzkich domów bez przerwy paliło się światło.

Zaczęły się organizować pierwociny milicji obywatelskiej. Kobiety szyły biało-czerwone opaski na rękawy ochotników-milicjantów.

Niestety czuwali też na stosowną okazję pierwsi szabrownicy. Chociaż nieliczni, wypełzli z ukrycia. Ich ofiarą padały zapasy wielkich magazynów na Chojnach, wiele sklepów i mniejszych zakładów wytwórczych. Pod osłoną nocy przenieśli do swych mieszkań pokaźne ilości artykułów żywnościowych, materiałów włókienniczych i mniejszych maszyn.

Łodzi pierwsze dni wolności

DZIEŃ WYZWOLENIA

O świcie 19 stycznia 1945 r. od strony Wiskitna, Brzezin i Strykowa na ulice Łodzi wtoczyły się z hukiem pierwsze radzieckie czołgi. Na wielu z nich — mimo siarczystego mrozu — jechali, służąc za przewodników, łodzianie wywiezieni przez Niemców na okopy. Tłumy mieszkańców Łodzi wyległy na ulice, serdecznie witając radzieckich żołnierzy.

W sobotę 20 stycznia około godz. 11.00 ulicą Rokicińską, a następnie Główną wjechały samochody z kilkudziesięcioma polskimi oficerami i szeregowymi żołnierzami. Wiwatom na ich cześć nie było końca. Z oczu, nie tylko kobiet, potoczyły się strugi łez. Ludzie zupełnie nie znający się padali sobie w ramiona. Z samochodów rozdawano drukowane jeszcze w Lublinie polskie gazety „Rzeczpospolitą", „Robotnika" i „Głos Ludu". Po przeszło pięciu latach straszliwej okupacji

ŁÓDŹ BYŁA ZNÓW WOLNA

Wśród tak gorąco witanych polskich oficerów i żołnierzy znajdował się syn naszego miasta, robotnik, komunista Ignacy Loga-Sowiński. W sprawozdaniu o sytuacji w Łodzi, przeznaczonym dla KC PPR pisze on m.in.:

„Nie sposób opisać tego co się tu dzieje. Byłem w Lublinie podczas wkraczania Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Byłem także na Pradze. Nie może być żadnego porównania. Tak powszechny entuzjazm spontanicznie zrodzony może tylko wykrzesać stolica polskiego proletariatu — Łódź. (...) Byłem jednym z pierwszych w mundurze polskim. Jak tylko pojawiłem się na ulicy, natychmiast zbiegła się masa ludzi i odwaliłem pierwszą masówkę uliczną. Rzucano mną w górę. Witali entuzjastycznie. (...) Potem odbyłem naradę z urzędnikami magistratu przy ul. Piotrkowskiej 104. (...)Do pracy zgłosili się wszyscy. Przeprowadziłem rozmowy z lekarzami, którzy z miejsca przystąpili do pracy, z pracownikami sądowymi, na czele z mecenasem Pelką, spółdzielcami, kupcami, majstrami fabrycznymi, nauczycielstwem i w końcu z działaczami TUR, związków zawodowych, Stronnictwa Demokratycznego, PPS i PPR".

W poniedziałek, 22 stycznia 1945 r. o godz. 14.00 w hali sportowej przy skrzyżowaniu ulic Worcella i Wólczańskiej, zamienionej później na warsztaty naprawy autobusów, odbyło się pierwsze wielkie zgromadzenie Polaków — mieszkańców Łodzi. Głównym mówcą na nim był Ignacy Loga-Sowiński.

Tegoż dnia odbyło się pierwsze posiedzenie Tymczasowego Zarządu Miejskiego m. Łodzi. Na jego czele — jako prezydent miasta stanął inny, znany w okresie międzywojennym działacz robotniczy, kapitan WP — Kazimierz Witaszewski. Porządek dzienny posiedzenia był obszerny i rzeczowy. Powołano na nim wszystkie niezbędne do działania zarządu miasta wydziały, mianowano ich kierowników, wysłuchano sprawozdań z dotychczasowych poczynań w dziedzinie zabezpieczenia mienia, ilości pracowników już czynnych itd. W podjętych uchwałach zlecono kierownikom: opracowanie budżetów w oparciu o przedwojenną organizację, natychmiastowe podjęcie załatwiania bieżących spraw, szkolenia personelu itd. Ustalono godziny urzędowania od 8 do 15.00. Jedynie sprawę wynagrodzeń pozostawiono do późniejszej decyzji Prezydenta.

Na jednym z dalszych posiedzeń Tymczasowego Zarządu m. Łodzi za najważniejsze sprawy uznano: problemy aprowizacji ludności, kwestię mieszkaniową oraz metody zabezpieczenia mienia.

„Wszystko co pozostało po Niemcach — stwierdził w wygłoszonym przemówieniu programowym prezydent K. Witaszewski — *musi być zabezpieczone jako dobro narodowe. To dobro ma być dla tych, którzy najwięcej ucierpieli podczas okupacji. (...)Żaden Polak nie może być głodny, zwłaszcza polskiemu robotnikowi trzeba dać żywność, skoro wymaga się od niego pracy. Celem sprawiedliwego i racjonalnego podziału żywności pozostawia się system kartkowy".*

A JEDNAK SIĘ KRĘCI

Obawiano się, że uruchomienie życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego po spustoszeniach dokonanych przez okupanta będzie wymagało długotrwałych działań. Tymczasem już trzeciego dnia po wyzwoleniu naszego miasta łódzcy tramwajarze wybrali radę i zarząd przedsiębiorstwa i zameldowali władzom o pełnej gotowości do uruchomienia komunikacji miejskiej. Chwilowo niewielkie ilości węgla w elektrowni nie pozwoliły na to, ale już 26 stycznia pierwsze tramwaje wyjechały na ulicę miasta. W fabrykach Scheiblera i Grohmanna, Poznańskiego, Niciarce, Wimie, Gayera i innych robotnicy, doprowadziwszy do porządku maszyny, wykorzystując niewielkie zapasy surowców — rozpoczynali pracę dla frontu i ludności — jak donosił o tym pierwszy, zredagowany przez niżej podpisanego biuletyn informacyjny Polskiej Agencji Prasowej „Polpress" (tak nazywała się wówczas nasza oficjalna agencja PAP), wywieszony w poniedziałek 22 stycznia 1945 r. w witrynie gmachu przy ul. Piotrkowskiej 133, przydzielonego agencji na siedzibę Centrali, która w najbliższym czasie miała się tu przenieść z Lublina.

Biuletyn ten zawierał poza tym informacje o przybyciu i miejscu urzędowania Pełnomocnika Rządu Tymczasowego, o wielkim zgromadzeniu ludności w hali sportowej i o mianowaniu K. Witaszewskiego Prezydentem m. Łodzi. Najważniejszą wiadomością pozałódzką była, pochodząca z nasłuchu radiowego lubelskiej „Pszczółki" informacja o otoczeniu znacznego zgrupowania hitlerowskiego w Kaliszu i jego okolicy oraz o dalszym szybkim posuwaniu się armii radzieckiej w kierunku na Poznań. Druga wiadomość ogólnej natury mówiła o wyzwoleniu 17 stycznia — Warszawy przez oddziały radzieckie i I Armię Wojska Polskiego.

Ludzie gromadzili się przed witryną PAP „Polpress" czytając z zainteresowaniem te pierwsze informacje z życia miasta i kraju.

W środę, 24 stycznia 1945 r. ukazał się pierwszy numer *„Wolnej Łodzi"*, dziennika, na który mieszkańcy naszego miasta czekali z utęsknieniem przez przeszło długich pięć lat. Składała się ona zaledwie z dwóch stron, ale jej ukazanie się było wielkim przeżyciem dla łodzian. Mówiła bowiem jasno o tym, że — wbrew usiłowaniom i zbrodniom faszystów — życie w mieście rozwija się, że zgodnie z prawami natury nabiera rozmachu.

Nad winietą tytułową „Wolnej Łodzi" zamieszczone hasło głosiło: *„Niech żyje wolna, niepodległa i demokratyczna Polska"*. Artykuł wstępny mówił o tym, że „Wolna Łódź" jest organem wszystkich ludzi pracy w Łodzi — robotników, chłopów i inteligencji, wzywając jednocześnie wszystkich Polaków do obrony mienia narodowego, do tworzenia straży fabrycznej dla ochrony przemysłu, stwierdzając że w rękach ludzi pracy znajduje się sprawa odbudowy kraju. W innym z artykułów gazeta bije na alarm, iż wróg działa. Znalazły się bowiem „elementy", które rzuciły się do grabienia fabryk, składów i pozostawionych bez opieki poniemieckich mieszkań.

W drugim numerze „Wolnej Łodzi", której jednym z pierwszych piszących dziennikarzy był red. Henryk Rudnicki, pisano o konieczności zachowania czujności przed wrogiem, który może usiłować przeniknąć do szeregów pracowników aparatu administracyjnego. Gazeta przestrzegała jednak przed aktami samosądów. O winie i karze może i musi decydować jedynie sąd, działający w majestacie prawa.

W numerze z 26 stycznia „Wolna Łódź" zamieszcza obszerne, wstrząsające sprawozdanie „Nadzwyczajnej Komisji dla zbadania zbrodni niemieckich faszystów w obozie śmierci w Radogoszczu".

Życie miasta szybko nabierało rozmachu. Uruchomiono cztery kina. Wstęp do nich był bezpłatny. W „Bałtyku", „Polonii" i „Przedwiośniu" wyświetlano film „Tęcza" wg powieści W. Wasilewskiej, a w kinie „Wolność" film o Majdanku.

Na 28 stycznia 1945 r. zapowiadano uruchomienie Gazowni Miejskiej. Otwarto też wiele jadłodajni i restauracji spółdzielczych, oferujących tanie posiłki dla pracowników fabryk i urzędów.

WRÓG JESZCZE NIE DOBITY

Gdy po trzech dniach pracy non stop w redakcji PAP „Polpress" wracałem do domu na zapleczu ul. Brzeźnej, w wybudowanych tam przez Niemców schronach przeciwlotniczych toczyła się bezpardonowa bitwa milicjantów, żołnierzy polskich i radzieckich z ukrywającymi się w podziemiach SS-manami, którzy nie zdążyli uciec przed wyzwoleniem Łodzi. Przez dwie doby teren od ul. Piotrkowskiej do Sienkiewicza był zamknięty dla wszelkiego ruchu pieszych i pojazdów. Przez ten czas hitlerowcy bronili się zawzięcie. W końcu jednak udało się ich obezwładnić. Część z nich zginęła, a pozostali dopiero po zużyciu całej amunicji, w większości ranni poddali się. Niestety nie obyło się bez strat ze strony naszych żołnierzy, którzy i tu na zapleczu byli zagrożeni przez wroga, tak jak ci na froncie.

W tym samym czasie ukazały się nad Łodzią trzy samoloty z wrogim hitlerowskim krzyżem na skrzydłach. Nie zdołały jednak wykonać żadnego zadania. Przywitała ich bowiem taka kanonada zenitówek, że hitlerowscy piraci powietrzni jak niepyszni zawrócili odlatując na zachód.

Widok znienawidzonego wroga nad miastem nie przestraszył tłumnie na ulice wyległych łodzian. Przeciwnie. Nikt nie uciekał, nie krył się. Ludzie stawali na chodnikach. Jedni wygrażali zaciśniętymi pięściami, inni głośno wyśmiewali się z uciekających przed niebezpieczeństwem „bohaterów" Luftwaffe, odważnych tylko tam gdzie bezkarnie mogli mordować bezbronną ludność.

Tak wyglądały pierwsze dni wolności Łodzi. Ludność naszego miasta z każdym dniem wzrastająca dzięki powrotom w domowe pielesze łodzian wysiedlonych do GG, z okopów i więzień, a także licznie napływających do Łodzi mieszkańców umęczonej Warszawy, masowo włączała się do pracy dla narodu i walczącego o wyzwolenie wszystkich ziem polskich frontu.

JAN SAWICKI

Bitwa

ROMAN KUBIAK

Gdy parobcy przy krosnach, a wyrostki w szkole
Siła mężnych wylega na bitewne pole:
Pospolitego ruszenia ciągną się szeregi
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi
Jest szwadron kielecki, chorągiew z Brodnicy,
Ciężki pułk wieluński, oddziały z Łęczycy;
Czeladź z Tarnobrzega, galicyjskie chłopy,
Piechota ze Zgierza, cykliści z gminy Chropy.
Z prawej flanki Kutno, po lewo lud drawski.
Środkiem stoi karny regiment żuławski.
Dzielne owe hufce, strudzone wojaki
Noc całą przemierzały nadwiślańskie szlaki.
Zaś u twierdzy posad, więzami braterstwa
Straż przednią zaciąga łódzki kwiat rycerstwa:
Zaprawiony w boju i w życiu tułaczym:
Brzydko zwany hordą najemników—staczy.
Lecz co to: czemuż zbrojnych siła
W kiecki swe ciało przyozdobiła?
Ki diabeł? Podstęp? Widok niepojęty;
Czyliż szkockie są to regimenty?
Nie, nasze to legiony, żaden podstęp nowy.
To armia reglamentacji, czyli białogłowy.
Gorze mi, gorze — toż czasy nastały niewieście:
Mężów jak na lekarstwo, jak rodzynków w cieście.
Czas zacząć: falują rozjuszone zgraje
Naraz, jakoweś poselstwo przed frontem staje:
Odziani w strój błękitny, twardzi niczym skały,
Wznoszą ku niebiosom dwie gumowe pały.
„Mieczy u nas dostatek" — rzecze ktoś z rycerstwa
„Lecz i te weźmiemy jako znak zwycięstwa".
Na to błękitni szturmowe rychtują przyłbice
O naiwni! Nie pomogą nawet dymne świce.
Ruszyli: przodem poszły ciężkie zastępy.
Skruszyli: na mak drobny szklanych wrót ostępy.
Wylewa się z Piotrkowskiej ścieśniona piechota
Długą czarną kolumną, jako lawa błota.
Za nimi tęgich amazonek kupa
Lezie jak robactwo na świeżego trupa,
Zgiełk straszny, trzask łamanych kości;
Hurra! Bij, zabij! Nie masz litości.
Szpicy już nie widać, lecz słychać po dźwięku.
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku.
Przed garmażem sterczą barierki żelazne.
Ale przeszli — zdeptali na miazgę.
Ławą uderzyli, victoria jest bliska;
Mężnie stawia czoła załoga stoiska
Gospodarstwa domowego, gdzie czajniki, garnki;
Na próżno: w jasyr poszły wszystkie zamrażarki.
Patrzajcie, oto szarżuje Jagna wnuczka chana,
Co łapę ma jak noga małego Cygana;
Wali na odlew, krew po ścianach pryska;
Pięć metrów ją dzieli od lady stoiska;
Idzie niczym burza, aż celu dopada nareszcie
I dwieście chwyta łyżek oraz noży dwieście.
Na co Krycha z Bałut, nim dostała w ryja,
Bunt wznieca: „Kobito, toż spekulacyja!"
Prawe skrzydło klinem tnie wraże zastępy:
Rąbie, kopie, tratuje, roznosi na strzępy.
Już są na schodach, słychać ofiar jęki:
To Bronce z Myszkowa rozdeptali szczęki.
Całkiem nowe były — robione w stolicy;
Pal je licho, nie czas żałować drobnicy.
Gdy tam, na górze jeszcze leża stosy
Rajstop, dywanów, rowerów, bamboszy.
Przeto szturm nie słabnie, choć dzielnych ubywa
Patrzajcie jak pięknie sunie ofensywa:
Stu wojów w szyku stoi, męstwo z oczu tryska,
Aż tu z lewej flanki na chama się wciska
Człek jakoweś mały, z brodą na wzór Żyda
Wrzeszcząc: „Przebóg! Jam jest inwalida!"
Tu pierś obnażył, bowiem cnót był wzorem,
Lecz padł usieczon damskim parasolem.
W obuwniczych szańcach zgiełk nie byle jaki,
Bo na odsiecz rzucili rumuńskie kozaki.
Zuch Bartoszowa, w cztery łapy kutal
Czapką nakryła ostatniego buta.
Naraz: celowo czy przez nieuwagę
Dziewiarstwo biała wywiesiło flagę.
Tedy hufce od rzezi odstąpiły żwawo.
Bo tak rycerskie nakazuje prawo.
Tylko grupa Staśka palnęła się w głowę
I rzekła: „Ludzie, toż to pościelowe!"
I pierwsza skoczyła, a za nią zastępy
Ciągną, wyrywają — podarli na strzępy.
Ucichło, lecz wszystkim się zdawało.
Że jeszcze coś rzucą — a to echo grało.
Wtenczas to gromki padł rozkaz: „Kobity,
Idźta do domu — Central zdobyty!"

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Kto i przed czym nas obroni?

TERESA JERZYKOWSKA

(2)

Dawną osobliwością łódzkiej organizacji broniącej interesów konsumentów przed rozmaitymi niebezpieczeństwami i niedogodnościami, wynikającymi ze złych lub też niewłaściwie interpretowanych przepisów, z niewiedzy, lekceważenia drugiej strony, czasem także ze złej woli handlowców, usługodawców, niekiedy również producentów państwowych i prywatnych jest fakt, że nie wchodzi ona w skład ogólnopolskiej Federacji Konsumentów, lecz jest całkowicie samodzielną, a także — jak wskazuje reforma — samorządną i samofinansującą się instytucją.

Z tej samodzielności wynika nie tylko brak podporządkowania centrali Federacji Konsumentów w Warszawie, nie tylko inna nazwa: Związek Obrony Konsumentów, a nie, jak w wielu innych województwach, Klub Konsumenta, ale także pewna specyfika działania, którą można by złośliwie nazwać bardziej „przyziemną". Jest to po prostu praca bardziej konkretna, ukierunkowana na pojedynczego konsumenta i jego kłopoty, nie zaś na rozwiązania strukturalne i efektowne hasła, żądania słuszne, lecz niemożliwe do spełnienia i wielkie akcje. Więc zamiast „hajda na mieczarzy od Bałtyku do Tatr" raczej „Kowalski i jego kłopoty z pralnią chemiczną".

„...Jestem przeciwny centralizacji ruchu konsumenckiego — mówi szef łódzkiego ZOK Bogusław Porwisiak — *przede wszystkim dlatego, że każdy region kraju ma swoją specyfikę. Różne jest zaopatrzenie, jakość pracy handlu i usług, styl działania administracyjnego, sposób życia ludzi. Różne więc także powstają problemy do rozwiązania. I właśnie do tej specyfiki regionalnej powinny dostosować się organizacje konsumenckie, wtedy ich działanie będzie skuteczniejsze i spotka się z pozytywną oceną i zaufaniem konsumentów. Oczywiście, istnieją ważne sprawy i problemy istotne dla wszystkich konsumentów, w całym kraju — ceny, poprawa zaopatrzenia i inne, równie zasadnicze — ale te są na ogół nie do ugryzienia, w każdym razie nie teraz i nie przez organizacje konsumenckie. Lepiej więc, naszym zdaniem, nie tracić energii na sprawy wielkie, w których nie można osiągnąć efektów, lecz skoncentrować się na drobniejszych, a przecież dla pojedynczych osób czy grup ludzi także ważnych i załatwiać je tak, aby efekty pracy były widoczne...".*

I rzeczywiście o efektach, i to sporych, już można mówić. Skuteczność działania ZOK sięga 97 proc., a zważywszy, że każdego dnia trafia tu od kilkunastu do kilkudziesięciu osób, a w okresach nasilonych zakupów np. przed świętami, dodzwonić się do ZOK jest bardzo trudno, a nawet bywa i tak, że trzeba poczekać w kolejce, aby przedstawić swoją sprawę, oznacza to, że już tysiące osób skorzystały, i to w sposób zadowalający, z pomocy ZOK.

I tu pora, jak sądzę — ustosunkować się do jednej z obaw, jaką wyrażali klienci, pytanie o ocenę działalności organizacji konsumenckich, a mianowicie ich zinstytucjonalizowanie, zbiurokratyzowanie i działanie przede wszystkim po to, aby kilka osób zdobyło „ciepłe posady" prezesa i kierowników. Oczywiście zinstytucjonalizowanie ruchu konsumenckiego już nastąpiło — było to zresztą konieczne, aby organizacja mogła w sposób uregulowany prawnie i na zasadach partnerstwa rozmawiać z władzami administracyjnymi, przedsiębiorstwami handlowymi i producentami. Wraz z otwarciem biura, w którym przyjmuje się konsumentów, zachodziła również konieczność zatrudnienia pracowników etatowych. Funkcje szefa (przewodniczącego, prezesa — nazwa nie jest w tym przypadku istotna), jak również przewodniczących i członków poszczególnych komisji, są jak dotąd — i oby tak pozostało — pełnione społecznie. Na razie organizacja jest zbyt nieliczna i za mało znana, a jej ranga nie tak wielka, aby wiązał się z nimi splendor i zaszczyty, rekompensujące brak wynagrodzenia. Jest to więc „zabawa" czaso- i pracochłonna dla zapaleńców, którzy po prostu mają ochotę zrobić coś dla innych, kosztem wzięcia na siebie dodatkowych, nieraz trudnych obowiązków. Dla ścisłości dodam, że uwagi te odnoszą się przede wszystkim do łódzkiego ZOK, gdyż w Federacji Konsumentów, a zwłaszcza w jej warszawskiej centrali, gdzie i pieniędzy więcej i etatów, a także o kontakt z ministrami łatwiej, sytuacja może wyglądać nieco inaczej.

W łódzkim ZOK, liczącym obecnie około 1300 członków, aktywnie działa kilkadziesiąt osób, z czego większość stanowią emeryci. Zapewne wynika to z faktu, że ta właśnie grupa ludności ma więcej wolnego czasu, którym może swobodnie dysponować, poświęcając jego część — często niemałą — na pracę w związku. Z drugiej jednak strony — przydałoby się również paru młodszych, energicznych działaczy. Kierownictwo ZOK liczy na to, że wraz z rozwojem i wzrostem popularności organizacji i tacy się znajdą. Potrzebni są pilnie, bowiem wzrastająca ilość spraw interwencyjnych trafiających do ZOK wkrótce może przerosnąć możliwości obecnych aktywnych działaczy.

Jakie to sprawy i dla kogo związek już załatwił, i czym zamierza zająć się w najbliższym czasie? Zanim przejdę do odpowiedzi na te pytania, warto odpowiedzieć na inne, moim zdaniem bardzo istotne, bowiem określające w pewien sposób charakter działalności i rolę związku: Kto nie ma w ZOK czego szukać i zostaje odesłany z kwitkiem? Przypadki takie zdarzają się, i to wcale nierzadko.

Otóż nie mają czego szukać w ZOK ludzie, którzy chcieliby aby ktoś inny wyręczał ich w załatwianiu spraw, które powinni załatwić — a co najmniej próbować załatwić — sami, nawet jeżeli merytorycznie mają rację. Tak więc jeśli komuś zepsuje się np. odkurzacz na gwarancji i przyniesie go do ZOK — zostanie odesłany do domu. Jeśli natomiast wraz z zepsutym odkurzaczem dostarczy pisma, z których jasno wynika, że ani handel, ani producent nie uznaje słusznej reklamacji, że jedyną drogą, jaka pozostała klientowi jest sprawa sądowa — wtedy może liczyć na pomoc. Wspomniane już 97 proc. skuteczności działania ZOK — to właśnie przede wszystkim takie i podobne sprawy, które daje się załatwić polubownie, bez konieczności występowania na drogę sądową, ku zadowoleniu klienta — ale także bez straty dla przedsiębiorstwa — w ramach istniejących przepisów. Większość bowiem tego rodzaju konfliktów — jak twierdzą na podstawie praktyki działacze ZOK — nie jest spowodowana złośliwością wobec konsumenta, lecz wynika z nieznajomości bądź niewłaściwej interpretacji istniejących przepisów przez obie zainteresowane strony.

Gdy trafia do ZOK człowiek, który chciałby załatwić swoją sprawę, która w świetle istniejących norm prawnych jest niesłuszna — dajmy na to, posługując się dalej przykładem odkurzacza — wymienić go w ramach gwarancji na nowy, ponieważ obudowa połłukła się w wyniku niewłaściwego użytkowania — interwencja również nie zostanie podjęta, co najwyżej klientowi wytłumaczy się, dlaczego nie ma racji.

Tego rodzaju działanie podnosi zapewne autorytet i zaufanie do organizacji konsumenckiej w instytucjach, do których trafiają jej przedstawiciele i — w dalszej perspektywie, ułatwiać będzie wzajemne kontakty.

Co dzieje się jednak w przypadku owych 3 proc. spraw nie załatwionych? Każdemu — zarówno konsumentowi, jak i instytucji, pozostaje możliwość zwrócenia się do sądu. Z tym zagadnieniem wiąże się inicjatywa łódzkiego ZOK, dotycząca już nie poszczególnych spraw interwencyjnych, lecz o szerszym znaczeniu. Łódzka organizacja wystąpiła mianowicie z propozycją rozszerzenia uprawnień organizacji konsumenckich o możliwość reprezentowania interesów konsumentów przed sądem, włączania się do każdej sprawy w dowolnym jej momencie na prośbę zainteresowanego. Projekt ten spotkał się z pozytywną oceną Ministerstwa Sprawiedliwości i wkrótce zostanie prawnie uregulowany.

Nie zawsze jednak wnioski i propozycje ZOK spotykają się z tak życzliwym przyjęciem w ministerstwach. Np. od ponad roku trwają starania — podejmowane zresztą wspólnie z Wydziałem Handlu m. Łodzi o formalne uznanie społecznych komitetów kolejkowych. Efektu jak dotąd nie widać, choć pisma w obie strony krążą. Co dziwniejsze — także sami „kolejkowicze", z inicjatywy których temat ten został podjęty, jakby stracili zapał, znudzeni zapewne zbyt długim czasem załatwiania sprawy. Gdy działacze ZOK wybierali się w tej sprawie do Warszawy — nikt ze społecznych komitetów kolejkowych nie dał się namówić na uczestnictwo w tej delegacji. Mimo to w Związku postanowiono — już choćby dla własnej satysfakcji — doprowadzić sprawę do końca.

Kolejnym takim przykładem słomianego ognia, czyli sprawy, jaką zainicjowali konsumenci, lecz wkrótce stracili do niej zainteresowanie są administracje. W czasie przygotowywanych podwyżek czynszów za mieszkania kwaterunkowe i spółdzielcze do ZOK zgłaszało się wielu lokatorów, także przedstawicieli samorządów mieszkańców z propozycjami utworzenia miniadministracji, obsługujących po kilka budynków, które dysponując częścią czynszów, same decydowałyby o terminach i zakresie remontów, zatrudniały hydraulików, elektryków i innych fachowców od drobnych napraw i konserwacji, decydowały o tym, czy zatrudnić sprzątaczki, czy też lokatorzy będą sami dbać o czystość w budynkach, a pieniądze przeznaczone zostaną na inne cele. W ZOK rozpracowano temat od strony prawnej, przeprowadzono odpowiednie rozmowy z władzami miasta i Wojewódzką Spółdzielnią Mieszkaniową, jednym słowem, gdy wszystko było już gotowe, aby dokładnie wyjaśnić zainteresowanym w jaki sposób utworzyć miniadministrację, jaki może być zakres jej praw i obowiązków — okazało się, że zainteresowanych właściwie nie ma. Nikt nie zgłosił się do ZOK, aby z opracowania tematu skorzystać, nigdzie w Łodzi również nie powstała miniadministracja. I właściwie rzecz całą można by uznać za stratę czasu działaczy ZOK (i nie tylko ich) oraz kolejne potwierdzenie tego że najbardziej poszukiwaną formą działalności organizacji konsumenckiej, przynoszącą najlepsze i wymierne efekty jest właśnie owa konkretna działalność interwencyjna, której łódzka organizacja daje priorytet.

Z niej też na ogół wynikają sprawy dotyczące większej grupy konsumentów. Po prostu gdy interwencji na jakiś temat zbierze się spora ilość — niezależnie od załatwiania po kolei indywidualnych przypadków podejmuje się próby takiego rozwiązania sprawy, aby usunąć powodującą je przyczynę. Tak np. było ze znaną już sprawą opłat za instalację kuchenek gazowych. Na skutek interwencji ZOK cena za tę usługę obniżona została z 4 tys do tysiąca zł. Tym sposobem w kieszeniach konsumentów w ciągu ub. roku pozostało ponad 11 mln zł.

Na rok bieżący planowana jest m. in. batalia ze spółdzielnią „Czystość" zainspirowana również przez coraz liczniejszych klientów, skarżących się na złą jakość usług, zniszczenie oddawanej do czyszczenia odzieży i trudności z uzyskaniem odpowiedniego ekwiwalentu za poniesione straty. Na podjęcie tego tematu przez ZOK czekają w tym przypadku — co dziwniejsze — obie strony, a więc zarówno konsumenci, jak i „Czystość". Spółdzielnia liczy przede wszystkim na to, że przy pomocy ZOK uda się wyegzekwować od producentów obowiązek, którego nie wszyscy przestrzegają — oznaczania wyrobów w sposób trwały znakami informującymi, z jakiego surowca wyrób wykonany i w jaki sposób go czyścić. Obecnie bowiem niewielki wybór środków czyszczących z jednej, a brak oznaczenia z drugiej strony powoduje narastanie reklamacji klientów.

Kolejne planowane na rok bieżący sprawy to m. in. powołanie, obok istniejących już klubów i komisji Klubu Obrony Automobilistów, którego głównym zadaniem byłaby obrona posiadaczy samochodów przed złą jakością usług świadczonych zarówno przez stacje Polmozbytu, jak i prywatnych rzemieślników, a także tematy związane ze służbą zdrowia — rosnące ceny w spółdzielniach lekarskich, za którymi nie idzie poprawa jakości świadczonych przez nie usług oraz sprawa drobna, lecz dokuczliwa: wprowadzenie ustalenia, obowiązującego we wszystkich przychodniach i poradniach, w jakiej kolejności należy wchodzić do lekarza — czy według numerków z wiszącej na drzwiach listy czy też według kolejności przychodzenia.

Trudno mówić o bardziej szczegółowych zamierzeniach na rozpoczynający się rok. Podejmowane tematy wynikać będą bowiem, tak jak dotychczas z propozycji i wniosków konsumentów, z podstawowej działalności interwencyjnej. Na pewno jednak trochę uwagi poświęci się i własnym sprawom organizacyjnym — staraniom o powiększenie liczby członków, zwłaszcza tych aktywnych, którzy mieliby ochotę i siły popracować trochę w związku, popularyzacji własnych, dotychczasowych osiągnięć, docieraniu z informacją o Związku, o tym, czego można po nim oczekiwać do szerszych grup mieszkańców Łodzi. Przydałoby się do tego celu własne wydawnictwo — muletyn czy gazeta — bowiem ogłoszenia na szybie lokalu ZOK to doprawdy trochę za mało. Sprawa ta została już poruszona w rozmowach z władzami miasta, które... nie powiedziały „nie", co, zdaniem członków zarządu ZOK pozwala wierzyć, że uda się je załatwić.

Czy organizacja taka jest rzeczywiście konsumentom potrzebna? W tej formie, w jakiej działa łódzki ZOK, można na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Zapewne wiele spraw, które załatwia się tutaj można byłoby załatwić także i w innej formie — chociażby poprzez sąd. Ale tego rodzaju pośrednik między instytucją handlową a klientem oszczędza temu ostatniemu konieczności sięgania do tak ostatecznego środka jakim jest sprawa sądowa, a ponadto pozwala uniknąć niemiłych, często zaostrzających konflikt sytuacji, jakie powstają zawsze gdy stykają się ze sobą dwie bezpośrednio zaangażowane w spór strony. Działacze ZOK bowiem stanowią tu coś w rodzaju „czynnika obiektywnego" co działać może stymulująco zarówno na instytucję, jak i na zbyt rozsierdzonych konsumentów.

Warunkiem przydatności tej organizacji jest jednak koncentrowanie się na sprawach konkretnych, być może nie najważniejszych w skali funkcjonowania całego rynku w kraju, a jednak ważnych i uciążliwych dla poszczególnych ludzi czy grup. Z chwilą bowiem, gdy taką zwyczajną pracę zastąpią wielkie hasła, sugerujące chęć zaprowadzenia generalnych porządków w polskiej gospodarce rynkowej, gdy powstanie związana z tym konieczność zwiększenia liczby etatów, zbiurokratyzowania działalności, gdy społeczny zapał kilkunastu czy kilkudziesięciu ludzi przekształci się w spełniany za pieniądze i wynikający z pełnienia określonych, formalnych funkcji obowiązek — będzie to już zupełnie inna organizacja. Organizacja niepotrzebna, jeszcze jedna z tych, w których za wielkimi słowami nie kryje się żaden pożytek. Jeśli więc dalszy rozwój organizacji miałby pójść w takim kierunku — lepiej, aby została ona rozwiązana, zanim to nastąpi. Na razie symptomy takie nie występują — choć nie brak w łódzkim ZOK także i wewnętrznych konfliktów, głównie między niektórymi „starymi" członkami — zwolennikami przynależności łódzkiej organizacji do Federacji Konsumentów, a „nowymi" którzy zadecydowali o jej samodzielności.

ROMAN KUBIAK

Emigrant

Jest rok 1981. Na uczelniach trwa postrajkowe odprężenie; gorączkowe odrabianie tamtych dni: czterech strajkowych tygodni ze stycznia i lutego. Coraz częściej mówi się o zmęczeniu, o niepewnym jutrze. Perspektywa rychłego ukończenia studiów przestaje dopingować. Zniechęca raczej. Pojawiają się nieśmiałe jeszcze przebąkiwania o realnym bezrobociu, o „nadprodukcji" magistrów. Pospiesznie „wypycha się" pięćdziesięciolatków na wcześniejsze emerytury. Trwa permanentny krach gospodarczy. A tymczasem zbliża się dzień, kiedy z dyplomem w dłoni trzeba będzie wyjść za uczelniane mury. Co dalej studencie? Wiedz, że nie należy, nie wolno spodziewać się nagłej odmiany. Nie licz na zbyt wiele — ale ty wiesz o tym. Tylko praca, praca, praca... Te ręce, twoje ręce, będą spłacały miliardowe długi. Mówisz, że to nie twoje długi, że nie ty żyłeś na kredyt? Nieważne, ty je będziesz spłacał — wiesz o tym. Taki jest twój start do samodzielności, do dorosłego życia. Czy starczy ci sił, żeby nie dać się wciągnąć w jednostajny rytm kieratu: praca, dom, praca, dom, przespana niedziela, święta przed telewizorem. Czy starczy sił? Pamiętaj, nie wolno ci liczyć na zbyt wiele. W sklepie brakło cukru, mięsa, masła, mąki, sera. Papieros wypalany na dwa razy i ostatnia kostka mydła. Jest czerwiec 1981 roku.

Oddech. Mówi się tak: „Trzeba zobaczyć jak żyją ludzie". Mówi się i składa się wniosek paszportowy. Bierze się dziekański urlop: na oddech, na to, żeby zobaczyć, jak żyją ludzie. I żeby coś z tego mieć — choćby na początek, na start, na ten krok do samodzielności, który i tak przecież trzeba będzie zrobić.

Jest rok 1981. Z otrzymaniem paszportu nie ma praktycznie większych kłopotów. Urlop dziekański przyznany. Jeszcze tylko parę dni warowania przed niemiecką ambasadą i...

Krzysztof pomyślnie kończy trzeci rok studiów. Postanawia zafundować sobie roczną przerwę w nauce. Na oddech. Koledzy namawiają do zagranicznej wyprawy. Na saksy. Jesienią można wrócić nawet własnym, kupionym tam samochodem. Jak na początek, zupełnie nieźle. W lipcu Krzysztof wyjeżdża do RFN. Zapowiada się ciekawa przygoda.

Z widokówki wysłanej do przyjaciela: *„Godzina 17.48. Od dobrej godziny jestem TU! Niesamowite — ale prawdziwe! Stary, jeszcze mi szumi w głowie i szczypię się w policzki, bo nie mogę w to uwierzyć. Zaraz ruszam dalej. Następna relacja już wkrótce".*

Trzy tygodnie później przychodzi list od Krzysztofa:

„Jestem w Ulm. Prześliczne miasto. Spłukałem się doszczętnie, ale nie żałuję. Pięć dni arbajtowałem przy układaniu chodnika. Mam 150 marek i mogę ruszać dalej. Chce jechać do Frankfurtu, a potem dalej na północ. (...). Z młodymi Niemcami idzie się dogadać. Poznałem sporo ciekawych ludzi, bo przeważnie jeżdżę stopem. Zabierają bardzo chętnie, a jak usłyszą, że z Polski, to czasem nawet fundują obiad i zabierają do siebie na chatę. Zrobiłem multum kilometrów i napatrzyłem się, że głowa boli. Jest pięknie! Żałuj, że zostałeś. Piwo pierwsza klasa!".

Mija sierpień. Krzysztof nadal podróżuje. Z Ulm jedzie do Tybingi i Stuttgartu, a następnie do Moguncji, Frankfurtu i Bonn. W Stuttgarcie spotyka młodych Polaków pracujących w zakładach metalowych. Są studentami warszawskiego uniwersytetu. Prace podjęli natychmiast po przyjeździe do RFN. Wiodą niezwykle oszczędny tryb życia: żadnych rozrywek. Do Polski wracają w październiku — każdy używanym, ale własnym samochodem. Ma to być ich przepustka do samodzielności, do życia na własny rachunek.

We wrześniu Krzysztof podejmuje starania o pracę. Chce przepracować dwa, trzy miesiące i wrócić do kraju z dewizowym kapitałem.

Kolejne dwa tygodnie upływają na bezowocnych poszukiwaniach płatnego zajęcia. Lecz co to znaczy płatne zajęcie? Nie każda praca za pieniądze to dobra praca. Zresztą zależy dla kogo. Przynajmniej on, Krzysztof tak uważa. W swoim dzienniku podróży pisze: *„Chyba nie nadaję się. Nie mam tak zwanej siły przebicia, czyli zwyczajnego tupetu. Ale, z drugiej strony, nie wszystko jest na sprzedaż. Niemiec patrzy na mnie i mówi: „Tobie mogę dać tylko 4 marki za godzinę, bo ty jesteś Polak i weźmiesz". O, nie. Nie wezmę" (...). Kończy się trzeci mój miesiąc na Zachodzie. Wedle marzeń powinienem jechać właśnie samochodem w kierunku granicy. Bardzo ambitne były te marzenia. Robię mały bilans. Zarobiłem 240 marek, a wydałem 310. Żeby dorobić się używanego samochodu, muszę pracować najmniej przez 3 miesiące. Ale gdzie?".*

Z listu do przyjaciela: *„...No więc, postanowiłem skończyć ze szwendaniem się po Bawarii i innych landach. Pora myśleć o szczęśliwym powrocie. Głupia wracać tak z pustymi kieszeniami, ale wolę dać plamę, niż czołgać się za kilka marek. Może przesadzam. Sam już nie wiem co robić. Chyba spróbuję jeszcze raz, ale w innym mieście. Tam, gdzie nie ma tylu gastarbeiterów. (...). Proponowali mi żebym został na zawsze, to dostanę zezwolenie na pracę. Powiedziałem, że zastanowię się...".*

Mija październik i listopad. W tym czasie Krzysztofowi udaje się zarobić 280 marek. Pracuje dorywczo — czasem jeden, czasem dwa dni. W jego dzienniku podróży coraz częściej pojawiają się notatki w pesymistycznym tonie: refleksje. Tylko listy do domu nadal są beztroskie, lekkie.

Zapis w dzienniku podróży: *„Nie jest dobrze być Polakiem. W markecie wciągnęli mnie na zaplecze. Musiałem niezwyczajnie zachowywać się, bo ludzie z ochrony mienia wzięli mnie za niezbyt bystrego złodzieja. Fakt, rozglądałem się, brałem do ręki te ich bajeranckie opakowania, czytałem co jest w środku, żeby znowu nie kupić jakiejś waty albo drewna w złotym papierku z myszką Miki albo papieżem. Tak czy owak, gapiłem się za długo, za dużo rzeczy ruszałem i dlatego podpadłem. Ale, który Polak zachowuje się inaczej. Chyba tylko ten, który czytuje wyłącznie ceny. Który Polak przejdzie obojętnie koło tych świecidełek. Jeszcze w kraju, pamiętam, byłem na amerykańskim filmie „Powrót do domu". Widownia tylko jeden raz poruszyła się — jak pokazali wnętrze zachodniego supermarketu. Dało to ludziom po oczach. Po co ja o tym myślę? Chyba po to, żeby się jakoś usprawiedliwić. Przed sobą, bo przecież nic nie zwędziłem. Ale wtedy po raz któryś tam poczułem, że nie jest dobrze być Polakiem, bo kiedy już byłem na zapleczu, bardzo grzecznie poprosili, żebym pokazał co mam w plecaku. A ja chciałem, żeby się ode mnie odwalili, więc wyjąłem nasz paszport. Kurcze, jaki ja jestem naiwny! — Pole? Aaa Pole... — tak zareagowali, no i wybebeszyli mi cały majdan, ale oczywiście nic swojego nie znaleźli. Stałem tam jak ta sirota, czerwony ze wstydu i ze złości. Chyba jednak bardziej ze wstydu. Za co? Za tych co byli przede mną z takimi samymi paszportami. I za siebie, że jestem inny niż normalni tutejsi ludzie, którzy nie zatrzymują się przy każdym kolorowym pudełku z puddingiem. Ciekawe, ile potrzeba czasu na przywyknięcie do tych bajerów? W końcu, po całej tej rewizji, bardzo przepraszali, ale co z tego. Puszki, która chcieli mi podarować tytułem rekompensaty strat moralnych, nie wziąłem. Jestem jeden obiad do tyłu".*

Z nastaniem grudnia Krzysztof jest ciągle bez pracy. Mieszka wraz z pięcioma kolegami w wynajętym pokoju. Trzech z nich regularnie otrzymuje zasiłki. Pozostali żyją z oszczędności lub z dorywczych zajęć — 30—50 marek na tydzień. Krzysztof postanawia wracać do Polski. Święta ma już spędzić w rodzinnym domu. 13 grudnia w południe zbierają się w „polskim" klubie. Jest ponad sto osób. Wszyscy wiedzą już co stało się w Polsce. Milczą. Do późnej nocy siedzą tak, wsłuchując się w radiowe wiadomości z ostatniej chwili. Nikt nie ma odwagi włączyć telewizora. Nikt nie mówi o powrocie do kraju.

15 grudnia Krzysztof zgłasza się do urzędu emigracyjnego, gdzie bez zbędnych wyjaśnień otrzymuje zasiłek oraz zezwolenie na podjęcie pracy. Od stycznia będzie zatrudniony w niewielkiej fabryczce odzieżowej.

W końcu grudnia Krzysztof pisze list do domu. Ma nadzieję, że mimo wszystko list ten dotrze do matki. Trzy pierwsze wersje listu trafiają do kosza. Pisanie idzie jak po grudzie.

Z listu do matki: *„...Sama wiesz, że trudno wracać w ten*

Nigdy wcześniej nie myślał w tych kategoriach. Nigdy wcześniej nie musiał tak myśleć. Ale teraz...

Informacje docierające z Polski nie dostarczają tak bardzo potrzebnego optymizmu — są złe; ilustrowane przypadkami osobistych tragedii. Mimowolnie, w wyobraźni emigrantów tworzy się wizja kraju okupowanego: czołgi, żołnierze, uliczne patrole, policyjna godzina. Zapytani, jak wtedy wyobrażali sobie życie w Polsce stanu wojennego odpowiadają podobnie: „Przede wszystkim nie widzieliśmy siebie w tamtych sytuacjach. Byliśmy uprzywilejowani, bo nam udało się nie uczestniczyć w tych wydarzeniach. Ale tam, w Polsce, były przecież nasze rodziny, nasi znajomi...". Codzienne życie jawiło im się jako twarda, bezpardonowa walka o byt — o przetrwanie niemalże. Docierały niepokojące sygnały: głód, brakuje węgla; brakuje leków, benzyny.

Zapis w dzienniku podróży: *„...Kim mogę być w Bundesrepublice? Co zyskam, a co stracę? Na pewno nigdy nie będę Niemcem, bo to jest już ustalone moim miejscem urodzenia. A jeżeli nie będę Niemcem, to nigdy mnie do końca nie zaakceptują. Mam na to aż za dużo dowodów. Co z tego, że znam ich język. Trzeba jeszcze myśleć tak jak oni. Mogę zostać najwyżej facetem od zarabiania pieniędzy w jakiejś fabryce. No, ale od tego zawsze chciałem uciec. Żeby zostać robolem, nie trzeba praktycznie robić nic i nie trzeba myśleć. Wystarczy brać życie jak leci. I wtedy nie jest ważne, czy jest się Polakiem, czy Niemcem. Ganz egal. (...). Tam przynajmniej mam do kogo otworzyć gębę, żeby porozmawiać nie tylko o forsie. Tam mam przyjaciół i tam tylko mogę mówić, że jestem w domu. Tutaj muszę się wszystkiego uczyć, jakby od nowa. Bez większego przekonania co do efektów. Pozostaje kwestia powrotu, tzn. kiedy? Niemiecka telewizja pokazuje to, co chce pokazać, żeby Niemcy byli w stanie pojąć sens. Ale my nie to chcemy oglądać. Za rok, dwa być może nie zdołam już normalnie interpretować faktów, bo nie ma mnie tam. (...).*

Widziałem trzecią już akcję zbierania darów dla biednych, pan. Ciekawe czy samochód wpuszczą do Polski? (...).

Na poczcie wisi zdjęcie gigantycznej kolejki przed warszawskim sklepem. Paczki do Polski wysyła się bez opłaty. Herr F. organizuje „bezpłatną wieczerzę dla polskich przyjaciół". Pod wskazanym adresem czeka samochód lokalnej telewizji. Ciągle nie mam wiadomości z domu...".

Mijają kolejne miesiące. Krzysztof oswaja się z myślą, że jest emigrantem. Z domu nadchodzą pełne niepokoju listy, i te ciągłe natarczywe pytania: kiedy wreszcie wróci. Odpisuje że być może już niedługo. Ale nie potrafi napisać słowa „nigdy". Może dlatego, że nie jest jeszcze pewien... Od kilku tygodni pracuje legalnie, lecz traktuje tę pracę jak „okres przejściowy". Niebawem będzie musiał podjąć decyzję ostateczną.

Z listu do przyjaciela: *„...Widziałem parę dobrych filmów. Kupiłem radio i wieczorami uskuteczniam nasłuch. Nareszcie jestem na bieżąco. Zaglądam do naszych z przejściowki. Oni czekają na zgodę Australii i Nowej Zelandii. Właśnie wczoraj Michał napisał z Zelandii. Przerzucili go do fabryki filcu w jakiejś kompletnej dziurze, gdzie nie ma nawet kina, za to są aż trzy speluny. Podobno okropne zadupie, a do najbliższej cywilizacji jedzie się pół dnia po bezludziu. Michał ostrzega, że będzie pisał taśiemcowe listy, bo nie ma z kim pogadać. Prosi, żeby przysłać mu kasety z nagraniami polskich zespołów, albo żeby listy nagrywać na taśmie. On będzie odsyłać swoje gadki do nas. Jak chcesz to przyłącz się. Podaję adres... Jeśli możesz, napisz, koniecznie co z Markiem. Mojej matce nic nie mów...".*

Drugi rok pobytu w Republice Federalnej zaczyna się dla Krzysztofa podobnie, jak rok pierwszy: nie pracuje wyrusza na długie autostopowe wycieczki. Wie że ciągle znajduje się w punkcie wyjścia, że miniony rok właściwie nie przyniósł żadnych dramatycznych zmian w jego życiu. A przecież tyle się wydarzyło — najwięcej w Polsce. Ma wrażenie, że przespał ten rok, że obejrzał go na telewizyjnym ekranie. Ciągle nie jest pewien swego miejsca: tutaj, czy tam, w Polsce?

W czasie podróży, przede wszystkim obserwuje Niemców. Obserwuje ich bardzo krytycznie, jakby udowadniając sobie istnienie różnic nie do pokonania. Mimo wszystko ciągle szuka argumentów przeciwko emigracji. Nadal nie potrafi podjąć stanowczej decyzji.

Zapis w dzienniku podróży: *„...To trzeba powiedzieć z całą pewnością — Niemcy nie są zdolni do zabawy na całego. Przychodzą i czekają, żeby ich zaprosić do naszego towarzystwa. Wtedy cieszą się, jak dzieci. Normalnie siedzą z puszką piwa i dłubią w zębach. Żadnej inicjatywy. Dziwią się, że Polacy nie żałują sobie na zabawę. I o to chodzi. Marne jest takie życie z ciągłym przeliczaniem każdego wydawanego feniga. Brakuje im odrobiny fantazji...".*

Późną jesienią, dwaj koledzy Krzysztofa podejmują decyzję powrotu do Polski. Spodziewają się złośliwych uwag pod swoim adresem. Ale nikt takich uwag nie czyni. Żegnają ich ze łzami w oczach. Krzysztof waha się. Jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę...

Zapis w dzienniku podróży: *„...Andrzej i Mirek wracają do Polski. Mają przerzucić wiadomości, jak tam jest naprawdę. (...) Wczoraj była rozróba na całą dzielnicę. Podobno poszło o dziewczynę. Boję się, że to tylko pretekst. Coraz mocniej czuję się wyrażną linię podziału między Niemcami i nami. Policja zwinęła czterech naszych za produkcję i sprzedaż narkotyków. Robili klasyczny polski „kompot". Dla Niemców było to rewelacyjne odkrycie. (...).*

Wracają: Paweł, Jarek, Włodek, Tomek. Grześ jeszcze się łamie, ale chyba pęknie. Jolce zamiast zasiłku dali bony do marketu. Wstydzi się płacić tymi kwitami. Od razu wiadomo, że obca. Sprzedajemy je Marokańczykom za pół ceny...".

Wszyscy bardzo czekają na wiadomość od tych którzy wrócili do Polski. Ma to być pierwsza wiarygodna odpowiedź na pytanie: „jak tam jest naprawdę". Po miesiącu nadchodzi list od Andrzeja. Wiedzą już, że wracać można w każdej chwili — bez przeszkód. Wiedzą też, że obraz Polski zachowany w ich pamięci nie przystaje do aktualnej rzeczywistości. Andrzej pisze o codziennym życiu, lecz przyznaje iż czuje się trochę zagubiony: wielu spraw po prostu nie rozumie. Pisze o utraceniu kontaktu z rówieśnikami, a nawet z rodziną. Przechodzi właśnie kurację wstrząsową. Jest w jego liście taki fragment: *„Pamiętacie te banany i mandarynki, które zabrałem ze sobą? Wyobraźcie sobie że dałem je dzieciakom siostry, a one nie wiedziały co to jest. Autentycznie! Banana bały się ugryźć, a mandarynkami bawiły się jak piłeczkami..."*

Czytali ten list dwukrotnie. Na głos. A kiedy skończyli, Krzysztof spytał czy może go zabrać i przeczytać jeszcze raz.

Dwa dni później, Krzysztof spakował plecak i zniknął. Bez pożegnania. W kuble na śmieci leżał zmięty „Dziennik podróży". Od tego czasu ani polska, ani niemiecka poczta, nie przyniosły listu adresowanego jego ręką.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ukrzyżowanie

RYSZARD BINKOWSKI

1.

Sąd wszedł, zatrzeszczała ława i wstała publika, która reprezentował jedynie nieznany pismak R. B. Następnie Sąd usiadł, zajrzał do akt, wstał i zrobił tak srogą minę, że poszkodowany natychmiast zapomniał, jak się nazywa.

— Ta-ak — mruknął Sąd — symptomy psychiatrycznej symulacji. No dobra, a kim jest wasz ojciec, hę? — rzucił podchwytliwie Sąd.

— Ha, to wiem! Po każdej wypłacie matka mówiła, że to największy s... syn na Pabianickiej.

— No widzicie, poszkodowany. A wyście są jego synem prawda?

— Aha. On się nazywał Bartczak, a mnie na imię Stanisław, Stasiu, mówił przeważnie tata o poranku, skocz no, Stasiu, po ćwiartkę...

Sąd przyjął tak ciepły, ojcowski wyraz twarzy, że wokół zrobiło się promiennie, a sędziowska toga pojaśniała niczym zielone kimono nadziei na drugą Japonię. Sąd już taki jest, iż nieraz traci obłudnie dostojność, żeby zrobić wrażenie na świadkach, oskarżonych i poszkodowanych.

— Powiadacie więc — odezwał się słodko Sąd — żeście kupowali na bazarach rozrusznik do mercedesa, tak?

— Ihy, Merce to moja specjalność — odparł chełpliwie S. Bartczak.

— Ale ten rozrusznik wam skradli, hę?

— Razem z teczką! Dopuścił się tego facet, który się podał za mojego zięcia. Ukrzyżował mnie do spółki z jakimś małolatem, i zabrali wszystko, łobuzy!

— Teczka się znalazła, Bartczak.

— Dzięki Bogu!

— Dzięki milicji. A wiecie, co było w teczce?

— Ani chybi rozrusznik! — wrzasnął radośnie poszkodowany.

— Faktycznie, coś na rozruch... Rurki do pędzenia samogonu!

— Pomyłka, proszę Wysokiego Sądu! To kumpel mi je wetknął jak nas przycięło...

— Bartczak, wy chcecie zaimputować Sądowi, że ten kumpel kupił aparaturę na bazarach?

Bartczak spojrzał na Sąd z uśmiechem drwiącej pobłażliwości jakby za tym strasznym stołem siedziało pijane dziecko w todze, zanurzone we mgle.

— Proszę Wysokiego Sądu — rzekł tonem kombatanta walk o utrzymanie ludowego rynku — obawiam się, że Sąd nie bywa na bazarach.

— Sąd sam ustala, gdzie ma przebywać! Zadaniem Sądu jest sądzić!

— Ale niech Sąd nie sądzi, że bazary to są delikatesy dla rencistów. Na bazarach, proszę Sądu, nie można kupić tylko trzech rzeczy: ojca, matki i zdrowia.

Na obliczu Sądu powróciła marsowa dostojność. Nie cierpiąc pouczeń ze strony margines Sąd przystąpił z powagą do dalszych czynności rutynowych.

Ale zanim Sąd wyda wyrok w sprawie rury bimbrowniczej do mercedesa, należy cofnąć się w głąb mrocznej i niemiłej przeszłości.

Przede wszystkim — żeby było tajemniczo oraz intrygująco — do owej koszmarnej nocy, kiedy to z progów knajpy zwanej „Chłopką" umiósł się duch. Był on zwiewny i chwiejny, pokrwawiony i taki ślepy, że wpadł pod milicyjny radiowóz.

Policyjny patrol ze stanu Nevada zawiózłby taką zjawę do żłobka, a po drodze jeszcze spałował. A u nas są milicjanci czyli ludzie, którzy pod mundurem noszą serce bijące na ludzką krzywdę, niczym dzwon na trwogę, toteż nic dziwnego, że zdjęła ich litość. Bo ten krwawy upiór krążył w noc styczniową w płaszczu i samych kalesonach, bez czapki i bez butów, i marzył o jakimś domu opieki społecznej.

2.

Stanisław Bartczak miał średnie wykształcenie, zepsutego mercedesa, małą szklarnię w której nastąpił akurat wysyp goździków, i córkę Anitę na wydaniu. Na co dzień cechowały go skromność, takt i umiarkowanie. Ale tylko do pierwszego pół basa na łeb. Szczególnie bogobojnego ascetę udawał przed towarzyszem Fiskusem. Jego ulubionymi akcesoriami były ludowe zgrzebne szaty, przytarta brązowa teczka i luksusowy cykot marki „Sportowyje" na ręku. Na widok takiego obrzympoła Fiskus spluwał z obrzydzeniem i natychmiast dobierał się do jakiejś firmy polonijnej trzaskającej na zapiecku pornokalendarze.

Ponadto biznesmen Bartczak miał na sumieniu pana Janka, ni to kolegę, ni wspólnika, ni to parobka dochodzącego. Pan Janek był osobnikiem oziębłym, niewdzięcznym i nic sobie nie robił z Bartczaka, chociaż ten żywił go i ubierał. W zamian Janek pomagał w szklarni przy ścinaniu goździków, palił w kotłowni i naprawiał mercedesa, usiłując własnym sumptem przerobić go na ropę. Janek nie miał nic przeciwko Anicie, ale wolał, żeby córka chlebodawcy nie pomagała mu w robocie, bo jak tylko ją zobaczył, to zaraz wszystko leciało mu z rąk. Nie miał zdrowia do tej Anity i już. Miał za to zamiłowania techniczne, które usiłował rozwijać na zapleczu szklarni, ale gospodarz patrzył na to kosym okiem. Janek pragnął zainstalować w kotłowni próbną gorzelnię. Był pewny, że zapylone żużlem kwiaty będą obficiej owocować.

Pewnego razu pan i jego sługa wybrali się na bazary. Stach nabył rozrusznik do mercedesa. Janek zaś upragnione rurki do samogonu. Szef zaklął w duchu, ale ponieważ co innego miał na głowie, postanowił uczcić transakcję, uznał bowiem, że cel uświęca środki.

Wstąpili do knajpy „Pod czarnym kotem". Był to lokal dla zgorzkniałych i zagubionych. Wystarczyło tam wejść, chlapnąć dwie sety, trzy razy splunąć przez ramię i już się słyszało melodyjne, kojące dusze miauczenie.

Przy pierwszym pół litrze S. Bartczak zastosował sondażowe podchody.

— Wiesz, Jasiu mam kłopoty z Anitą — poskarżył się tonem petenta wiejskiej plebanii.

— Eee też mi zmartwienie — zbagatelizował Janek. — Herbatę już sama gotuje. A że sobie trochę pojeździ na rowerze...

— Ba, ale ona pedałuje przez okrągły rok! A zima, to na stojąco, w szopie. Zepsuła już dwa siodełka...

— Krew nie woda więc się przyciera.

— Wiem, bracie. Ale jak dostanie czyraków, to który chłop taką weźmie co?

— Weźmie, Stachu, weźmie! Jak nie ja, to przynajmniej te twoją szklarnię.

— A wała! Obcemu nie dam!

— He, he! Narzeczony Pawełek aż się pali do twojej Nitki. A ona do niego...

— Pożaru z tego nie będzie! Jak mam brać takiego Pawełka, to wolę kupić jeszcze z trzy rowery. Przynajmniej coś zaoszczędzę, psiakrew! Na co mnie za zięcia wyrokowiec z płótnem w kieszeni?

Pan Janek milczał ponuro. Słuchał. W knajpie „Pod czarnym kotem" brzmiała nostalgicznie kocia muzyka.

3.

Paweł Janiak był romantycznie usposobionym, dwudziestopięcioletnim kawalerem z wszechstronnym wykształceniem podstawowym. W dowodzie figurował jako stolarz ręczny przemysłowy, ale pracował jako monter skrzyń ładowniczych. To jest taki facet, który dostaje kupę desek nie heblowanych, kilo gwoździ i młotek w łapy i on wtedy zbija trumny dla ofiar fabrycznej produkcji ze znakiem jakości „N" czyli niewypał. Ponieważ jednak Pawłowi bez przerwy gięły się gwoździe pod młotkiem, przerzucono go na stanowisko spawacza. Takie operacje przeprowadza się najczęściej w zakładach, nad którymi krąży widmo przedwczesnych emerytów.

Paweł Janiak był obiecującym spawaczem. Zamiast tzw. kwalifikacji miał za sobą cztery wyroki, narzeczoną Anitę oraz niedoszłego teścia, który na widok zięcia natychmiast sięgał po brzytwę, jak gdyby ten wciąż był nie ogolony.

Tego samego dnia gdy tatuś Anity rozpoczął negocjacyjne swaty w knajpie „Pod czarnym kotem", Pawełka wywalono ze stanowiska spawacza za lekceważący stosunek do pracy oraz niezdyscyplinowanie. Polegało to na tym, że Janiak przyszedł do pracy o dwie godziny za późno, odpił w pakamerze półlitrówkę, po czym przyspawał kłódkę do skobla u drzwi sracza, w którym akurat zasłabł był nietrzeźwy brygadzista. Nie udzieliwszy pomocy więźniowi pracowniczego klozetu, Janiak opuścił beztrosko zakład pracy, śpiewając w portierni pieśń skacowanych pt. „Nie ma wody na pustyni".

Sęk jednak w tym, że razem z wymówieniem Paweł otrzymał zaległą premię w wysokości dwa tysiące pięćset złotych. Nie wiedział, co z sobą zrobić. Miał jednak mgliste pojęcie, co zrobić z forsą. W związku z tym zaczął spacerować ulicą Pabianicką na Marysinie, przyglądać się wystawom, zakonnicom w minispódnicach i mężatkom bez mężów. Jak tylko ujrzał coś ciekawego, zaraz macał w kieszeni pieniądze, które go piekły.

Wreszcie doszedł do ulicy Odrzańskiej i zobaczył Jurka Malinę. Widywał go już wcześniej w salonie gier przy ulicy Dubois, ale nie zdążyli się zaprzyjaźnić, ponieważ Janiak zazwyczaj rozbijał tam automaty. Czynił to w chwilach szczególnej depresji, kiedy niedoszły teść zamykał Nitkę w szopie sam na sam z rowerem, a jemu pokazywał tę cholerną brzytwę.

Janiak uznał, że jeśli napije się ostro z małolatem Jurkiem, to być może uda mu się zerwać z piekielnym teściem i jego złowrogą brzytwą.

4.

W zadymionym lokalu czarny kot buszował pomiędzy stolikami niczym epidemia na ścieżkach zdrowia. Mniej więcej co kwadrans jakiś nieszczęśnik który nie splunął w porę przez ramię, wpadał w kolizję z wilgotnym drewnem: zwalał się ze stołu na podłogę. Ale szkło trzymało się dzielnie.

Przed Bartczakiem i panem Jankiem stanęła na baczność druga półlitrówka.

— Posłuchaj Jasiu — zaczął pryncypał — ja ani majątku, ani córki nie wezmę przecież do grobu. Ale jak ona zostanie bez ojca, to zmarnieje na tym rowerze. Może ty byś, Jasiu, zmienił jej charakter co?

— A w jakim sensie szefie?

— Ano może ty byś porobił za to siodełko u mojej Anity, hę?

— Hm, czemu nie, szefie. Ale jestem, kurdemol, bez posagu.

— He, he! Myślę bracie że lepszy swój marny posag niż siodełkowa derma. Imitacja skóry, a ty nie do zdarcia. A poza tym masz przecież te rurki...

— Chwileczkę! — ożywił się pan Janek. — Pozwolisz zainstalować?

— Jasne. Na tej aparaturze zrobisz raz dwa posag i weźmiesz z honorem córkę.

Janek przełknął to, co miał w szklance, oko mu zabłysło jak stłuczony reflektor we mgle.

— To zgoda, nie? — natarł bez wyczucia Bartczak.

— Poczekaj Stachu. Powoli, bo jestem nerwowy. Wiesz co? Lepiej wsadzę te rurki do twojej teczki.

— Ależ dlaczego?

— Dlatego, że mnie ponosi!

— No, no! Tak cię wzięła żeniaczka? — ucieszył się Bartczak.

— Myślę, że do tego też jestem za nerwowy. Jak tylko usłyszę o ślubnym szczęściu to zaraz pluję. O, zobacz, gębę mam pełną śliny...

— Faktycznie... No, to idź się odcharkać, Jasiu...

Niedoswatany Jaś wstał i potoczył po sali wzrokiem o natężeniu trzech lumenów światła we krwi. Następnie podszedł do trzeciego stolika na lewo, pochylił się i splunął do talerza z zupą jarzynową którą spożywał obywatel w cywilu...

5.

Paweł Janiak ujął pod ramię kolegę Jurka i pyta:

— Ile ty masz lat bracie?

— Siedemnaście. Bo co?

— Nic, tylko dziwię się, żeś już zakotwiczył w salonie gier.

— Bo ja jestem z zawodu niedopieszczony uczeń.

— Tak? A jak żeś zdobył ten zawód? — indaguje Paweł.

— Zakochałem się w polonistce, a ona ze wzajemności rypnęła mi sześć dwój na półrocze.

— Ho, ho! Nie próbowałeś jej zlikwidować?

— Jej nie. Chciałem zlikwidować te dwóje w łóżku profesorki, ale ta stara panna już od dawna cierpi na zboczenie...

— Taka choroba zawodowa, co? — sonduje Paweł niczym socjolog habilitowany.

— Aha. Stara wyżywa się seksualnie waląc chłopakom lufy. Ja się przez to załamałem i uderzyłem w gaz...

— To smutne. Ale myślę, że jesteś do odratowania. Na taki uraz głowy najlepszy jest klin... Klin gazu w stanie ciekłym jasne?

Paweł nabył litr bałtyckiej i poszli do „Amfiteatru" przy ulicy Sopockiej. Zamiast bryzy od morza owiewały ich fetory z moczodajnej zatoki na scenie, ale nic to, mieli przecież Baltic" za szkłem. Opanowawszy estradę, pili ów trunek w rytmie polki-idolki, niczym starzy klezmerzy na gminnym tournée w Parzęczewie. Małolat Jurek Malina wielce się roztkliwił i przyszło mu do głowy żeby zagrać na tej betonowej estradzie Hamleta. Staje tedy na koturnie i uderza w te słowy:

— Żyć albo nie żyć pieprzyć czy chędożyć, oto jest pytanie pani od polskiego. Męczę się dręczę się bracie mój Pawełku, i nie mogę sobie już poradzić z moim organizmem. A najgorsze, bracie te noce...

— Uhm. W nocy bracie organizm rośnie na gwałt. Nieraz to już nawet kołdry nie starcza. Za krótka, psiakrew, ale takie czasy...

— No, a jak ty sobie radzisz z tym monstrum w krzyżu?

— Zatrudniłem narzeczoną.

— Słuchaj, może ona by trochę popracowała nade mną, co?

Paweł Janiak rozejrzał się smętnie po zasikanym łzawo „Amfiteatrze". Zatrzymał wzrok na łysiejącej drugiej butelce, czknął niby „Paskuda" po dotarciu do źródeł zasilania zgierskiego „Boruty", poczochrał się po łbie i twarz jego wykrzywił nagły grymas nieposkromionej żądzy.

— Pieprzyć los! Pieprzyć starą pannę Hamleta! Co my się tu będziemy masturbować na scenie? Leć, Jurek, po flachę a ja przez ten czas cosik wymyślę. Pół litra żagla! — zadysponował.

6.

Stanisław Bartczak doznał lekkiego wstrząsu, albowiem takiej sceny, jaką zagrał pan Janek nad zupą, nie oglądał się nawet w telewizyjnych dobranockach.

Następnie doznał kolejnego wstrząsu. Bo oto patrzy z zachwytem jak ten jego swatany zięć prostuje z dumą pierś plującego hardo bohatera a gawiedź nagradza go brawami i pijanym aplauzem gdy nagle ten cywilny konsument odsuwa spokojnie swój talerz, wstaje, zakłada Jasiowi nelsona i mignąwszy mu przed twarzą wizytówką w sztywnej oprawce prowadzi go na zaplecze.

Bartczak otrząsnął się, chwycił za rękaw kelnera.

— Panie, poszli do kuchni? — pyta pełen zdumienia.

— Myślę, że trochę dalej...

— Gdzie u licha?

— Tam, bracie, gdzie dają po-

muj pan w Ksawerowie, dobra?

— Jasne. Zawsze tam hamuję kolegę.

Motorniczy zadzwonił na alarm i wagon ruszył. Sunął przez noc niby poduszkowiec po turniach zaplecionych drutem kolczastym. Niezwykła łagodność jazdy doprowadziła B. do utraty pamięci i przytomności. Ale kiedy tramwaj przyhamował dziarsko na przystanku Ksawerów, ogrodnik Stach spadł z ławki, zjechał na stopnie i stoczył się na chodnik. Następnie przelazł zgrabnie przez jezdnię i wlazł na kiosk.

— Muszę to zrobić tutaj — wystękał.

Potem skoncentrował się i nie licząc się z czasem, rozpiął mozolnie jeden guzik.

— Do diabła, nie mogę przecież gorszyć w chałupie własnej córki — wyjęczał z boleścia. — Nie mogę jej rozpalać, gdy Jasiu dnie w palarni...

Pracował wytrwale nad dalszymi guzikami albowiem na strychu wisiało tylko jedno zapasowe siodełko...

7.

Sklepy były już pozamykane, toteż Jerzy Malina z rozpaczy zaplątał się w takim labiryncie, z którego nie ma wyjścia, co udokumentował onegdaj pewien obiecujący literat.

W końcu jednak Malina ujrzał światełko nadziei świecące nad szyldem z wymalowanym jaskrawo pośladkiem przebitym widelczykiem o rozmiarach szpady muszkietera w kwiecie wieku.

Była to melina „U Jolki".

Nad otomaną wisiała tabliczka z napisem „Alkohol podajemy tylko do konsumpcji".

Strapiony Jurek spytał z żalem:

— Szefowo, co jest do konsumpcji?

— Ja — wyszczerzyła trzy wspaniałe zabki pani Jola.

— I biorą?

— Niestety, tabliczka nad otomaną jest nieaktualna...

No cóż sflaczałe zwłoki Joli liczyły pięćdziesiąt osiem lat, toteż nikt nie chciał wódki za specjalną dopłatą. Jurek chciał, ale nie miał na dopłatę. Wziął tylko pół litra.

Obsuszyli tę melinową flachę w drodze z amfiteatru do Pabianickiej. Pawełkowi zachciało się browaru, ale niestety, „Lotnicza" już zamknięto.

— Nie płacz, Jurek, ja cię wyleczę! — podjął nagłą decyzję Janiak.

— Bez picia?

— Bez picia. Masz tyle wódy we krwi, że nawet nie poczujesz.

— I ta Anita będzie dla mnie dobra?

— Ha ha! Anita brachu, to nie jest fuszerka u rzeźnika. To jest, kolego, zahartowana rowerzystka!

Wsiedli do pierwszego wagonu linii 41 i wylądowali łagodnie w Ksawerowie. Patrzą, a tu z drugiego wagonu wytacza się przypruty osobnik. Wstaje, pada i czołga się niby zmaltretowany bokser po trzech rundach na deskach.

— Wypada pomóc człowiekowi, nie? — rzuca niepewnie Jurek.

— Nie tylko wypada, ale należy. Życie nas, kolego, nie pieści...

Odpaliwszy po całym, poszli za pełzającym bokserem.

8.

Bartczak uporał się z guzikami i przez jego organy przewinęła się fala bezmiernej ulgi.

Nastawił czujnie uszu, bo sam przecież już skończył, a tu słyszy, że obok niego coś jakby szumi... Ale to nie deszcz, cholera!...

— No, no! Tylko nie po butach, dobra?! — wrzasnął jak opętany.

Wodospad trafił na ścianę i zgasł...

— Ożesz kurwa! — zapiał z zachwytu znajomy basik. — Słyszysz, Jurek? Teściu mnie się nawinął!

— Co, to ty? Idź precz, recydywo!

— E — ee, doprowadzimy cię, teściu.

— Akurat! Nie dla ciebie badylarka Anita, kundlu plugawy!

— Słyszałeś, Jurek? Takiego mam właśnie teścia...

Bartczak zaczął walić z wściekłością pięściami po ścianie kiosku.

— Trzymajcie mnie — jęknął — gdzie moja brzytwa!

— Nie ma teściu — zachichotał Pawełek. — Nie ma i nie będzie! Legniesz tutaj skubańcu jak kączor w błocie, a mój świarny koleś skoczy na chatę i spróbuje Anity.

Bartczak porwał teczkę i ruszył galopem do domu. Był to bardzo żałosny galop, przypominający taniec świętego Wita na Torwarze bez łyżew.

— Dopadniemy ciebie! — krzyczy za nim Janiak — A potem dopadniemy Anitę!

— Spróbuj ja tknąć, zaparańcu!

— To co teściu?

— Jak puszcza Jasia z palarni, to cię zabije! Jemu moja Nitka będzie oddana!

— Ta-aak? To on się chyba wami nie nacieszy, mój teściu. Nam się też coś z tego posagu należy nie Jurek?

— Aha, ciężkie słowa — przytakuje Malina. — A teczkę to on też ma ciężką.

Paweł chwycił Bartczaka za gardło przycisnął do drzewa i dusi. Teściu wierzga nogami jak byk na rodeo.

— Puść go — szepcze Malina — daleko nie ucieknie.

— Wydusze z gada Anitę z posagiem zatłuke!

— Puść go, za blisko ulicy...

Janiak uwolnił teścia który potoczył się chwiejnie w noc w tempie żółwia odurzonego autowidolem. Malina odciągnął na bok Janiaka i odbyli krótką naradę.

9.

Tymczasem pan Staszek oddalił się na odległość pięćdziesięciu metrów i przystanął pod klonem, ponieważ znowu zebrało mu się na operację „Guzik" u spodni. Tym razem bardziej ze strachu niż z nacisku płynów na pęcherz. Operując, słyszy głosy swych prześladowców.

— Ten facet wygląda jak babcia Aniela na żebrach — mówi sceptycznie Malina.

— Przebrany bogol Jureczku!

— Tak mówisz?

— Jak Boga kocham! Ma szklarnię i mercedesa.

— Jak go ciepniesz do rowu, zabłocisz cały posag. Na leżąco nie przemacasz, jak trzeba Faceta trzeba wytrząsnąć — stwierdził fachowo małolat wzgardzony przez polonistkę.

— To co mam kurwa, robić? — zdenerwował się Janiak.

— Zobacz, teściu czołga się do drugiego drzewa. Podtrzymaj go jeszcze trochę...

Ale kiedy Janiak dopadł teścia pod drzewem, ten zaczął okropnie wrzeszczeć wymawiając tak popularne słowa jak „skurwysyny, pomoc, bandyci

milicja". Jurek wepchnął mu w rozkrzyczane usta swą zasmarkaną chustkę i Bartczak zamilkł. Następnie ta młoda ofiara wzgardzonej miłości wyciągnęła pasek ze spodni własnych i ze spodni zakneblowanego ogrodnika. Zaciągnął paski na przegubach przypartego do pnia teścia, przeciągnął końce przez nisko wyrastający konar i zasupłał w dwa dubeltowe węzły.

Odstąpili od skazańca na metr, by mu się przyjrzeć. Czubki palców u stóp zwisały około pięciu centymetrów nad ziemią. Wyglądał jak ukrzyżowany.

— Przytrzymaj nogi, żeby nie kopał — rozkazał Paweł — a ja go zrewiduję.

Przystąpili do akcji. Bartczak udawał żebraka, toteż jego wierzchnie odzienie nie przedstawiało żadnej wartości. Ale pod spodem był trochę nadziany. Na szyi miał złoty łańcuszek ze złotym medalikiem. W tylnej kieszeni spodni znajdował się portfel, a w nim oprócz dokumentów prawie trzydzieści tysięcy w gotówce. Zięć zdjął teściowi skórzane rękawiczki oraz zegarek marki „Sportowyje". Malina stwierdził:

— Spodnie i buty ma dobre. Ciągniemy?

— Ciągniemy! — zgodził się z nutą zemsty w głosie niedoszły zięć. — I niech tak wisi skubaniec!

W lewej skarpetce znaleźli dwadzieścia pięć dolarów.

— Rany boskie! — ucieszył się Malina. — To teraz do Anity, co?

— Do miasta! Za zielone dam ci próbkę seksu z samego „Grandu".

Pozbierali wszystko, łącznie z czapką i skarpetkami, i ruszyli niemrawo wzdłuż torów do Łodzi.

10.

Mniej więcej po godzinie Bartczak oprzytomniał. Z zimna... Zdaje się, że zesztywniawszy znacznie się wyciągnął. Ale prawdę mówiąc, to trochę puściły węzły na konarze, dzięki czemu ukrzyżowany poczuł grunt pod stopami. Z trudem udało mu się uwolnić lewą rękę. Z prawa poszło łatwiej. Miał trochę wyrwanych włosów, naderwane lewe ucho, spuchniętą prawą małżowinę uszną, zdartą skórę na twarzy i na kolanie.

I w takim właśnie stanie Bartczak wpadł na radiowóz. Milicjanci wysłuchawszy go, pojechali do jego domu, aby zapobiec rozprawieniu małolata na cyklistce Anicie. Ale ona już spała zdrowo, znużona wyczerpującym treningiem. Milicjanci ruszyli przeto tropem zbójników. Po drodze znaleźli pusty portfel, nieco dalej skarpetki, a jeszcze dalej czapkę. Około dwóch kilometrów od miejsca kaźni pojawiły się w świetle reflektorów sylwetki dwóch chwiejnych pielgrzymów. Musiało im się cholernie ciężko iść, tempo mniej więcej kilometr na godzinę. Pozbawionemu paska Malinie spodnie opadały do kolan i nogawki do połowy miał paskudnie zadeptane.

Janiak miał przy sobie gotówkę, a Malina zrabowany zegarek, buty i spodnie. Teczka z rurkami i z rozrusznikiem leżała ukryta pod mostkiem kilometr od miejsca ukrzyżowania.

Paweł Janiak oprzytomniał dopiero w areszcie RUSW.

— Nic nie pamiętam, jak Boga kocham! — oświadczył ze skruchą. — Z powodu opilstwa straciłem pamięć. Ale jak teściu mówi, że go okradłem, to chyba tak było...

Obdukcja kosztowała pięćset złotych.

Wartość łupu przekroczyła osiemdziesiąt tysięcy.

A ukrzyżowanie kosztuje na wolnym rynku według cen umownych akurat tyle ile trzy lata wczasów, po których człowiek chodzi jak z krzyża zdjęty.

Nieszczęśliwa Anita wciąż jeździ na rowerze. Pedałuje z nadzieją na obiecany przez ojca ożenek. Czeka na pana Janka którego za rok zdejmą z krzyża.

Pogoda dla złodziei

EUGENIUSZ IWANICKI

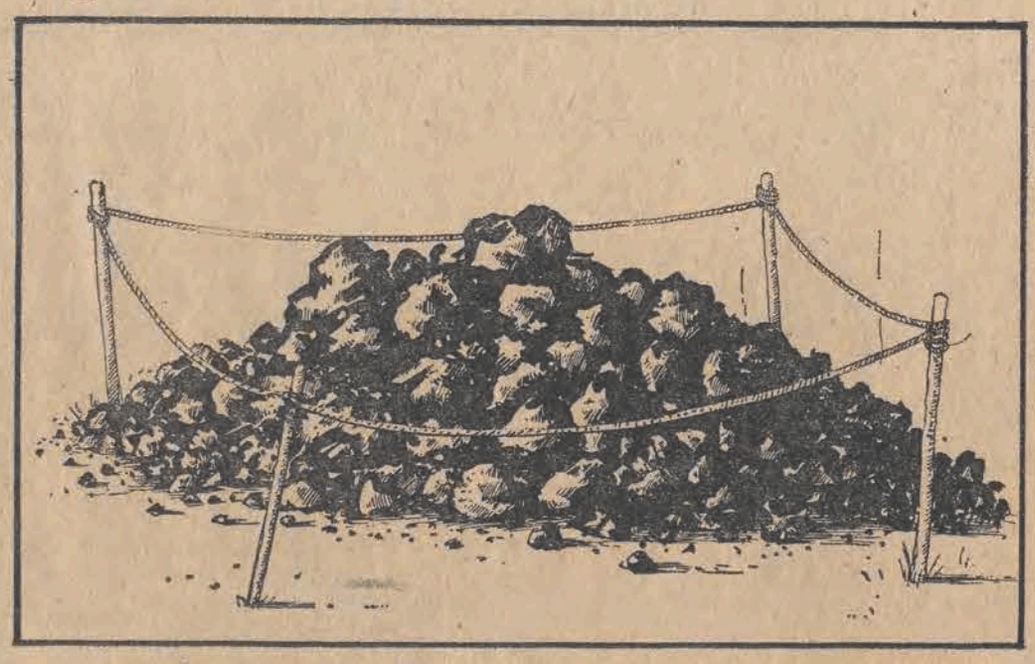

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Tytuł sugeruje, że w Polsce złodziejom powodzi się znakomicie i jeśli nic się nie zmieni, ich egzystencja pozostanie niezagrożona. Po prostu działają w warunkach niezwykle sprzyjających. Jest to wszakże złudzenie, bo coraz częstsze wpadki, a potem procesy udowadniają, iż mimo chwilowej prosperity, nad złodziejami ciągle zwisają ciemne chmury. Praktyka dowodzi, że prędzej czy później Temida kładzie na szale swojej sprawiedliwej wagi złe uczynki wszystkich tych kombinatorów, oszustów, naciągaczy i morderców, a cele więzienne zamykają się za nimi na wiele lat.

Niejeden raz na łamach „Odgłosów" pisałem o kradzieżach na kolei, gdzie są idealne wprost warunki do dokonywania tego rodzaju przestępstw. Nigdzie indziej nie ma tak rozległych przestrzeni, tylu niezależnych od siebie, a przecież współdziałających, służb, nie ma takiego ruchu i wprost niezliczonej różnorodności towarów. Dniem i nocą pulsuje tu życie, co kilkanaście minut wjeżdżają i wyjeżdżają pociągi, pracują pełną parą dźwigi suwnice, przez przejazdy przewalają się wyładowane po brzegi samochody. Jak sprawdzić czy wywożony towar na pewno trafi do odbiorcy? Jak skontrolować czy załadowana koksem wywrotka jedzie zgodnie z kartą drogową czy jest to zwyczajnie „lewy" towar?

Zacznijmy jednak od początku, choć tak naprawdę to nikt dziś nie wie, kiedy ten początek zaistniał. Dla nas początkiem będzie fakt zatrzymania pewnego kierowcy, co spowodowało istną lawinę aresztowań i rzuciło sporo cienia na dwie szacowne instytucje: Państwową Komunikację Samochodową i Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej, mieszczące się w Łodzi.

POCZĄTEK LAWINY

Notatka urzędowa, jaka wpłynęła do Komisariatu Kolejowego MO Łódź-Kaliska: „W dniu dzisiejszym (tj. 2.07.1984 — przyp. I. E.) *w wyniku podjętych czynności ustaliłem, że kierowca III Oddziału Państwowej Komunikacji Samochodowej w Łodzi ul. Gibalskiego 2/4 Ob. Antoni Mieczysław Król s. Mieczysława i Katarzyny z d. Gontarek ur. 11.03.1956 r., dokonał kradzieży 7,5 tony koksu wartości około 22.000 zł*

W.w. w dniu 29.06.1984 r. pracując w dyspozycji Ekspedycji Terenowej PSK Łódź-Kaliska przy odbiorze węgla i koksu, zagarnął wspomnianą wyżej ilość koksu przeznaczonego dla warsztatów szkolnych Zespołu Szkół Papierniczo-Poligraficznych w Łodzi ul. Edwarda 41 i zawiózł go, sprzedając za sumę 15.000 zł, prywatnemu, nielegalnemu odbiorcy w osobie Stanisława Szymańskiego.

Notatkę wraz z zatrzymanym przekazuję do dyspozycji".

To był początek lawiny choć na dobrą sprawę nikt nie przypuszczał, że będzie ona aż tak wielka. Zatrzymanie jednego kierowcy — złodzieja przecież niczego nie może sugerować. Jednakże służby pracujące przy ochronie kolei od dawna podejrzewały, że węgiel i koks „przecieka" że działa tu dobrze zorganizowana grupa przestępcza, że kradzież jest prowadzona na szeroką skalę. Niestety nie było żadnego punktu zaczepienia. I dopiero zatrzymanie owego Antoniego Mieczysława Króla pozwoliło na przeprowadzenie rozległej akcji likwidacyjnej.

Niemal natychmiast Prokuratura Rejonowa dla Dzielnicy Łódź-Polesie wszczyna śledztwo powierzając jego prowadzenie Komisariatowi Kolejowemu MO Łódź-Kaliska. W uzasadnieniu wiceprokurator Beata Mik pisze, że po zaznajomieniu się z aktami dochodzenia postanawia wszcząć śledztwo w sprawie *„zagarnięcia co najmniej 180 ton węgla i koksu łącznej wartości nie mniejszej aniżeli 400 tys. zł przez pracowników Przedsiębiorstwa Spedycji Krajowej — Ekspedycja Terenowa Łódź-Kaliska, działających w porozumieniu, współdziałających z innymi osobami, przy wykorzystaniu działalności wymienionej jednostki gospodarki uspołecznionej tj. o przestępstwo z art. 202 § 2 kk"*

KRÓL „SYPIE"

Skoro los go nie oszczędził, a wręcz przeciwnie, pozwolił by milicja zgarnęła go jako pierwszego, Antoni Mieczysław Król od razu się załamał. Nie „szedł w zaparte", nie kluczył ani nie lawirował. Bo i po co? Aresztowanie pozostałych wspólników było już tylko kwestią czasu. Więc mówi, podaje nazwiska, adresy przytacza szczegóły mające dla śledztwa istotne znaczenie. Czasem się przejęzyczy, ale natychmiast prostuje wypowiedź, uściśla ją. Mówi:

„Po załadowaniu przez suwnicowego około 5 ton koksu pojechałem w kierunku lotniska „Lublinek". Po dojechaniu do lotniska około 500 m zatrzymałem się samochodem i na pieszo poszedłem do portierni, stanąłem przy okienku portierni i podałem kwit do podstemplowania, że dostarczyłem koks. Wykorzystałem moment, kiedy przez bramę portierni na Lublinku wjeżdżały dwa samochody z koksem. Portier podstemplował i podpisał kwit dostawy i w ogóle nie zorientował się, że ja samochodem nie wjechałem z koksem. Mając w ten sposób podpisany i podstemplowany kwit odjechałem z lotniska Lublinek. Samochodem z koksem pojechałem na ulicę Kuźnicką, gdzie miałem wcześniej podany adres. Adres ten otrzymałem od mężczyzny w okularach, który u lewej ręki nie miał palców. Mężczyzna ten zawsze rano stoi w Alejach Włókniarzy i podaje nam adresy lub prowadzi nas do umówionych wcześniej odbiorców. Jest to tak zwany „naganiacz". W dniu 25.06.1984 r. ja samochodem z koksem na ulicę Kuźnicką pojechałem właśnie z tym mężczyzną. Mężczyzna ten po zajechaniu na ul. Kuźnicką wyszedł z kabiny samochodu i całą transakcję załatwił ze starszym mężczyzną, jak się domyśliłem — z właścicielem tej posesji. Po otwarciu bramy ja tyłem samochodu wjechałem na podwórko, wysypałem koks. Po wysypaniu koksu mężczyzna ten wszedł do kabiny mego samochodu i wyjechaliśmy w kierunku dworca Łódź-Kaliska. Podczas jazdy mężczyzna ten dał mi za zrzucony koks pieniądze w sumie 16 tys. zł. Ja się nie pytałem ile on wziął za ten koks. Byłem zadowolony, że otrzymałem od niego 16 tys. zł".

Jak widzimy wszystko odbywało się dość sprawnie, bez nadmiernych „nerwów" bez paniki i strachu, że ktoś mógłby zatrzymać samochód wyładowany po brzegi koksem. Zresztą w tej sytuacji koks był już niczyj, bowiem ów portier na Lublinku własnoręcznie zaświadczył — a nawet uwierzytelnił to pieczątką — że 5 ton koksu zostało zrzuconych gdzie trzeba. Pozostawało zrobić coś z kilometrami na liczniku, ale dla doświadczonego kierowcy to wrecz dziecinada.

Kiedy Antoni Mieczysław Król wracał po nowy ładunek, facet bez palców u lewej ręki złożył kolejną propozycję: trzeba „załatwić" kolejne 5 ton dla kolejnego odbiorcy. Najlepiej od zaraz.

No, cóż, skoro trzeba... Ponownie podjechał pod suwnicę. Samochód aż ugiął się na resorach od ciężaru. Teraz trzeba tylko dobrze uważać i nie jechać jak ten głupi wprost na wagę. Los sprzyjał Antoniemu Mieczysławowi Królowi. Na placu panował piekielny ruch: krzyki, warkot silników, gryzący kurz w powietrzu, a do tego na 4 pracujące suwnice, jest raptem jeden magazynier placowy. Okazja jak rzadko. Więc nacisnął pedał gazu, wyminął wagę i budynek dyspozytorni i tyle go widzieli. Zresztą i tak nikt by go nie gonił, bo inne samochody ustawiały się w kolejkę.

Na Alei Włókniarzy „podebrał" owego naganiacza i pojechali teraz na ulicę Franciszka. Co za dobry dzień: znów Antoni Mieczysław Król zainkasował 16 tys. zł! Przyszłość rysowała się wprost różowo, a pogoda zapowiadała się być niedołącznym elementem dni, które go jeszcze czekały. A były to dni dobre, obfitujące w gotówkę, wprost sielankowe: to 8 tys. zł, to 10, znów 16 i jeszcze raz 16 i jeszcze....

LAWINA NABIERA ROZPĘDU

Postanawiając o tymczasowym aresztowaniu Antoniego Mieczysława Króla prokurator w uzasadnieniu pisał, że jest on podejrzany, że w *„dniach od 25 czerwca do 29 czerwca 1984 roku w Łodzi, będąc zatrudnionym w charakterze kierowcy-konwojenta w PKS i mając odpowiedzialność materialną za powierzone mienie, działając w czynie ciągłym zagarnął mienie społeczne w postaci 21.300 kg koksu wartości 63 tys. zł na szkodę PSK Łódź-Kaliska, fałszując jednocześnie podpis osoby odbierającej koks — to jest o czyn z art. 200 § 1 kk, w zw. z art. 265 § 1 kk oraz art. 58 kk".*

Jednocześnie zabezpieczono mienie ruchome, tj. zabezpieczono „Mercedes 200D" wyceniając go na 400 tys. zł (zakładając, że jest to wartość szacunkowa, gdyż samochody marek zachodnich na giełdzie nie schodzą niżej niż milion zł, choćby były rocznikami emerytalnymi).

W pierwszym swoim wyjaśnieniu Antoni Mieczyław Król mówi jedynie o naganiaczu, który wszystko „załatwiał" i który niejako pośredniczył w transakcjach finansowych pomiędzy nim a odbiorcami koksu. Natomiast nie wspomina ani słowem o wspólnikach z placu czyli o tych od wagi i o dyspozytorach. Dopiero konfrontacja z nimi przywraca mu pamięć. Owszem, powiada, dawał. Były to kwoty małe właściwie niewarte wspomnienia, jakieś tam tysiąc czy dwa tysiące złotych miesięcznie. Ot jałmużna i tyle. Po co dawał? Żeby czasem nie widziały czego nie powinny były widzieć — szczególnie wagowe — i nie zadawały głupich pytań.

Dość interesująco przedstawiają się zeznania Beaty Pawlak, młodej dziewczyny, którą „zaopiekowała się" starsza pracownica Barbara Kaniecka i nauczyła ją jak trzeba pracować, by oprócz pensji bez wysiłku zarobić drugie tyle. Otóż Beata Pawlak pracowała początkowo razem ze wspomnianą Barbarą Kaniecką, potem usamodzielniła się. Barbara Kaniecka, wprowadzając w życie młodą dziewczynę i ucząc kradzieży, powiedziała, *„że wielokrotnie w przeszłości załatwiała w ten sposób dodatkowe dochody i jak dotychczas nic jej nie zagrażało"* Beata Pawlak stwierdza: *„Ja osobiście także widziałam jak kierowcy PKS-u rozwożący węgiel i koks dawali Barbarze Kanieckiej pieniądze za sprzedany koks i węgiel... Barbara Kaniecka uczyła mnie także w jaki sposób załatwić sprawę, gdy kierowca PKS-u ma „lewy" kurs, aby następnie sprzedać nielegalnemu nabywcy. W tym też okresie czasu dostałam od Barbary Kanieckiej kilkakrotnie pewne sumy pieniędzy... od 16.XI.1983 do połowy grudnia 1983 pieniędzy w kwocie 10 tys. złotych... Od Barbary Kanieckiej wiem ponadto — ona mi o tym powiedziała — że oprócz nas kierowcy muszą płacić także magazynierom placowym... także dyspozytorowi, który dysponuje kwitami dostawy oraz prowadzi wykaz wagonów".*

No dobrze, ale skąd kobieta pracująca przy wadze wie, który kierowca jest „swój", a który nieużyteczny i służbista? Beata Pawlak wyjaśnia: *„...dyspozytor zmianowy przychodzi do nas i mówi, że następnym kursem kierowca taki to a taki będzie jechał z lewym kursem. Wówczas my wiedziałyśmy już, że gdy on — tzn. ten wskazany nam kierowca — wjedzie na wagę, to my pozorujemy jedynie ważenie, lecz nie wpisujemy na jego kwit danych dotyczących ilości węgla i koksu znajdującego się na skrzyni jego samochodu. Kwit dostawy otrzymuje kierowca od dyspozytora zmianowego. Kierowca odjeżdża z koksem lub węglem a my otrzymujemy pieniądze".*

W PROKURATURZE PRZYBYWA AKT

Tak więc sprawa kradzieży węgla i koksu na stacji Łódź-Karolew zatacza coraz szersze kręgi. Prokuratura Wojewódzka w Łodzi po wpłynięciu kilku zażaleń podejrzanych na postanowienia o przedłużeniu tymczasowego aresztowania na czas powyżej trzech miesięcy, w uzasadnieniu wniosku o nieuwzględnienie zażaleń skierowanego do Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, podnosi, że „z uwagi na dużą liczbę osób podejrzanych (w tym 24 osoby tymczasowo aresztowane) wszechstronne wyjaśnienie wszystkich okoliczności sprawy wymaga wykonania szeregu pracochłonnych czynności procesowych, w tym aktualnie — konfrontacji podejrzanych badania dokumentacji rozchodowej opału, możliwie precyzyjnego ustalenia wartości skradzionego węgla i koksu itd.".

Tymczasowo aresztowano, jak wspomniano, 24 osoby (w tym w stosunku do dwóch osób ze względu na stan ich zdrowia po pewnym czasie uchylono ten środek zapobiegawczy); w tym 9 kierowców z I i III Oddz. PKS w Łodzi, którzy zagarnęli najwięcej, 9 osób z obsługi tj. magazynierów, wagowych, dyspozytorów, brygadzistów, 6 „naganiaczy" czyli ludzi spoza branży, a przecież od dawna nierozdzielnie związanych ze złodziejami. Naganiacze rekrutują się przeważnie z elementu stanowiącego tzw. margines społeczny, w większości są to osobnicy nigdzie nie pracujący, awanturnicy, pijacy, karani w przeszłości przez sądy i Kolegia o/s Wykroczeń za kradzieże i włamania. Zapewne nie jest łatwo z tymi ludźmi rozmawiać, nakłonić do mówienia prawdy.

A przecież pozostaje jeszcze spora liczba „odbiorców" kradzionego koksu i węgla, którzy nie pytali skąd i kto oferuje im towar, tylko brali, płacili i prosili o jeszcze. Ilu ich było? Kim są? Żmudna praca śledcza odpowie i na te pytania, choć zajmie to wszystko sporo czasu. Miałem możliwość obejrzeć pudło tekturowe, w które mógłby łatwo zmieścić się kolorowy telewizor „Jowisz", a w którym znajdują się dokumenty przesłane przez PSK w Łodzi do dyspozycji prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Polesie.

Przeglądając kilka tomów akt, wczytując się w zawiłości wyjaśnień osób podejrzanych oraz świadków, ciągle miałem wrażenie, że czegoś tu nie ma, że nie znajduje bardzo istotnego dokumentu, jakim winien być dokument wyjaśniający stosunek PKS do całego zajścia. W końcu jest! Parę stroniczek maszynopisu i tyleż załączników pisanych odręcznie. Posłuchajmy przeto co pisze dyrekcja Przedsiębiorstwa Spedycji Krajowej Oddział w Łodzi.

WYJAŚNIENIE, KTÓRE NIE WYJAŚNIA

Zanim przejdę do szczegółów, należy się Czytelnikom drobne wyjaśnienie: na stacji kolejowej Łódź-Karolew jest tor kolejowy oznaczony symbolem „300". Na tym właśnie torze odbywało się rozładowywanie wagonów z opałem. Czasem jeden wagon jest rozładowywany przez 5 do 12 samochodów. Czasem kilka suwnic obsługuje jeden człowiek. W okresie od 1.01.1983 do 31.07.1984 rozładowano 9.202 wagony.

Teraz przejdźmy do wyjaśnień złożonych przez Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej Oddział w Łodzi. Otóż ustalono m.in. że *„Wystawiano kwity dostawy w sposób uniemożliwiający rozliczenie tego druku jako ścisłego zarachowania, ponieważ numerowano je w jednym, dwóch i trzech egzemplarzach a wystawiano kwit na pierwszy kurs w dwóch egzemplarzach, pozostałe zaś kursy do tego wagonu w 1 egz. Druki kwitów były wydawane w 1983 r. z Działu Gospodarczego na tor 300 bez żadnej numeracji, dopiero od stycznia br. nadawano im numery. Taki sposób wystawiania nie pozwala ściśle rozliczyć stanu zużycia".*

A tak na marginesie, należy dodać, że kwity wystawiali dyspozytorzy jak popadło, albo jak chcieli: wpierw na przykład wystawiono kwit o numerze 412, a potem od razu szedł numer 62 lub 81! I jakoś nikogo to ani nie dziwiło, ani nie interesowało, choć były to przecież druki ścisłego zarachowania.

W dalszym ciągu swojego wyjaśnienia, PSK tłumaczy: *„Na kwitach dostawy w wielu przypadkach poprawiano wagę przesyłki uprzednio zapisaną przez wagową PSK lub usługobiorcę"* A więc mazano tak, by nikt nie mógł się doczytać o co chodzi. Poprawiano lub też przerabiano na tychże kwitach numery samochodów i numery wagonów. Nie zgadzają się także daty wystawienia kwitów placowych z datami kwitów dostawy, choć dotyczą tego samego wagonu. Często na kwitach nie ma pokwitowań odbiorcy lub jest ono niepełne (brak pieczątki lub podpisu). Na kwitach placowych lub kwitach dostawy brak odnotowania faktu, że kierowcy powierzono tę przesyłkę do przewozu. Słowem bałagan i koszmar organizacyjny. Stwierdzono m.in., że 28 kursów nie ma udokumentowania, a mimo to dyspozytorzy ekspedycji potwierdzili je jako przewozy wykonane na rzecz ekspedycji. By już całkowicie prace zmienić w satyrę, od stycznia do września 1983 r. ekspedycja miała uszkodzoną wagę samochodową i przesyłki w tym czasie nie były ważone przez PSK choć pracownicy wpisywali wagę na kwitach dostawy. Wizjonerzy i cudotwórcy! Na oko wiedzieli ile koksu jest na samochodzie! Dodajmy do tego, że wpisy te były często poprawiane i przerabiane, a obraz pracy na torze 300 będzie pełny.

I tu nasuwa się niewesoła refleksja: czyżby PSK nie miała żadnej wewnętrznej komórki kontroli? A jeśli miała, to czy kontrole są przeprowadzane raz na rok, raz na pięć lat czy może dopiero na wniosek prokuratora?

Sądzę, że na te oraz inne pytania dokładnej odpowiedzi udzieli przewód sądowy.

Z półki recenzenta

GROTESKA

Chodzi o groteskę w sztuce polskiej XX wieku, o której traktuje obszerna, starannie wydana książka Tomasza Gryglewicza. Autor dość wnikliwie dokonał analizy tego, tak przecież ważnego, zjawiska w malarstwie i grafice najwybitniejszych naszych twórców (Matejki, Witkacego, Makowskiego, Czyżewskiego, Chwistka i innych). Całość została wzbogacona licznymi reprodukcjami obrazów i grafik. Szkoda iż są one czarno-białe i nie oddają należycie walorów, jakie przedstawiają oryginały. Stąd niedosyt przy lekturze całości i uzasadniony zawód, a także pretensje pod adresem wydawcy.

Tomasz Gryglewicz: Groteska w sztuce polskiej XX wieku. Wyd. Lit. 1984. Str. 190. Cena 210 zł.

PIERŚCIEŃ I RÓŻA

To już X wydanie tej poczytnej i mającej ugruntowaną sławę książki dziewiętnastowiecznego autora W. M. Thackeraya. Jest to cudowna baśń o tajemniczym pierścieniu i zaczarowanej róży, przez dotknięcie których ludzie stają się wspaniali, piękni, szczęśliwi i godni miłości. Właściwie zostają spełnione najskrytsze pragnienia, odwieczne marzenia o posiadaniu rzeczy, które tak rzadko udaje się posiąść.

Namawiam do lektury tej baśni zarówno młodzież jak i dorosłych, którzy przecież także nie zapomnieli marzyć.

Spolszczyła Zofia Bogoszówna.

Willam Makepeace Thackeray: Pierścień i róża. PIW 1984. Str. 204. Cena 100 zł.

ALAIN ROBBE-GRILLET

Wybitny twórca „nouveau roman" ponownie zaskoczył swoich czytelników, a myślę, że i krytykę także. W swoim najnowszym dziele „Dżin. Czerwona wyrwa w bruku ulicznym" bardzo dokładnie wymieszał tajemniczość z wieloznacznością, rzeczywistość z freudowską „rzeczywistością snu", czas przeszły z przyszłym, a wszystko to na tle kryminalnej zagadki, choć tak naprawdę to do końca nie jesteśmy przekonani co się właściwie wydarzyło i jakie będą ostateczne losy głównego bohatera.

Przekład Lody Kałuskiej.

Alain Robbe-Grillet: Dżin. Czerwona wyrwa w bruku ulicznym. Wyd. Lit. 1984. Str. 96. Cena 95 zł.

PIĘKNY WIEK XIX

Pojawiła się książka, która wzbudzi zainteresowanie nie tylko historyków, ale i tych wszystkich, dla których nasze dzieje ojczyste stanowią źródło wiedzy o nas samych. Mówię o zbiorze artykułów Jerzego W. Borejszy zebranych w tomie pod wspólnym tytułem „Piękny wiek XIX". O czym są te historyczne rozważania? Przede wszystkim o wielkich Polakach, którzy zaznaczyli swoją obecność w historii XIX-wiecznej Europy (Mickiewicz, Norwid, Dąbrowski, Hauke-Bosak i in.), ale przy tym obalają zakorzenione w nas mity nie mające historycznych uzasadnień.

Jerzy W. Borejsza: Piękny wiek XIX. Czyt. 1984. Str. 534. Cena 210 zł.

MAKUSZYŃSKI — DZIECIOM

Otrzymaliśmy kolejne wydanie jednej z przezabawnych opowieści dla dzieci autorstwa dwóch twórców: Makuszyńskiego i Walentynowicza. Mówię o książeczkach „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki" oraz „Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje".

Na tych książeczkach i niezapomnianym Koziołku-Matołku wychowało się już kilka pokoleń Polaków, a mimo to są one ciągle świeże, zabawne, śmieszne i wcale nienudne. Spełniają bowiem podstawową zasadę koedukacyjną: uczyć — bawiąc. Wielkie brawa należą się Drukarni Wydawniczej im. W. L. Anczyca w Krakowie za staranne wydanie obu książeczek.

K. Makuszyński, M. Walentynowicz: Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki. Str. 22. Cena 55 zł. Fiki-Miki dalsze dzieje, kto to czyta ten się śmieje. Str. 22. Cena 55 zł. Wyd. Lit. 1984.

O RZYMSKIEJ INKWIZYCJI

Dość późno (rzecz dotyczy XVI w.) doczekała się u nas przekładu relacja studenta-luteranina, który jako innowierca, trafił przed sąd Świętego Officium. A przecież jest to prawie unikat, gdyż nie ma jak dotąd tak szczegółowych pamiętników ludzi, którzy kiedykolwiek stykali się z wszechpotężną inkwizycją.

Na podkreślenie zasługuje także fakt, iż pamiętnik został poprzedzony obszernym, niezwykle ciekawym wstępem Lecha Szczuckiego, w którym przedstawił on historię rzymskiej inkwizycji XVI w., jej potęgę i jej bezlitosne okrucieństwo.

Przekład Mikołaja Szymańskiego.

Philippus Camerarius: Prawdziwa i wierna relacja o uwięzieniu w Rzymie. PIW 1984. Str. 274. Cena 180 zł.

Od „Dziadów" do „Godota"

Już niemal do tradycji należy, że premiery teatralne na łamach *Odgłosów* omawiam z dużym opóźnieniem. Chyba to tradycja nie najlepsza, żeby wręcz nie powiedzieć: naganna. Na retardacje te mają wpływ różne przyczyny, dla mnie istotne (rozliczne zajęcia, podróże itp.), ale cóż mogą one obchodzić czytelnika, który wymaga obsługi rzetelnej i terminowej! A nasz klient — nasz pan.

Pisząc jednak dopiero dziś recenzję z premiery sztuki *Czekając na Godota*, która odbyła się 17 listopada 1984 roku, mam szansę pokusić się o bardziej przetrawiony przekaz swoich wrażeń i refleksji. Przez te tygodnie, jakie upłynęły od premiery, wracałem po prostu często w myślach do nie najłatwiejszej materii teatralnej, jaką stanowi tekst Samuela Becketta, i do kształtu scenicznego, w jaki została oprawiona.

Czekając na Godota oglądałem już na scenach kilka razy. Po raz pierwszy w 1957 roku (a więc przed blisko trzydziestu laty, jakże nieubłagany jest bieg czasu!) w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Była to prapremiera polska tej sztuki opóźniona jedynie o cztery lata wobec jej prapremiery światowej w paryskim teatrze *Babylone*, przygotowanej przez Rogera Blina, zmarłego w 1983 roku aktora i reżysera, jednego z najwybitniejszych inscenizatorów dramaturgii Eugéne'a Ionesco, Jean Geneta i właśnie Becketta. W reżyserowanym przez siebie spektaklu *Czekając na Godota* obsadził się w roli Pozza.

Mariusz Wojciechowski i Mariusz Saniternik

Foto: Romuald Sakowicz

Warszawska inscenizacja odbyła się, jak powiedziałem, w 1957 roku. Zrozumiałe. Trzeba było przemian polskiego Października, by nie pasujący do stalinowskiego modelu socrealistycznego tekst można było przekazać ze sceny polskiej publiczności. Przedstawienie reżyserował Jerzy Kreczmar, autorem scenografii był zmarły w 1971 roku mistrz Władysław Daszewski, zaś role Estragona i Vladimira kreowali znakomici, także już nieżyjący aktorzy Józef Kondrat i Tadeusz Fijewski. Stało się ono dużym wydarzeniem teatralnym, okazją do licznych analiz tekstu dramatycznego Becketta, a także filozofii, która legła u jej podstaw.

Łódź długo czekała na *Godota*... Premiera odbyła się w maju 1973 roku w Małej Sali Teatru Nowego w reżyserii niezapomnianego Witolda Zatorskiego (ileż to dotkliwych ubytków w teatrze na przestrzeni kilkunastu lat!). Parę protagonistów w przedstawieniu zagrali Zbigniew Józefowicz i Bogusław Sochnacki. W roli Pozza wystąpił zmarły w ubiegłym roku Zygmunt Malawski, a Lucky'ego zagrał Ryszard Stogowski.

Zbigniew Józefowicz — jedyny z tej czwórki — występuje i w nowej inscenizacji *Macieja Prusa* w Teatrze im. Stefana Jaracza, tym razem jako Pozzo. Zarysowuje się więc pewna ciągłość personalna łódzkich inscenizacji. Przy niewielkiej, bo pięcioosobowej obsadzie sztuki to rzecz niebagatelna.

Istnieje wszakże inny jeszcze klucz obsadowy nowej wersji scenicznej *Czekając na Godota*. Zasygnalizował mi go w rozmowie prywatnej Maciej Prus tuż po premierze *Dziadów*. Inscenizator oświadczył, że przystępuje do pracy nad sztuką Becketta i że dwie podstawowe role obsadzi aktorami grającymi w dramacie Mickiewicza Konrada i Księdza Piotra.

A zatem *Mariusz Wojciechowski* w roli Vladimira i *Mariusz Saniternik* jako Estragon. Taka obsada nie może być przypadkowa, ma w przedstawieniu swoje konsekwencje. Prus nie wyjaśnił mi swoich motywów, dodał tylko, że te dwie inscenizacje — Mickiewicz i Beckett — stanowić będą w jego współpracy z Teatrem Jaracza swoisty zamknięty cykl.

Dziady i *Czekając na Godota!* Pozornie nie istnieją żadne racje dla ułożenia tych dwóch jakże odległych od siebie tekstów dramatycznych w jakikolwiek wspólny porządek. Musiał się ich jednak doszukać tak konsekwentny i samodzielny myślowo inscenizator. W wypowiedziach prasowych przed premierą *Dziadów* Prus dopatrywał się w wielkim poemacie scenicznym nie tylko cech romantyczno-polskich, ale także znamion ponadnarodowych i ponadczasowych, korespondujących ze współczesną dramaturgią światową.

Ze strony reżysera nie padło więcej informacji. Przynajmniej ja o nich nie wiem. Ale samo zasygnalizowanie istnienia jakiegoś iunctim między płomienną poezją wieszcza a współczesnym teatrem absurdu sprowokowało mnie do prób odszyfrowania na własną rękę toku myślowego Macieja Prusa. Było to zadanie niemal detektywistyczne. Czy udało mi się je rozwiązać? Nie mnie sądzić. Ale podzielę się wynikami swego *dochodzenia* z czytelnikami.

Prześledziłem pod tym kątem *Czekając na Godota*, domyślając się, że w tym właśnie tekście odkrył Prus jakieś związki z *Dziadami*. Aby odpowiedzieć na to pytanie, zajmijmy się najpierw pisarstwem Becketta zademonstrowanym w tej sztuce.

Dalekie jest ono od tradycyjnej dramaturgii, czy w ogóle literatury próbującej odwzorowywać fragmenty świata rzeczywistego. Taka fotograficzna metoda, charakterystyczna dla realizmu, dzięki stosowaniu soczewki powiększającej pozwala zgłębiać niedostrzegalne dla nie uzbrojonego oka głębsze treści życia, ukryte jego sprężyny. Pozostawia jednak gąszcz spraw ubocznych, spowijających bluszczem przedstawiane problemy. Widz czy czytelnik sam musi się przedzierać przez tę dżunglę, by dotrzeć do sedna.

U Becketta inaczej. To redukcja złożoności świata do samej esencji, obnażanie mechanizmu życia z całej konkretności i ukazywanie go w formie klinicznie czystej. To teatr wielkiej syntezy, przechodzący obojętnie obok szczegółów, a zmierzający do odsłaniania prawd ogólnych. Jakie to prawdy chce wyartykułować Beckett, obdzierając je z szat, w jakich zwykły występować?

Wielki pisarz Lion Feuchtwanger napisał kiedyś w swym fresku powieściowym *Wojna żydowska: Taki już jest los człowieka, że nawet najcudowniejsze ziszczenie nie może wypełnić olbrzymiej przestrzeni, wydrążonej przez oczekiwanie.* Czy myśl tak sformułowana nie naprowadza na esencjonalną treść sztuki *Czekając na Godota?*

Beckett, eliminując całą ornamentację, sprowadza egzystencję ludzką do oczekiwania. Na coś, czy na kogoś? Powiedzmy, że na Godota. Nieważne. W samej funkcji oczekiwania, a nie w złudnych cząstkowych spełnieniach mieści się rytm życia. Takie rozumowanie pisarza karmi się konstatacjami współczesnych mu filozofów: Martina Heideggera, Karla Jaspersa, Miguela de Unamuno, widzących tragizm człowieka w jego uwikłaniu w życie, we wtrąceniu w nieubłagane tryby. Wszelka aktywność ludzka, próba oswobodzenia się przypomina bezsensowną szarpaninę muchy zamotanej w nici pajęczej i lepiącej się do niej za każdym ruchem coraz bardziej.

Demonstrując absurd ludzkiej egzystencji na przykładzie Estragona i Vladimira — Gogo i Didi — pozbawia Beckett swych bohaterów biografii, życiowego kontekstu, środowiska. I to zarówno środowiska ludzkiego, za wyjątkiem dwóch kontaktów z Pozzo i Luckym, jak i naturalnego, sprowadzonego do jednego na wpół uschniętego drzewa na tle pustki księżycowego krajobrazu. Najchętniej, gdyby to było w teatrze możliwe, zbliżyłby się Beckett do obrazu abstrakcyjnego.

Po ustaleniu, że oczekiwanie i osamotnienie to w ujęciu Becketta główny sens istnienia ludzkiego, powróćmy do *Dziadów!* Czy i u Mickiewicza mamy się doszukać antycypowanych tropów filozofii egzystencjalnej? Tego chyba od poety pierwszej połowy XIX wieku oczekiwać nie można. Gustaw, a potem Konrad tkwi w bogatym, miejscami bardzo realistycznym układzie uwarunkowań obyczajowych, społecznych i narodowych. Nawet warstwa oniryczno-zabobonowa poematu migoce różnorodnym, feerycznym blaskiem, nie mającym nic wspólnego z programową oschłością i ascetyzmem Becketta w prezentacji swoich bohaterów.

Jeśli więc szukać wspomnianego iunctim, to przede wszystkim w zabiegu narracyjnym, jakiego dokonuje Mickiewicz w *Wielkiej Improwizacji. Samotność — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?* — rozpoczyna Konrad swój wielki monolog. I nagle porzuca jakby świat rzeczywisty z całym jego blichtrem i szczegółowością, by wkroczyć w inny wymiar, w chłodną kąpiel kosmicznego bezkresu, w którym opadają przyziemne emocje, a pozostaje wielka samotność i rozmowa z Bogiem, który milczy, pogłębiając alienację bohatera.

Po tym wyabstrahowaniu Konrada przez Mickiewicza następuje scena *Widzenia Księdza Piotra*. Prostsza, mniej wyrafinowana i mniej patetyczna od improwizacji Konrada, ale również stawiająca braciszka zakonnego poza światem doczesnych doznań, wprowadzająca go w bezcielesność i nieskończoność.

Nic dziwnego, że tych dwóch pozornie przeciwstawnych sobie protagonistów spina poeta klamrą w dialektyczną jedność. Pozostaje krok do stwierdzenia, że podobne wyobcowanie i podobną jedność stanowi duet Gogo — Didi, podlegający także sprzężeniu zwrotnemu i poszukujący na swój nieefektowny sposób absolutu.

Tak zatem można doszukać się analogii między postaciami zrodzonymi z wyobraźni Mickiewicza a bohaterami Becketta, pisarza, który w 105 lat po śmierci polskiego romantyka sięgnął po najwyższy laur literacki — Nagrodę Nobla. Czy podobnymi drogami biegła myśl Macieja Prusa, gdy dopatrzył się pokrewieństwa między dwoma utworami dramatycznymi, które dzieli ponad stuletni przedział czasu? Czy odgadłem motywację inscenizatora? To pozostanie zapewne jego tajemnicą.

Natomiast bardziej czytelne są konsekwencje obsadowe. Przystępując do reżyserii *Dziadów*, Prus nie znalazł w zespole Teatru im. Jaracza dojrzałego kunsztem aktora, któremu mógłby powierzyć rolę Gustawa-Konrada. Alternatywą było: albo zrezygnować z inscenizacji, albo zagrać pokerowo, stawiając na młodego aktora. Przecież mickiewiczowski Konrad to wreszcie dwudziestolatek. Reżyser wybrał drugą ewentualność, dodając Mariuszowi Wojciechowskiemu równie młodego partnera — Mariusza Saniternika jako Księdza Piotra. Dostrzegając wówczas niedostatki warsztatowe obu wykonawców, doceniłem w recenzji rzetelny ich wysiłek i ambicję.

Aktor, a zwłaszcza młody aktor, rośnie z roli na rolę, jeśli jest właściwie prowadzony. Wielką szansą obdarzył Prus Wojciechowskiego i Saniternika, dając im zagrać w przeciągu ośmiu miesięcy główne postacie w *Dziadach* i w *Czekając na Godota*. Uważam, że obaj aktorzy nie zaprzepaścili tej szansy, prezentując się w sztuce Becketta z najlepszej strony.

A zadanie i tu — choć może nie tak gigantyczne jak w *Dziadach* — nie było przecież łatwe. Wspomniana wyżej asceza Becketta nie wyposaża Vladimira i Estragona w wiele cech osobniczych, na których oprzeć by się mogli wykonawcy w budowie postaci scenicznych. Dla filozoficznej wymowy pozbawił Beckett swą sztukę wszelkiej efektowności i dramatycznych napięć. Atmosfera wyczekiwania, nudy ludzkiej egzystencji, odmalowana została w tekście *Czekając na Godota* barwami wyblakłymi i posypana pyłem.

Jeśli dziś, po trzydziestu latach od prapremiery paryskiej podnoszą się głosy, że sztuka zwietrzała, to przypisać winę za nie należy pewnemu doktrynerstwu, jakie przyświecało dramaturgii Becketta, każąc mu tworzyć teatr wyprany z teatralności i wszelkiego wdzięku, przypisany szarości i brzydocie. W 1953 roku świat potraktował *Czekając na Godota* jak objawienie, w siedem lat później zwieńczył autora Noblem, nobilitując w jego dziele trud wytyczania nowych dróg dla teatru. Dziś w nowatorstwie Becketta widzi się coraz częściej manieryczność.

Czy oznacza to, że moda na Becketta minęła? Nie sądzę. Dopuszczając nawet krańcowo krytyczne sądy, stwierdzić musimy fakt, iż *Czekając na Godota* to już trwały składnik kanonu repertuarowego XX-wiecznego teatru, to szczebel w jego rozwoju. A zatem już klasyka, do której należy wracać.

Trzeba przyznać Maciejowi Prusowi, że przedstawienie w Teatrze Jaracza przygotował perfekcyjnie, z precyzją zegarmistrzowską. Obok Saniternika i Wojciechowskiego realizują swoje zadania aktorskie w sposób przemyślany i jednorodny: *Grzegorz Heromiński* (Lucky) i *Zbigniew Józefowicz* (Pozzo). W epizodycznej roli Chłopca występuje *Krzysztof Franieczek*.

Oprawę plastyczną spektaklu, zgodnie z założeniami autora pozostawiającymi niewielkie pole do manewru scenografowi, przygotował *Andrzej Witkowski*.

Kontakt Macieja Prusa z teatralną Łodzią zaowocował świetnie.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Samuel Beckett CZEKAJĄC NA GODOTA (En attendant Godot); przekład — Antoni Libera; reżyseria — Maciej Prus; scenografia — Andrzej Witkowski; Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi, premiera — 17 listopada 1984.

W świecie prawdy i kłamstwa

1.

Edukacja poprzez literaturę — tak określiłem kiedyś twórczość Wiesława Jażdżyńskiego. Bohaterowie jego powieści uwikłani są w przeróżne perypetie: osobiste, rodzinne, obyczajowe, a nawet w wojenne. Właściwy wybór wartości pozwala im przezwyciężyć konflikty, przy czym zasadniczą rolę odgrywa wierność ideałom poznanym i przyswojonym w latach młodości, wierność patronatowi Stefana Żeromskiego.

2.

Biografia Wiesława Jażdżyńskiego zaważyła na literackim dorobku. W oparciu o własne przeżycia układa on coraz to nowe, odmienne, lecz przecież podobne fabuły. Nietrudno tedy odkryć tajemnicę tego pisarstwa. Uważny czytelnik odnajdzie w „Świętokrzyskim polonezie" jej wcale nieprzypadkowe wyjaśnienie: *„Tajemnica leży w tym, że ja zawsze biorę za podstawę swoich opowiadań autentyczny fakt, albo całe wydarzenie, tylko że poczynam sobie z nim po swojemu, kreuję na poczekaniu równie prawdopodobną, ale inną, znacznie ciekawszą rzeczywistość i najczęściej sam w niej uczestniczę. W tym sensie sam jestem prawdą i zmyśleniem".* W tym sensie również prawdą i zmyśleniem są bohaterowie kolejnych książek.

W pisarstwie Wiesława Jażdżyńskiego dominują trzy sprawy. Szkoła jako instytucja wychowująca i kształcąca, najdokładniej chyba ukazana w „Okolicy starszego kolegi", a obecna niemal we wszystkich jego utworach. Partyzantka czasów drugiej wojny światowej jako najwyższy stopień wtajemniczenia w problemy patriotycznej edukacji społeczeństwa. I wreszcie moralna edukacja, widoczna zwłaszcza w powieściach ostatnich, prezentowana na wybranych przykładach z życia działaczy kultury oraz jej twórców.

3.

„Prawda" należy do słów-kluczy tego pisarstwa. Uwidacznia się to już choćby w tytułach: „Między prawdą a chlebem", „Daleko od prawdy", „Prawdy ze świata kłamstw"... Hasło prawdy oznacza tu potrzebę autentycznego życia oraz podejmowanie prób — nie zawsze zresztą skutecznych — poszukiwania sensu życia. Znaleźć optymalny *modus vivendi*, czuć jednostkową wolność i społeczną przydatność zarazem, być użytecznym i przekonanym o bezwzględnej słuszności własnego postępowania — oto ideał, do którego z niemałym trudem dążą bohaterowie prozy Wiesława Jażdżyńskiego.

Moralistyka tej prozy jest bardzo konkretna. Akcja powieści „Prawdy ze świata kłamstw" rozgrywa się na początku lat osiemdziesiątych. Jest to okres przewartościowań w życiu narodu. Jest to okres przewartościowań w życiu powieściowych bohaterów. Dokonują się one gwałtownie — zgodnie z duchem czasu. Iluminacja następuje w najmniej spodziewanym momencie: *„I nagle zdał sobie sprawę z przerażającego faktu — zabrakło mu słów powszechnego użytku, tych zawsze przystających do potrzeby, zawsze na miejscu, nie miał z czego zbudować przemówienia. Suwerenność, wolność, jedność moralno-polityczna, dynamiczny rozwój mimo trudności, niewzruszalne zasady ustrojowe, wierność najlepszym tradycjom ruchu, zbiorowy obowiązek, druga Polska w pierwszej dziesiątce potęg ekonomicznych świata, skuteczny manewr gospodarczy, zawsze mu tych słów i pojęć starczało nawet na długie wystąpienia, a teraz jakby się nagle zużyły i przestały cokolwiek znaczyć".* Iluminacji doznaje „inżynier dusz" — znakomity reporter, chluba miejscowej rozgłośni radiowej — w chwili, gdy pisze okolicznościowe przemówienie dla miejscowego prominenta. I następuje coś w rodzaju rachunku sumienia, poprzedzającego porządkowanie życia.

4.

Ów nowy porządek moralny bohater powieści Wiesława Jażdżyńskiego chce zaprowadzić we wszystkich płaszczyznach swego życia. Wyjątkowo silnie odczuwa potrzebę scalenia osobowości, potrzebę stosowania takich samych kryteriów w życiu prywatnym i zawodowym: koniec z układami, koniec z lokajstwem, koniec z łgarstwem, koniec z nieobyczajnym prowadzeniem się! Postanowienie poprawy zdaje się tak przemożne, iż radiowiec Wojciech zaraża swym przykładem przyjaciela i oddziaływuje promiennie na otoczenie. Okazuje się jednak, że same dobre chęci tu nie wystarczą. Nad Wojciechem zaciążyło *fatum*, zaskoczyły go wypadki, których źródło tkwi jeszcze w okupacyjnych latach: pojawia się szantażysta doprowadzający do śmierci ukochaną Wojciecha. W życiu prywatnym Wojciech ponosi więc klęskę. Nie ma ona jednak destrukcyjnego charakteru. Raczej mobilizuje. W kulminacyjnym punkcie powieści bohater stwierdza: *„Dużo jeszcze lat przede mną czy mało, trzeba je przeżyć jak najlepiej".* Szczerość, sprawiedliwość i konsekwencja — oto nowa dewiza dawnego gwiazdora mikrofonu. Czy uda się ją zrealizować dowiemy się, być może, z kolejnej powieści Wiesława Jażdżyńskiego.

5.

Powieść „Prawdy ze świata kłamstw" to nie tylko projekcja w przyszłość. To przede wszystkim krytyczna obserwacja teraźniejszości. To przełożenie na język literatury wielu spraw znanych z publicystyki lat ostatnich. Na przykład takiej sprawy: *„Chodzi tylko o gotowe wnioski. Piekarnie mają dawać wiele gatunków chleba, a nie dają. Jednak nie chleb się przecież liczy, lecz wniosek. Rolnictwo musi wyżywić naród, brawo wnioskodawca, dać mu order, choć naród stoi w kolejkach. Szkoła musi przygotować do życia, wnioskodawcę na pierwsze strony gazet za ten wniosek...".* To również wiele wnikliwych i nie pozbawionych złośliwości uwag o współczesnych polskich obyczajach. Zwłaszcza oszczędna acz smakowita erotyka przydaje tej powieści rumieńców.

6.

W rzeczywistym i w powieściowym świecie prawdy i kłamstwa ustawicznie mieszają się. Wciąż na nowo trzeba się uczyć ich rozróżniania. Za wszelką cenę. Tak brzmi moralne przesłanie tej prozy.

Wiesław Jażdżyński: „Prawdy ze świata kłamstw", Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1984, s. 220, nakład 30.000 egz. cena zł 80,—

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Band Aid

O tym, że w niektórych krajach Afryki ludzie głodują wiemy od dawna. W ubiegłym roku tragedia mieszkańców czarnego kontynentu przybrała zatrważające rozmiary. Klęska nieurodzaju wywołana suszą stulecia doprowadziła do drastycznego spadku podaży żywności. Najgorzej przedstawia się sytuacja w Nigrze, Sudanie, Etiopii, Kenii i Mozambiku. Również w innych państwach strefy suchej są obszary zamieszkane, na które od dwóch lat nie spadła ani jedna kropla deszczu. Opierając się na amerykańskich danych „Newsweek" informuje, że w Afryce głód zagraża 150 milionom osób. W środkach masowego przekazu najczęściej mówi się o sytuacji w Etiopii, gdzie ekipy filmowe zarejestrowały wstrząsające obrazy cierpienia głodujących. Gdy świat dowiedział się o tragedii, do Afryki zaczęły napływać pieniądze. W akcji niesienia pomocy uczestniczą kraje rozwinięte oraz wyspecjalizowane organizacje międzynarodowe. Część darów pochodzi od osób prywatnych.

Po obejrzeniu telewizyjnej relacji z Etiopii Bob Geldof z grupy rockowej The Boomtown Rats też początkowo chciał wysłać pieniądze. Dopiero Sting przekonał go, że można zrobić więcej. Przeprowadzili rozmowy z brytyjskimi piosenkarzami i muzykami. Projekt nagrania wspólnej płyty, z której dochód otrzymałaby ludność Etiopii został zaakceptowany jednomyślnie. Tak powstał zespół Band Aid. Słowa piosenki „Do They Know It's Christmas?" Bob Geldof napisał podobno w taksówce do nie wykorzystanej kompozycji The Boomtown Rats. Współautorem muzyki jest Midge Ure z grupy Ultravox. Geldof postarał się o bezpłatny winyl i inne niezbędne materiały, zorganizował produkcję płyty, nakłonił detalistów, aby zrezygnowali z zysku, wreszcie zadbał o odpowiednią reklamę dla singla Band Aid.

Termin sesji nagraniowej wyznaczono na 25 listopada. Zespół Duran Duran odwołał z tej okazji koncert w RFN. Członkowie Spandau Ballet przerwali japońskie tournée. Najpóźniej poinformowano Boy George'a. W dniu poprzedzającym termin sesji jego grupa zakończyła występy w USA. „Nie zdążę. Nie ma teraz samolotu" — tłumaczył się przez telefon. Geldof jednak nie zrezygnował: „O dziewiątej startuje Concorde. Czekamy". I tak do grona brytyjskich gwiazd dołączył wokalista Culture Club. W sumie w sesji uczestniczyło kilkudziesięciu wykonawców. Byli wśród nich m.in. członkowie Status Quo, U2, Wham, Bananarama i innych słynnych zespołów. David Bowie miał śpiewać pierwszą zwrotkę, ale spóźnił się o jeden dzień. Jego wypowiedź nagrano w innym terminie i nałożono na motyw muzyczny „Feed The World". W ten sam sposób grupę Band Aid zasilili m.in. Paul McCartney i Annie Lennox.

Zapytany przez prezentera Radia Luksemburg, czy nikogo nie szokował widok tylu gwiazd pracujących razem, Bob Geldof odpowiedział: „Wyglądali przeciętnie. Jak chór bywalców pobliskiego baru. Z żadnym z nich licząca się firma fonograficzna nie podpisałaby kontraktu".

Cena singla „Do They Know It's Christmas?" wynosi £ 1,35. Z tego £ 0,35 stanowią koszty manipulacyjne i podatek, a £ 0,05 zatrzymuje handel na wypadek, gdyby płyta miała fabryczną wadę i nie nadawała się do sprzedaży. Reszta tzn. około £ 0,95 przekazywana jest do Etiopii. Do końca ubiegłego roku Brytyjczycy kupili 3 miliony egzemplarzy. W USA w ciągu 3 dni sprzedano podobną ilość. Również w wielu innych krajach singel Band Aid zajmuje czołowe pozycje na listach bestsellerów. Ludzie wykupują po kilka egzemplarzy. Zdarzają się tacy, którzy nabywają 50 płyt, a następnie 49 oddają do sklepu, aby mogły być ponownie sprzedane.

W Wielkiej Brytanii piosenka „Do They Know It's Christmas?" pobiła wszelkie rekordy popularności. Żaden singel nie osiągnął tak dużego nakładu. Płytę tłoczy równocześnie kilkanaście wytwórni. Dwa tygodnie przed końcem roku sprzedawano dwukrotnie więcej egzemplarzy singla Band Aid niż wszystkich pozostałych 39 płyt, które znalazły się na liście „Top 40" Radia Luksemburg. Trudno przewidzieć, czy „Do They Know It's Christmas?" wyrówna światowy rekord należący do krążka z piosenką „White Christmas" w wykonaniu Binga Crosby'ego (25 milionów egzemplarzy). Bardziej realna wydaje się liczba 10 milionów. Należy jednak pamiętać, że nie jest to zwyczajna płyta. Podpisali się pod nią ludzie, którym nieobojętny jest los Etiopii. Również większość nabywców zdaje sobie sprawę z tego, że każda zakupiona płyta to kolejna porcja żywności dla głodujących w Afryce. „Jestem zachwycony sukcesem singla" — powiedział niedawno Geldof w wywiadzie dla radia BBC — „Osoby, które płytę kupiły są, tak samo jak wykonawcy, częścią Band Aid. Niedawno ukazał się w sklepach film w wersji wideo nakręcony podczas sesji nagraniowej „Do They Know It's Christmas?" i „Feed The World". Firma Polygram sprzedaje go po wyjątkowo niskiej cenie, aby jak najwięcej pieniędzy zasiliło fundusz pomocy dla ofiar suszy.

Niestety są tacy, którzy na piosenkach Band Aid sami chcą się wzbogacić. „Melody Maker" z 15 grudnia informował o pojawieniu się na rynku koszulek nieznanego pochodzenia z nadrukiem „Feed The World". Wytwórnia płytowa Phonogram apelowała do potencjalnych nabywców, żeby kupowali wyłącznie towary reklamowe oznaczone komputerowym symbolem producenta, gdyż tylko wtedy ich pieniądze przekazane zostaną do Etiopii. Popularność singla „Do They Know It's Christmas?" skłoniła niektórych właścicieli sklepów muzycznych do podwyższenia ceny, mimo że Geldof prosił, aby utrzymać ją na poziomie £ 1,35. Większość detalistów jednak zrezygnowała tym razem z prawa do ustalania cen.

Za przykładem Geldofa i Band Aid poszli inni wykonawcy. Członkowie zespołu Imagination i Howard Jones przekazali niedawno dochód ze swoich koncertów na fundusz pomocy dla Etiopii. Za Oceanem myśli się o amerykańskim odpowiedniku Band Aid. Geldof przeprowadził już wstępne rozmowy na ten temat z Brucem Springsteenem, Princem oraz muzykami grup The Cars i Van Halen.

„Czy można uratować Afrykę?". Pod takim tytułem tygodnik „Newsweek" zamieścił w listopadzie artykuł o sytuacji na czarnym kontynencie. Pytanie to zadają sobie dziś miliony ludzi na całym świecie. Raport FAO wskazuje na potrzebę długofalowej i kompleksowej pomocy ze strony krajów rozwiniętych. Mówi się jednocześnie o konieczności przeprowadzenia reform gospodarczych. Tymczasem liczy się również pomoc doraźna. Dziesięć milionów egzemplarzy singla „Do They Know It's Christmas?" to blisko 12 milionów dolarów dla Afryki.

GRZEGORZ WALENDA

Kronika kulturalna

BOGATO zapowiada się program imprez na styczeń Łódzkiego Domu Przyjaźni. Wśród wielu interesujących warto wymienić kilka. I tak 4 stycznia w XII Liceum Ogólnokształcącym otwarta została wystawa **„Historia Polskiej Partii Robotniczej w 43 rocznicę jej powstania".** Natomiast 18 stycznia z okazji wyzwolenia Łodzi zostanie otwarta wystawa pt. **„Łódź droga naszemu miastu",** a także tego samego dnia, również w salach Łódzkiego Domu Przyjaźni odbędzie się „Koncert artystów scen łódzkich". Ważna impreza, szczególnie dla młodzieży odbędzie się pod koniec miesiąca, 25 stycznia. Rozpoczną się eliminacje do XXIV Konkursu Piosenki Radzieckiej. Będzie to I etap przesłuchań na szczeblu podstawowym (szkolne, międzyszkolne, zakładowe, międzyzakładowe, osiedlowe, międzyosiedlowe). Bliższe informacje na temat tego etapu można uzyskać w Komitetach Organizacyjnych przy ZD TPPR.

W BIURZE Wystaw Artystycznych otwarta została wystawa grafiki Krzysztofa Wawrzyniaka.

NOWA wystawa zostanie otwarta 18 stycznia w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym. Wystawa nosi tytuł **„Morawska kultura ludowa".**

STOWARZYSZENIE Twórców Kultury jest organizatorem kolejnego przedstawienia z cyklu prezentacje. Tym razem spotykamy się z twórczością **Jerzego Urbankiewicza.** Przedstawienie **„Szmerek na widowni"** odbędzie się z udziałem aktorów scen łódzkich Haliny Pawłowicz i Bogdana Wróblewskiego.

UROCZYSTA akademia z okazji 40 rocznicy wyzwolenia Łodzi odbyła się w Teatrze Muzycznym. Organizatorem jej był Zakładowy Komitet Obchodów 40-lecia PRL Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex". Jednym z punktów akademii było omówienie 65-lecia działalności zakładowej placówki upowszechniania kultury i 40-lecia jej pracy w Polsce Ludowej.

18 STYCZNIA odbędzie się I Łódzki Wieczór Muzyki Bluesowej Top Blues Feeling 85. Wystąpią na nim polskie sławy tego gatunku muzyki: Paweł Ostafil, Tadeusz Nalepa, Jan Skrzek, Józef Skrzek, Zespoły Ireneusz Dudek Blues Session, Easy Rider i Nowa Grupa Ameryka. Życzymy miłych wrażeń.

SŁAWOMIR DARZYCKI z redakcji „Głosu Robotniczego" otrzymał nagrodę Zarządu Łódzkiego Ligi Morskiej za rok 1983/84. Przypominamy, że nagrodę tę ustanowiono dla dziennikarzy prasy, radia i telewizji za najlepsze publikacje dotyczące szeroko rozumianej tematyki morskiej.

W OKRESIE świątecznym Filharmonia Łódzka wystąpiła z szeregiem koncertów tzw popularnych. Ostatni z tego cyklu odbędzie się 18 i 19 stycznia. Tym razem orkiestra pod batutą amerykańskiego dyrygenta **Tomasza Michalaka** zaprezentuje łódzkiej publiczności program złożony z kompozycji i aranżacji znanego twórcy muzyki rozrywkowej i kierownika popularnej orkiestry G. Mantowaniego.

6 STYCZNIA w Teatrze Studyjnym'83 im J. Tuwima odbyło się przedstawienie dyplomowe studentów IV roku Wydziału aktorskiego PWSFTviT. Studenci pokazali dramat Antoniego Czechowa „Płatonow". Reżyserem i scenografem przedstawienia jest **Maciej Prus.** Muzykę skomponował **Janusz Stokłosa.**

W SALONIE Sztuki Współczesnej czynna jest wystawa malarstwa **M. Tchórzewskiej.** W Galerii Bałuckiej akwarele prezentuje **I. Trelińska.** Natomiast w Ośrodku Propagandy Sztuki i w Galerii Sztuki BWA obejrzeć można współczesną grafikę.

JURY Nagród „Polityki" 1984 przyznało nagrody za książki z dziedziny najnowszej historii Polski, wydane w 1983 r. Przyznano siedem równorzędnych nagród. W dziedzinie prac naukowych oraz popularnonaukowych nagrody otrzymali: **Patrycy Dziuszyński** za książkę „Osadnictwo rolne na Ziemiach Odzyskanych" (LSW), **Ryszard Nazarewicz** za książkę „Razem na tajnym froncie" (Wydawnictwo MON), **Olgierd Terlecki** za książkę „Generał Sikorski" (WL), **Jan Tomicki** za książkę „Polska Partia Socjalistyczna 1892—1943" (KiW). W dziedzinie wydawnictw źródłowych nagrodę otrzymał **Artur Eisenbach** za edycję książki Emanuela Ringelbluma „Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939 — styczeń 1943" (Czytelnik). W dziedzinie pamiętników, realacji i wspomnień nagrody otrzymali **Stanisław Broniewski** za książkę „Całym życiem — Szare Szeregi w relacji naczelnika" (PWN) oraz **Włodzimierz Mus** za książkę „W służbie boga wojny" (Wydawnictwo MON). Nagrodę za debiut otrzymał **Jerzy Jagiełło** za książkę „O polską drogę do socjalizmu. Dyskusje w PPR i PPS w latach 1944—48" (PWN).

BOHDAN GADOMSKI

Bomba zapalna w Sali Kongresowej

Ważne, że właśnie w Nowym Jorku, bo bohaterka tej opowieści dostała się do wielkiego świata... Co prawda, ten „wielki świat" okazał się początkowo fabryką konfekcji na Brooklynie, ale od czegoś trzeba zacząć.

II. TANCERKA U KATHERINY DUNHAM

Kiedy znakomita tancerka i szefowa słynnej grupy baletowej Katherina Dunham przyjęła ciemnożółtą szwaczkę do zespołu — nie znaczyło, że umieściła ją na przodzie sceny, pozwalając tańczyć solowe numery. Młodej adeptce pozwolono jedynie... ćwiczyć, ćwiczyć ćwiczyć. Dopiero w dniu swoich 20 urodzin — uznana została za dostatecznie przygotowaną do wyjazdu wraz z całym zespołem na tournée zagraniczne.

To był start.

Śpiewać zaczęła przypadkowo, wypchnięta na scenę w zastępstwie za chorą piosenkarkę. Było to podczas kolejnego tournée zespołu Dunham w Paryżu. Zaśpiewała wtedy „Kwiecień w Paryżu".

Znalazła w sobie tyle odwagi, aby stanąć przed mikrofonem, tak jak znalazła ją i wtedy, gdy angażowała się do zespołu tanecznego.

I oto nie chciana, nie zaakceptowana córka czarnoskórej zbieraczki bawełny z Karoliny stała się ulubienicą snobistycznej i wybrednej publiczności paryskiej. „Najbardziej ekscytująca osobowość", na taki komplement może zasłużyć sobie nie byle kto, a jeżeli sam wielki Orson Welles zwrócił uwagę na debiutantkę, to musiał to być talent wysokiej próby, choć jeszcze nie odkryty i nie ukształtowany na miarę swojej wielkości.

III. PIERWSZA CZARNA MAŁGORZATA

Orson Welles powierzył jej rolę „pierwszej czarnej Małgorzaty" w przygotowywanej przez siebie w 1951 roku monumentalnej inscenizacji „Fausta" Goethego. Później grała u równie głośnych reżyserów (debiut filmowy u boku Sammy Davisa juniora w głośnym filmie „Anna Lucasta"), by na koniec podbić również nowojorski Broadway.

Ale największy sukces, do dziś dnia zresztą dyskontowany, odniosła jako wykonawczyni superprzeboju „C'est si bon". I przełomowej daty w jej życiu artystycznym, czyli 1954 roku, nie można pominąć, bo od nagrania modnego wówczas przeboju Bettiego, zachodni świat dostał na jej punkcie bzika, a grono najwybitniejszych fachowców uznało, że jest to w ogóle najlepsze nagranie muzyki rozrywkowej, jakie w ostatnich latach (pięćdziesiątych) wypuszczono na rynek światowy.

Znamy i pamiętamy z polskiej anteny radiowej ten specyficzny, jedyny w swoim rodzaju głos, który na tle trąbek orkiestry Henri Renego, w sposób cyniczny, a jednocześnie piekielnie kuszący pół recytuje, pół śpiewa (w języku francuskim):

„Szukam milionera z olbrzymim Cadillakiem,
futrem norkowym, biżuterią... aż po szyję,
rozumiecie...?
Ewentualnie kogoś z niewielkim jachtem,
prawda?
Wiecie przecież, że czekam na kogoś kto może mi zapewnić luksus.
Dziś wieczór?
Jutro?
Hmmm... to będzie ktoś...
Szalony... czy nie?
Otóż to, to jest najważniejsze!".

IV. „C'EST SI BON"

Po nagraniu tylko tej jednej piosenki otrzymała różne prezenty, np. brylant tak wielki jak pięść, parę słoni, pałac w Egipcie, bezcenną biżuterię i inne, różne podarunki od możnych tego świata.

Otrzymała też tytuł „najbardziej podniecającej kobiety świata", np. hamburski „Der Spiegel" stwierdził, że niezależnie od tego, czy piosenkarka śpiewa piosenkę dziecinną, czy hymn państwowy, najdalej po 2 zwrotkach mężczyźni poszliby za nią do piekła. „New York Times" oświadczył na swoich łamach, że to po prostu bomba zapalna, która w każdym utworze potrafi rozniecić płomienie. Widocznie potrafiła, skoro wśród jej rozmówców, wielbicieli, przyjaciół znaleźli się: Albert Einstein, premier Indii Nehru, premier Birmy U-Nu prezydent Stanów Zjednoczonych Nixon królowa Anglii Elżbieta II, a także Aga Khan, Robert Kennedy, Marlon Brando, James Dean, Jean Paul Sartre, James Baldwin...

Trudności w porozumieniu się nie miała żadnych, gdyż mówi sześcioma językami — angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim, włoskim i tureckim. W tyluż językach śpiewa, a nawet i w innych. Np. na jej doskonałe nagranie „African Lullaby" składa się tekst w języku angielskim i w języku „suahili.

V. PORA NA PREZENTACJĘ FENOMENU...

EARTHA KITT.
160 cm wzrostu, 48 kg wagi.
To niewiele ale...

Ta piosenkarka, tancerka, aktorka — nie mieści się w żadnej z utartych kategorii, z wyjątkiem może „star symbol". Jej biografię pod względem malowniczości można porównać z życiorysami Józefiny Baker, Marleny Dietrich, Edith Piaf, czy Billie Holiday.

Dla szerokiej publiczności jest do dziś uosobieniem erotyzmu w piosence: „zmysłowa, tajemnicza, zła, piękna czarna kocica, kobieta fatalna, sophisticated lady", lub po prostu „niezrrrównana", jak lansował ją jej polski odkrywca Lucjan Kydryński.

W latach 50-tych była rzeczywiście jedyna, niepowtarzalna, była tą, z którą identyfikowały się na całym świecie młode dziewczyny, których dzieciństwo upłynęło wśród nędzy i okropieństw zakończonej nie tak dawno wojny...

Była nią także wtedy, gdy rzuciła swój autorytet międzynarodowej gwiazdy na szalę walki, prowadzonej przez pastora Martina Luthera Kinga o desegregację dzieci w amerykańskich szkołach, a potem wypowiedziała się przeciwko wojnie prowadzonej przez jej kraj, po drugiej stronie Pacyfiku.

Biały Dom zaprosił ją najpierw jako „konsultantkę w sprawie zwalczania zjawisk przestępczości i nieprzystosowania dzieci oraz młodzieży"; by po jej zdecydowanych występach na temat Wietnamu poddać inwigilacji i naciskom ze strony CIA i FBI. I zaczęło się „wykańczanie" Earthy Kitt w drodze zakulisowych zabiegów u bossów Hollywoodu i Broadwayu. Lata sześćdziesiąte i pierwsza połowa lat siedemdziesiątych były okresem dość krytycznym w biografii gwiazdy. Najpierw odwrócił się od niej Hollywood, potem Broadway, wreszcie wielkie firmy płytowe. Pozostawiono jej tylko występy w kasynach Las Vegas i Reno, gdzie zobaczyła naszą Violettę Villas i po jej występie w rewii „Casino de Paris" biła brawo jak szalona, a łzy jak grochy lały się po jej policzkach; te obie osobowości i kariery były do siebie bardzo podobne, choć wtedy o tym obie nie wiedziały.

„Sadystyczna nimfomanka" lub „kosmopolityczna postać o dwuznacznej reputacji" była wielką atrakcją dla milionerskiej publiczności, która przychodziła na jej występy i patrzyła jak na dzikie zwierzę na arenie.

A zwierzę było wtedy zaszczute i osamotnione w swojej walce o przetrwanie.

VI. COMEBACK

57-letnia gwiazda rzadko kiedy wschodzi ponownie na gwiezdny firmament. Eartha Kitt weszła do „azylu" gasnących gwiazd i nic nie zapowiadało zmiany w jej życiu artystycznym.

Ale oto, w sezonie 1983/84 powróciła na światowe listy przebojów jako... gwiazda disco!

Poważne firmy płytowe i wielkie agencje koncertowe zainteresowały się nią ponownie. Wcześniej Jimmy Carter, po objęciu urzędu prezydenckiego, jak gdyby w formie ekspiacji za wyczyny innych agend rządowych, zaprosił Kitt do Białego Domu. Po paru latach weszła na amerykańskie i światowe listy przebojów z hitem „I love Men" („Kocham mężczyzn").

I tak zafundowała sobie i swoim wielbicielom comeback. Zjawisko niezwykłe, ta która była symbolem seksu i nowoczesności dla rodziców obecnej „dyskotekowej" generacji, powróciła na światowe listy przebojów jako gwiazda muzyki disco, potrafiła zafrapować młode pokolenie, a to udaje się tylko ich rówieśnikom lub niewiele starszym wykonawcom. Recenzent tygodnika „Variety" napisał o jej przebojach: „I Love Men" i „Where Is My Man": „Po serii utworów z inkubatora, ktoś znowu potrafił tchnąć życie w piosenkę — zaśpiewać jak kobieta, a nie zaprogramowany komputer". Współczesne gwiazdki „new romantic" i „post punk" wydają się sztuczne, wyjałowione z temperamentu i kobiecości w porównaniu z Eartha Kitt, śpiewającą swoje najnowsze przeboje". Więc może przyszła nareszcie moda na „kobiety-tygrysice", „kobiety-zagadkowe", „kobiety-kobiety".

Na ostatnie koncerty Kitt w Paryżu i Berlinie Zachodnim przybyły najmodniejsze ostatnio postacie rock-sceny i zasiadły w pierwszych rzędach.

Bo spotkanie z odtwórczynią „C'est si bon", „I Want to be Evil", czy „Let's do it", jest szkołą najwyższej klasy profesjonalizmu scenicznego.

VII. EARTHA KITT W POLSCE, TO NIEMOŻLIWE?!

5 i 6 października 1984 roku zapowiadano dwa koncerty Earthy Kitt w Katowicach, w największej sali, czyli katowickim „Spodku". Sprzedano 10 biletów. Występy odwołano. Nie wiadomo kto zawinił, ale faktem jest, że reklama poprzedzająca jej występy była niedostateczna zaś fakt obecności na liście przebojów śląskiego magazynu „Panorama", niewystarczający do ponownego zainteresowania się dawną gwiazdą.

Foto: Piotr Syndoman

wości estradowej można było rozpoznać, niemniej frapująca kobietę, wspaniałego człowieka o wielkim sercu.

VIII. BOMBA ZAPALNA W SALI KONGRESOWEJ CZYLI EARTHA KITT W WARSZAWIE!

A jednak przyjechała. 10 grudnia 1984 roku na warszawskim lotnisku Okęcie, powitana kwiatami przez przedstawicieli Pagartu i wywiadem dla milionów przez Telewizję Polską. Uśmiechnięta, zadowolona, życzliwa ciekawa Polski i Polaków. Nie chciała oficjalnego spotkania z prasą, wolała obiad u polskiej rodziny w bloku na Ursynowie.

Jadąc na jej drugi koncert w warszawskiej Sali Kongresowej, czytałem w porannej prasie, że poprzedni odbył się przy pustawej sali — Dlaczego, gdzie przyczyna, przecież warszawska publiczność słynie ze swego snobizmu i uwielbia bywanie na koncertach światowych sław.

Przed koncertem żadnej atmosfery dość charakterystycznej dla tak wielkich imprez w reprezentacyjnej sali Warszawy.

Ogromna Sala Kongresowa (parter, amfiteatr loża, balkony) zapełniała się wyjątkowo powoli i długo.

Przybyli widzowie w starszym i średnim wieku, trochę młodzieży. Niewiele, bo zaledwie kilka znanych osób z profesorem Aleksandrem Bardinim na czele.

W pierwszych rzędach nie zasiadły rodzime gwiazdy i gwiazdeczki, dla których ten koncert był obowiązkową lekcją nauki wszystkiego co należy wiedzieć na temat bycia i śpiewania na estradzie.

Honoru polskich piosenkarzy broniła jedynie Stenia Kozłowska, której i ta lekcja już nie pomoże.

Wstyd i skandal!

Ze zdumieniem i przerażeniem zobaczyłem, że mimo godziny 19 (czas rozpoczęcia koncertu) zapełnił się tylko parter, amfiteatr po obu stronach pozostawał pustawy, loże i balkony puste.

Tak powitała jedną z najwybitniejszych piosenkarek świata — Warszawa.

Kiedy zajrzałem na widownię pół godziny przed koncertem Eartha ustawiała na scenie mikrofony, coś tam uzgadniała, sprawdzała.

A na wielkiej pustej, nieprzyjemnej i nie sprzyjającej pojedynczym występom scenie, obok fortepianu, składu perkusyjnego gitary, saksofonu, sofy i mikrofonu — czarne kotary. I nic więcej. Przypominało to tak charakterystyczne dla naszych domów kultury scenki, pozbawione jakichkolwiek dekoracji, ciepła, nastroju. Nie najlepsze standardowe kolumny nagłaśniające i akustyk za konsoletą umieszczony między parterem a amfiteatrem. Nie zapowiadało to nic dobrego bo aby wypełnić sobą te kolosalną salę, zajętą przez publiczność w 1/3 całości, trzeba nie lada kunsztu, siły, osobowości, aby przebić mur milczenia, obojętności, wyczekiwania i zwykłej ciekawości.

— Jaka ona jest na żywo, w 57 roku życia, czy ma jeszcze głos i seks, czy będzie tańczyła, czy leżała na przygotowanej sofie??

— Połóż się babciu — mówił siedzący za mną mężczyzna w średnim wieku.

Lucjan Kydryński, którego wybrano na prezentera gwiazdy rzeczywiście się zestarzał, co sam na wstępie przyznał, nie powiedział niczego nowego, za to powtórzył samego siebie z okresu lansowania Kitt w radiowej „Rewii piosenek". No cóż, myślał pewnie, że czas zatrzymał się i artystka wyjdzie do nas z radiowego pudełka taka sama jak za starych, dobrych czasów...

Eartha Kitt ubrała się elegancko, wytwornie, skromnie. Przy pierwszym wejściu ciemnozielona suknia z kołnierzem-kryzą (falbany), żadnych ozdób. Przy drugim — czarna suknia z efektownym rozcięciem. Długi, biały lis był raczej rekwizytem.

Weszła roześmiana, swobodna, autentycznie ciesząca się ze spotkania z polską publicznością, choć ta nie przybyła w komplecie.

Za sobą miała czterech białych muzyków w czarnych smokingach, a przed sobą warszawską publiczność.

I rozpoczął się koncert.

Bywa, że słynne, wspaniałe głosy gwiazd, znane z płyt lub radiowej anteny, nie brzmią tak jak na nagraniach, chyba że są odpowiednio miksowane, wzmacniane, z dodatkowym pogłosem lub nawet kilkoma.

Głos Earthy Kitt brzmiał na żywo lepiej, niż na nagraniach, choć przy nie najlepszym, wręcz utrudniającym jego odbiór nagłośnieniu sali.

Eartha nie posiada wielkiego głosu, lecz jest to głos o tak urzekającym, niepowtarzalnym, frapującym brzmieniu iż można go słuchać bez końca. Jest szalenie interesujący, tak jak fascynująca jest osobowość jego właścicielki.

Kapitalna, nieskazitelna dykcja, niebywała ekspresja, dynamizm, drapieżność w głosie, a z drugiej strony dziecinny, dziewczęcy jego wyraz, przy dużym nacisku położonym na parlando, uzupełnione szeptem, westchnieniem, oddechem, nadaje każdej z kilkudziesięciu interpretacji wykonywanych przez Kitt piosenek niezwykłą plastyczność, zmysłowość, sugestywność. Interpretacja każdej piosenki doprowadzona jest do mistrzowskiej perfekcji, pod względem wokalnym, aktorskim, muzycznym, ruchowym. Żaden gest nie jest przypadkowy zbędny, a jednocześnie całość jest doprowadzona szalenie swobodnie naturalnie, z ogromnym, specyficznym wdziękiem. Żałować mogą ci, którzy nie rozumieją języków, w których Eartha śpiewa swoje piosenki, bo wykonuje piekielnie inteligentne teksty.

Wszystkie piosenki są jakby specjalnie dla niej napisane. Ona każde słowo cyzeluje, przeżywa i podaje z jakimś znaczeniem lub wyrazem artystycznym. Nawet przy zejściach za kulisy potrafiła rozegrać uroczą scenkę w której całuje i obejmuje swego pianistę-akompaniatora.

Publiczność w ogromnym skupieniu i ciszy patrzy na tę żywą legendę światowej estrady, lekko zdumiona i oszołomiona jej kunsztem i klasą.

Eartha Kitt należy do zanikającej ekstraklasy gwiazd światowej piosenki z których ostały się jedynie Barbra Streisand (choć uprawiająca zupełnie inną muzykę i bardzo rzadko występująca na estradzie), Liza Minnelli (choć po odwykowej kuracji alkoholowej niezbyt prędko powróci do wielkiej formy i na estradę), Shirley Bassey (do której jest chyba najbardziej zbliżona w tym co robi i jak to pokazuje choć nieprawdopodobnej siły i bogactwa brzmieniowego wolumen głosowy Bassey zabija trzy Earthy Kitt).

Takiego repertuaru, z jakim obecnie koncertuje po Europie Eartha Kitt (z Polski pojechała do RFN) nie śpiewa już żadna nowoczesna licząca się na rynku piosenkarka młodzieżowa i średniopokoleniowa. Jest to repertuar niemodny, wręcz anachroniczny, choć znakomity w warstwie artystycznej i popisowej dla jego wykonawczyń.

Spodziewałem się dawnych przebojów Kitt jedynie w pierwszej części recitalu ale usłyszałem je także w drugiej. Gdy nie starczało głosu, pieśniarka mówiła zresztą parlandowanie na muzyce to jej mocniejszy atut niż samo śpiewanie, ale ona naprawdę potrafi to robić, jak mało kto na estradzie.

Sam sposób śpiewania, technika posługiwania się głosem też należą do starych kanonów klasyki wokalnej, bo tak się już w światowej muzyce rozrywkowej nie śpiewa i tylko Streisand potrafiła z musicali i operetek przetransponować swój głos na wokalistykę pop-rockową, a nawet czysto rockową. To ewenement. Jedyny. Inne wielkie gwiazdy choć podążają zgodnie z obowiązującą modą, nie śpiewają innymi technikami, bo to trudna sprawa, dla wielu wręcz niemożliwa i niebezpieczna. W Polsce udało się to Zdzisławie Sośnickiej, dzięki ogromnej pracy... Kitt ze swoim małym, infantylnym głosem nie może wiele zrobić w najnowszych trendach sztuki piosenkarskiej choć i tak dokonała cudu i operuje nim tak, że słuchacza dreszcze przechodzą. Np. żadnej piosenki nie śpiewa na pełny, ostry full. Zna swoje możliwości i nie szarżuje. Dlatego zawsze wygrywa.

Finałowa piosenka był jej obecny hit z list przebojów „I Love Men", ale na estradzie, z maleńką sekcją rytmiczną brzmi blado bez wyrazu, ginąc na zimnej, wielkiej scenie.

Kitt nie ma już nic nowego do powiedzenia w muzyce rozrywkowej.

A mimo to publiczność wstaje i przez 10 minut bije na stojąco brawa tej wielkiej artystce, odchodzącej już do przeszłości światowej sztuki estradowej.

Więc ona szybko powraca na estradę i śpiewa z takim nerwem piosenkę na pewno nie z obecnego na topie i w modzie repertuaru, że aż dech zapiera!

Zadziwia wszystkich raz jeszcze i skłania do refleksji. EARTHA KITT to zakrzepła doskonałość, ale tak wielka i wspaniała, że grzechem byłoby tu pisać o starych środkach wyrazu czy niemodnym repertuarze. Bo w jej wypadku nie ma to znaczenia, przynajmniej na estradzie, gdzie jest po prostu sobą, jedyną, niepowtarzalną i „niezrrrównaną" gwiazdą światowej estrady, choć również kontrowersyjną i nie wszystkim się podobającą.

Wracając z jej koncertu zastanawiałem się bardzo długo — czy owa bomba zapalna (jak ją ktoś bardzo trafnie określił) wypaliła, czy też nie wypaliła w warszawskiej Sali Kongresowej.

Myślę, że na to pytanie odpowie sobie każdy kto koncert Earthy Kitt oglądał osobiście.

Polemiki • Listy • Opinie

CZY STAĆ NAS NA KIEROWNIKÓW, KTÓRZY MÓWIĄ „NIE STAĆ NAS"?

Zdaniem p. Jerzego Kałużki, kierownika Działu Wydawniczego Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — ja pochopnie uogólniam i wyciągam mylne wnioski, gdy stwierdzam brak „Odgłosów" w kioskach. „Odgłosy" bowiem są, a także leżą (cytuję) „kilka dni w zależności od geografii sieci kiosków" („Odgłosy" nr 1/85). Serdecznie dziękuję za tę pocieszającą wiadomość. Sęk w tym, a także pies w tym jest pogrzebany, że mnie „geografia sieci" nie interesuje. Ja chciałbym najzwyczajniej w świecie kupić interesujący mnie tygodnik, i to właśnie w kiosku, który mijam po drodze z domu do pracy lub z pracy do domu. Wygodnicki bowiem jestem — jako szary obywatel.

Krzepi informacja, że (cytuję): „Łódzkie Wydawnictwo Prasowe bardzo uważnie bada rynek czytelniczy naszego regionu i bezzwłocznie reaguje", a także „troszczy się", „i to już blisko trzydzieści lat". — Czas byłby najwyższy zakończyć te badania, nieprawdaż? Zamiast troskać się przez trzy dziesięciolecia o moje losy jako czytelnika, czy nie słuszniej byłoby dać mi szansę kupienia gazety, tej, którą kupić chcę? Prawda jest taka, że po „Express Ilustrowany" ustawiają się tasiemcowe kolejki już od południa, tj. w pełni dnia pracy; a „Dziennik Łódzki" rzadko można nabyć już po godz. ósmej rano. Mam tu na myśli kioski usytuowane przy domach i przystankach MPK, a nie „geografię sieci kiosków". Wierzę (albowiem), że z „geografii sieci", a także ze zwrotów z w/w „sieci" wzmocnionej tzw. polityką nadziałów (tj. „każdemu po równemu") wynika, że gazet mamy w bród. Tylko kupić ich nie można! Oto np. dworzec PKP i PKS Łódź-Fabryczna we wtorek, pierwszego stycznia 1985 r. Z pięciu kiosków usytuowanych w promieniu 75 kroków, czynny był o godz. trzeciej po południu tylko jeden, ten wewnątrz budynku dworcowego. Dzienników i tygodników w nim żadnych nie było, chociaż chętnych na kupno gazety (jakiejkolwiek!) było wielu. W pozostałych czterech kioskach — zamkniętych, gazet były sterty, na czele z „Odgłosami" (które, notabene, zwykle ukazują się w środę). Gdyby 30-letnią „troskę" oraz „badania" zastąpić zwykłą żyłką handlową, obliczoną na dziś i na zysk, wówczas byłoby oczywiste, że gazety z kiosków zamkniętych przenieść warto do kiosku otwartego. Zaś co najmniej 30 lat wcześniej dokonano by odkrycia, że kioskom na dworcach należy przydzielać kilkakrotnie więcej egzemplarzy każdego tytułu niż kioskom na peryferiach „geografii sieci": ponieważ Polacy podróżują, a czas podróży lubią skracać sobie czytaniem. Tymczasem zaś podróżny, jeżeli nie trafi na moment dostawy, nie kupi ulubionego czasopisma ani na Dworcu Łódź-Fabryczna, ani na żadnym innym dworcu z Chojnami na czele.

Wróćmy do „Odgłosów" nr 1/85. Wiemy, że były one w kioskach (zamkniętych) we wtorek, a może nawet w poniedziałek 31 grudnia 1984. Nikt jednak nie przypuszczał, że one tam będą. Przeto wielu czytelników ich nie kupiło. Kto, po „Sylwestrze", zerwie się o bladym świcie by poznawać „geografię sieci kiosków", zwłaszcza tych zamkniętych z racji święta? Przychodzi środa, tj. pierwszy dzień roboczy Nowego Roku 1985. Jest godz. 10 rano w dużej dzielnicy mieszkaniowej Teofilów. „Odgłosów" już nie ma we wszystkich kioskach przy ul. Wici, Rojnej, Rydzowej, Traktorowej, Łanowej, Szparagowej, Plantowej i przyległych, a także wzdłuż całej ul. Aleksandrowskiej. Tych samych „Odgłosów" nie było wzdłuż ul. Piotrkowskiej od placu Wolności po skrzyżowanie z ul. Narutowicza i Zieloną, a także wzdłuż ul. Narutowicza po radiostację. Jeśli więc wzdłuż tej ulicy (ze szpitalem Barlickiego: chorzy wiadomo, czytać by chcieli wiele!), a zwłaszcza przy ul. Piotrkowskiej w okolicy „Magdy" brakuje prasy łódzkiej, to co to oznacza? Wszak każdemu łodzianinowi wiadomo, czym jest ul. Piotrkowska.

Kierownik Działu Wydawniczego ŁWP stwierdza (cytuję): „Zapotrzebowanie na „Odgłosy" w innych miastach kraju jest nader skromne. Mają tam przeważnie własne tygodniki społeczno-kulturalne, i to wcale niezłe". Radzi też (pan Kierownik) byśmy się nie biczowali, ale także nie popadali w megalomanię (co się jakości „Odgłosów" tyczy).

Racja. Tyle że mamy tu do czynienia z błędem, polegającym na braniu skutku za przyczynę. Zainteresowanie „Odgłosami" w Rzeszowie czy Białymstoku jest rzeczywiście zerowe — ponieważ nikt ich tam nie widzi. Jak zaś może widzieć, skoro nawet na dworcu Warszawa-Centralna „Odgłosy" znikają w ciągu 2—3 kwadransów: kto nie przyjechał rano we czwartek, ten już ich nie zobaczy? Co uczyniło Kierownictwo ŁWP gwoli rozpropagowania łódzkiego tygodnika w innych województwach, łącznie z suwalskim? Śmiem się domyślać, m. in. w oparciu o stwierdzenia p. J. Kałużki, iż nic! Dowód na to „nic!" daje p. J. Kałużka pisząc: „Tygodnik dociera do kilku większych miast kraju (dlaczego nie do wszystkich? — pytanie JSK) ale ma tam sporo zwrotów. Odnotowuje to skrupulatnie Dział Statystyki Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie". — Brawo! Nie ma to jak polegać na centrali warszawskiej, która interesy Łodzi potraktują oczywiście! z najwyższą atencją, zrozumieniem i życzliwością.

Inne miasta rzeczywiście mają swoje tygodniki. Co wcale nie oznacza, że „Wprost" czyta wyłącznie poznaniak, „Sprawy i Ludzie" adresowane są wyłącznie do wrocławian, a „Tak i Nie" zarezerwowane są wyłącznie dla przodowych i sztygarów. Także i ja, łodzianin z wyboru, chętnie je czytam. I żałuję, że nie mogę ich kupić w kiosku obok swego domu. Badania, z których wynika, że mieszkańcy Teofilowa nie są zainteresowani prasą „regionalną", są badaniami chyba nader wątpliwej marki — jako dowodzące, że współcześni teofilowiacy to łeb w łeb ciołki.

O poziomie pisma i jego atrakcyjności — wbrew opinii Kierownika Działu Wydawnictw ŁWP, nie decyduje miejsce wydania (nawet gdy miejscem jest Łódź). Łódzkie „Odgłosy" wcale nie są „łódzkie" — w pejoratywnym sensie słowa, implikującym zaścianek. „Odgłosy" żadnej centralnej sroce spod ogona nie wypadły. Są gazetą d o b r ą, którą by ludzie chętnie czytali w całej Polsce, gdyby mieli szansę przekonać się do niej, tj. gdyby mogli kupić ją w kiosku przydomowym. Kto nie wierzy, niechaj mi wierzy — setki kioskarzy od Olsztyna po Zieloną Górę o „Odgłosach" w ogóle nie słyszało; wierzcie mi, że nie kupicie „Odgłosów" w Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie.

Kto nie wierzy, że „Odgłosy" nie są „łódzkie", niechaj na dowód prawdy przeanalizuje chociażby treść wzmiankowanego już numeru 1/85: i poszuka akcentów, które mogłyby interesować wyłącznie łodzian („zaścianek"), a także treści uniwersalnych — poczynając od „dziewczyńskiego strajku" we Włoszczowej (rzecz o tolerancji oraz pluralizmie — których nie mamy, chociaż pyski sobie nimi wycieramy!), analizy naszej 40-letniej polityki kulturalnej itd.: łącznie z szansami nasycenia naszego rynku towarami z Chin (wywiad z szefem łódzkiego „Centralu") oraz problemem metro w Warszawie i Łodzi (także w Krakowie, Wrocławiu), poprzez pryzmat metro w Pradze (które już jest, chociaż zaczęto mówić o nim znacznie później niż rozpoczęto pierwsze wiercenia pod metro w Warszawie; w Pradze jednak metro już jest i nieźle funkcjonuje, podczas gdy w Warszawie dopiero i znów zaczyna się wiercić i kopać). Summa summarum: nr 1/85 „Odgłosów" niewiele pisze o Łodzi i łódzkim zaścianku. Jest gazeta do czytania w całej Polsce: gdyby dać szansę czytania, właśnie Polsce — poprzez właściwą, tj. ł ó d z k ą propagandę łódzkiego tygodnika przez ł ó d z k i e Wydawnictwo w Kraju.

Pan J. Kałużka radzi, w charakterze remedium na brak „Odgłosów" w kioskach „zlokalizowanych w miejscu zamieszkania" — prenumeratę. Ja otóż za „prenumeratę" dziękuję. Przez pierwsze dziesięciolecia istnienia PRL prenumerata rzeczywiście stanowiła wygodę — oznaczała doręczenie gazety do rąk prenumeratora w dniu pojawienia się jej w kioskach, a zwykle wcześniej. Później jednak rozpoczęły się „dyskusje" i „przepychanki", zapoczątkowane zniesieniem tzw. teczek, prawami pocztowców do weekendu itp. W rezultacie, obecnie, powołano specjalne kioski dla prenumeratorów, które to kioski, nie prowadząc „normalnej" sprzedaży, pracują różnie, a rzadko w porach zgadzających się z czasem powrotu obywateli-prenumeratorów z pracy do domów. Kioski te w dodatku, prasę z bieżącego tygodnia oferują dopiero w tygodniu następnym. Gazetę trzeba „podsunąć pod nos", jeżeli chce się mieć czytelnika. Zaś że gazety z zeszłego tygodnia nikt nie będzie czytał — to wiadomo każdemu, kto zdrowo myśli, i nie stać go na 30-letnie „badania".

Pisze p. J. Kałużka, że nakładu „Odgłosów" nie można zwiększyć prostym przesunięciem dźwigni liczby odbijanych egzemplarzy (co ja sugerowałem był w naiwności swojej!) ponieważ: „Nie chodzi tu o wysiłek mięśni — podczas tego nieszczęsnego przesuwania dźwigni, lecz o pracę szarych komórek. I powiedzmy sobie jeszcze, chociaż dżentelmeni nie mówią o pieniądzach, że chodzi tu o znaczne kwoty dewizowe przeznaczone na zakup papieru".

Szanowny Panie Kierowniku: — „czy Pan kpisz czy o drogę pytasz?" (przepraszam za łódzkie-bałuckie, tj. obecnie m. in. łódzko-teofilowskie zapytanie). Ja nawet rozumiem, że Pan, jako szef jednego z Wydziałów Ł ó d z k i e g o Wydawnictwa Prasowego, może mieć niezbyt wysokie mniemanie o łódzkich „Odgłosach" (wiadomo: nie będziesz prorokiem między swymi!), i że pustynię czytelniczą na łódzkich dworcach a także wzdłuż ul. Piotrkowskiej może Pan uważać za rzecz normalną (wiadomo, fascynacja „geografią sieci" kosztuje!). Ale nie może Pan, a raczej — nie powinien, zmieniać sensu mego listu „Szerszy odgłos braku „Odgłosów". Ja otóż, żaden gentelman — jako iż syn kolejarza i wieśniaczki, pisałem był właśnie o pieniądzach. Konkretnie zaś pisałem, że NIE STAĆ NAS NA DALSZY BRAK PAPIERU — z powodów najczęściej ekonomicznych, aby nie wdawać się w niewymierne racje egzystencjalne i kulturalne — a decydujące o naszej tożsamości narodowej, o polskiej ekspansywności, i uczeniu przez Polaków innych nacji — gdzie raki zimują. (A czy Pan wie, gdzie one — raki, zimują, skoro chyba także i dla Pana brakuje monografii o rakach, skoro brakuje ich i dla mnie — biologa, a także nauczyciela akademickiego?). Na drukowaniu książek i prasy świat czyni doskonały interes. Interes taki, „kokosowy", czynią również sąsiedzi nasi z NRD, CSRS, WRL, Jugosławii. Na opakowaniach papierowych również „cały" świat czyni kokosowe interesy. Czyżby Pan nie wiedział, ile my Polacy tracimy „cennych dewiz" tylko dlatego, że towary nasze, dobrej jakości!, nie mają należycie błyszczących nalepek? Że producenci (doskonałych towarów) nie mają należycie kolorowych prospektów? Że Kraj — atrakcyjny turystycznie, a także intrygujący politycznie i społecznie, nie ma kolorowych map, przewodników i folderów? Że my, jako naród, nie mając słowników, encyklopedii i dzieł własnych klasyków, a także klasyków światowych — sami zsyłamy się na margines?

Właśnie mówmy, proszę Pana, o pieniądzach! O tych pieniądzach, których nie zarabiamy, od dziesięcioleci dając posłuch zawołaniu: nie stać nas.

Nas, otóż, stać! Stać nas i na to, aby łódzki tygodnik był czytany w Polsce gminnej. Jak i stać nas i na to, aby łódzkie towary podbijały świat — po zapakowaniu w kolorowe a papierowe torebeczki. Stać nas i na to, aby Łódź przy całej swej obiektywnej zgrzebności i subiektywnej (kierowników!) zaściankowości, przyciągała turystów z całego świata — kolorową reklamą naszego Muzeum Włókienniczego (unikalnego w świecie), naszą secesją przy ul. Piotrkowskiej; naszymi dziewczynami-włókniarkami — przedstawionymi na papierze kredowym w technikolorze. Stać nas — pod warunkiem, że wreszcie uznamy — my, obywatele „szarzy", iż nie stać nas na kierowników, którzy „badają" przez lat 30, „troskają się", a także obwieszczają, iż „nie stać nas".

Tak naprawdę, to nie stać nas wyłącznie na kierowników, zapatrzonych w ideę „geografii sieci": w każdej dziedzinie!

Daje Pan, Panie Kierowniku, do zrozumienia, iż papier zużywany na druk „Odgłosów" jest importowany. Ja w to nie wierzę. Miałem w ręku różne gazety, drukowane od Grenlandii po Ziemię Ognistą. Żadna z tych gazet, nawet wydawana w 10-tys. miasteczku, nie była drukowana na czymś tak marnym, jak papier „Odgłosów" (gorszy papier w Polsce ma chyba tylko tygodnik każdego konsumenta „Veto"!). Tedy jestem pewny, że „Odgłosy" są drukowane na papierze rodzimej produkcji, zawiadowanej przez rodzimych kierowników — którzy to kierownicy hołdują zasadzie „nie stać nas".

Skoro ICH, kierowników, nie stać na sprostanie naszym, obywateli, oczekiwaniom i spodziewaniom — to może powiemy sobie, wreszcie, że nie stać nas, obywateli, na utrzymywanie ICH, kierowników? — Pensje otrzymujących „całkiem-całkiem" plus beneficja socjalne i emerytalne, a odpłacających się gadaniem „nie stać nas" właśnie w chwili, gdy nie może dłużej nas nie stać?

Powtarzam: stać nas! Także na papier z miliardy kosztującej papierni kwidzyńskiej — pod warunkiem, iż podziękujemy za usługi kierownikom uznającym, iż spełnili swe obowiązki pracownicze i zawodowe głoszeniem hasła „nie stać nas". Na takich kierowników — naprawdę nikogo w świecie nie stać.

J. STANISŁAW KNYPL

„KOMU GRA, KOMU KOLIDUJE"

Do toczącej się dyskusji o remoncie IV LO i budowie planetarium włączyła się Rada Pedagogiczna IV LO. Publikujemy poniżej w odpowiedzi pismo dyr. M. Borkowskiego skierowane do dyrekcji Zespołu Szkół przy ul. Drewnowskiej oraz pismo Rady Pedagogicznej IV LO. Naszym zdaniem oba te pisma ukazują dotychczasowy spór o planetarium w innym świetle.

1.

Dyrektorem Specjalistycznego Ogniska Pracy Pozaszkolnej Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego w Łodzi ul. Nowotki 16 informuje, że od dnia 1.12.1984 r. nie bierze na siebie odpowiedzialności administracyjnej i moralnej za wykonywany remont budynku IV LO nr 1 w posesji Nowotki 16, ponieważ przestaje go nadzorować. Decyzję tę podjąłem po przeprowadzonej 30.11.84 r. rozmowie z inspektorem WOWiK Łódź—Śródmieście mgr Jastrzębskim w obecności dyr. Szeflińskiej, wizytatora T. Szymańskiego i dyrektora Brzozowskiego. Uważam, że sprawy remontu i wyposażenia budynku IV LO powinny być prowadzone przez jedną osobę. Proponowano mi jedynie dozór remontu prowadzonego wspólnie przez inwestora zastępczego Dyrekcji Inwestycji Miejskich i Dzielnicowy Zespół Ekonomiczno-Administracyjny Szkół Łódź—Śródmieście.

Wobec powyższego zmuszony jestem do przedstawienia zakresu aktualnie wykonywanych robót remontowych. Przeprowadzka IV LO, przewóz pomocy i sprzętów, trwała od sierpnia do końca listopada 1982 r. W grudniu naprawiono dach w celu zabezpieczenia budynku przed dalszym zalewaniem wodą pochodzącą z opadów. W okresie mrozów nie prowadzono żadnych prac remontowych, ponieważ budynek był nie ogrzewany. Wiosną 1983 r. wymieniono podszycie dachu i położono papę, później zainstalowano instalację odgromową. W sezonie pozaogrzewczym 1983 r. rozpoczęto wymianę 6-ciu stropów, stawianie ścianek działowych, zakładanie tynków, kopanie otworów pod magazyn koksu i żużla, prace instalacyjne elektryczne i centralnego ogrzewania, remont stolarki okiennej i drzwiowej. W czasie zimy 1983/84 działało już centralne ogrzewanie co wykorzystały przedsiębiorstwa budowlane, by w tym okresie wzmóc prace remontowe. Rok 1984 był przełomowym dla wielu prac remontowych, oddano budynek Planetarium, skończono remont kotłowni i instalacji c.o. oraz wymianę instalacji zegarowej i radiowęzła. Aktualnie kończone są roboty budowlane, tynkowanie wnętrz, murowanie, wymiana niektórych elementów stolarki okiennej i drzwiowej, oraz roboty instalacyjne wodno-kanalizacyjne. Ekipa MPI kończy drenaż odwadniający teren posesji Nowotki 16. Sale i korytarze północnej części budynku zostały wybiałkowane przez malarzy.

W tej sytuacji uważam za niezmiernie prawdopodobne, że jeśli nie zabraknie funduszy, remont budynku IV LO skończy się w grudniu 1985 r. Jest to termin zakończenia robót remontowych, łącznie z elewacją, prowadzonych przez PBK—Wschód. Inne przedsiębiorstwa takie jak MPI, PPPKZ, WHT mają spisane umowy z DIM, w których (bez wyjątku) terminem zakończenia robót przez nich prowadzonych jest 31.08.1985 r. Aktualnie żadne przedsiębiorstwo nie ma podstaw do przedłużenia terminu odbioru wykonywanych zgodnie z umową prac remontowych. Stwierdzam, że ustalono termin oddania połowy budynku z północną oficyną pod zagospodarowanie na 31 marca 85 r. Daje to szanse na wcześniejsze wyposażenie szkoły i rozpoczęcie zajęć lekcyjnych w całym budynku Nowotki 16 po feriach zimowych roku szk. 1985/86. Można oczywiście popełnić błędy nadzoru, wynikające z nieznajomości problemów remontu, które spowodują przesunięcie terminów, za co wobec obecnej sytuacji nie mogę czuć się odpowiedzialnym przed Radą Pedagogiczną, młodzieżą i ich rodzicami.

Dziękuję pracownikom DIM i DZEAS z Łódź—Śródmieście za dwuletnią owocną współpracę, a Radzie Pedagogicznej IV LO za ułatwienie nam przeprowadzki z budynku Nowotki 16 do budynku Drewnowska 88.

mgr MIECZYSŁAW BORKOWSKI
(dyrektor)

Do wiadomości:
1. Rada Pedagogiczna Zespołu Szkół
2. Wydział Oświaty Wychowania i Kultury Łódź—Śródmieście
3. Naczelnik Dzielnicy Łódź—Śródmieście
4. KD PZPR Łódź—Śródmieście
5. KD PZPR Łódź—Bałuty
6. Kuratorium Oświaty i Wychowania

2.

Tocząca się w prasie („Odgłosy" nr 50 z dn. 15.XII.1984 r.) dyskusja na temat remontu budynku IV LO skłoniła nas, Radę Pedagogiczną tej szkoły, do zabrania głosu. Tym bardziej, że wyjaśnienie dyrektora Ogniska Pracy Pozaszkolnej, Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego w Łodzi ul. Nowotki 16 (do września 1984 r., w-ce dyr. Zespołu Szkół, do którego należy IV LO) pełne jest nieścisłości.

Rada Pedagogiczna i Komitet Rodzicielski IV LO nie były poinformowane o tym, że w budynku należącym do szkoły powstaje planetarium nie jako jedna z pracowni IV LO, ale jako samodzielna jednostka. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero 1.IX.1984 r. Nigdy przedtem dyr. Borkowski, który dozorował prace remontowe IV LO, i informował Radę Pedagogiczną na oficjalnych posiedzeniach o postępach remontu, nie wspomniał nawet słowem, że przy ul. Nowotki 16 w budynku znajdującym się na terenie szkoły powstaje nowa placówka — Specjalistyczne Ognisko Pracy Pozaszkolnej Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne. Cała Rada Pedagogiczna i młodzież IV LO była przekonana, że wszystko, co się dzieje przy ul. Nowotki 16, dotyczy ich szkoły. Dowodem na to są prace społeczne uczniów naszego liceum. Pracowali oni w wolne soboty i inne dni przy porządkowaniu sal oraz boiska szkolnego i byli informowani przez dyr. M. Borkowskiego, że pracują na rzecz swojej szkoły — IV LO — i że swoją pracą przyspieszają powrót do macierzystego budynku. Jak się okazuje, prawda jest zupełnie inna, bowiem w budynku należącym do szkoły powstaje zupełnie nowa niezależna placówka.

A teraz o przeprowadzce IV LO, dyr. M. Borkowski pisze w „Odgłosach", że władze chciały przeprowadzić szkołę do wolnego budynku przy ul. Staszica a Rada Pedagogiczna zaproponowała przeniesienie szkoły na ul. Drewnowską. Rada Pedagogiczna nie jest władna decydować o takich sprawach, może jedynie proponować, a władze wybierają to, co jest najlepsze dla szkoły. Dla IV LO lepszą od Staszica okazała się Drewnowska.

O warunkach, w jakich pracuje szkoła medyczna na Staszica informował „Dziennik Łódzki" nr 282 z dn. 29.XI.1984 r. Są to warunki bardzo trudne. Władze dobrze wiedziały, co robią, wydając decyzję o przeniesieniu IV LO na ul. Drewnowską.

IV LO w 1982 r. (w chwili przeprowadzki) liczyło 17 oddziałów, tj. 505 uczniów i nie pomieściłoby się w budynku przy ul. Staszica. Młodzież musiałaby uczyć się na dwie zmiany i dodatkowo korzystać z izb lekcyjnych szkoły podstawowej przy ulicy Harcerskiej. Należy dodać, że szkoła przy ul. Staszica w 1982 r. była również przeznaczona do remontu, a nie do prowadzenia normalnego procesu dydaktycznego.

Dyr. M. Borkowski, jak dowodzą tego fakty, nie liczył się z tym, co jest najlepsze dla szkoły, interesuje go tylko to, co jest związane z Planetarium i Obserwatorium Astronomicznym. Nie dostrzega, lub nie chce dostrzec tego, że placówka ta powstała kosztem IV LO. Nie kwestionujemy przydatności tego typu instytucji dla naszego miasta, ubolewamy jednak, że powstała na terenie i w budynku należącym do IV LO.

Wieloletnia dyrektorka IV LO A. Krucińska planowała, że kiedyś w budynku tym, w sprzyjającej sytuacji, urządzi pracownię zajęć technicznych, plastycznych, muzycznych, izbę harcerską z prawdziwego zdarzenia, salę kinową dla szkoły. Rada Pedagogiczna pamięta o tych zamierzeniach dyr. A. Krucińskiej przebywającej od 1974 r. na emeryturze, bo były to także jej marzenia. Wydawało się, że zostaną one urzeczywistnione w wyniku remontu IV LO. Prawda okazała się dla nas gorzka.

Remont IV LO nie jest ukończony, ale wyremontowane i urządzone są pomieszczenia dla Planetarium i Obserwatorium Astronomicznego, a otwarcie placówki ma nastąpić według zapowiedzi podanej w prasie przez dyr. M. Borkowskiego, 19.I.1985 r.

A co ze szkołą?

Szkoła czeka.

Dodatkowo niepokoi nas fakt, że w głównym budynku IV LO nie dokonuje się remontu kapitalnego, a jedynie napraw (np. nie wymienia się stolarki, stropów, nie usuwa się zagrzybienia ścian). Obawiamy się, aby prawdziwy remont nie rozpoczął się w momencie wprowadzenia młodzieży, jak to ma miejsce w szkole na ul. Staszica. Rada Pedagogiczna przekonana jest że był ważniejszy remont szkoły do remontu placówki zajęć pozalekcyjnych.

Wiemy, jak bardzo ważne są pasje nauczycielskie, o których pisze dyr. M. Borkowski, bo dzięki tym pasjom powstało Planetarium i Obserwatorium Astronomiczne, tylko że nie powinny one być realizowane kosztem jednej z najstarszych łódzkich szkół. Nie wolno realizować własnych pasji z pominięciem interesów młodzieży.

Byliśmy wszyscy — Rada Pedagogiczna i Komitet Rodzicielski IV LO — bardzo przychylni wszelkim poczynaniom dyr. Borkowskiego, wierzyliśmy bowiem, że dozór, jaki sprawował nad remontem szkoły, wyjdzie jej na dobre. Stało się inaczej. Mimo, że był związany ze szkołą od 1980 r. nie sprawy IV LO były dla niego priorytetowe. Darzyliśmy dyr. M. Borkowskiego zaufaniem. Żałujemy, że je zawiódł.

Obecna sytuacja IV LO jest niezwykle trudna. Dyrekcja i Rada Pedagogiczna Zespołu Szkół, do którego zostało włączone IV LO, przyjęła nas ze zrozumieniem. Warunki pracy nauczycieli i młodzieży są tu jednak ciężkie, co niekorzystnie wpływa na pracę szkoły jako całości. Mimo to IV LO może poszczycić się wieloma osiągnięciami. Są one okupione dużym wysiłkiem uczniów i nauczycieli. Tym większym niepokojem napawa nas sytuacja, która istotnie wygląda tak, jak napisano w „Odgłosach" nr 49. „Planetarium... już gotowe. Remont czwórki — dokładnie rozgrzebany". Tak to skorzystała szkoła na budowie Planetarium i Obserwatorium.

26 PODPISÓW

Autostopem przez Europę (5)

ANDRZEJ BETULSKI

Opuszczona wyspa

MOLDE

Molde, jak na warunki norweskie, jest ogromnym ośrodkiem przemysłowym, kulturalnym i handlowym. Ma aż... 21 tysięcy mieszkańców. Miasto leży u stóp niewielkich wzgórz łagodnie opadających ku fiordowi.

Na jednej z wysepek — Hjertoya, naprzeciwko okien domu Inge znajduje się Fiskerimuseet. Można tam zobaczyć wszystko, co wiąże się z życiem rybaka. Od haczyka, po stare łodzie. Latem przyjeżdżają na Hjertoya ludzie spragnieni kąpieli i jazdy na nartach wodnych. Od 1 września wyspa pustoszeje.

— *Pojedziemy na górę powyżej miasta* — mówi Inge — *stamtąd rozciąga się widok na całą okolicę.*

Jedziemy szutrową drogą, wśród gęstego lasu.

— *Widzicie te kreski po drugiej stronie* — pokazuje Inge.

W oddali sześć kresek odcina się jaśniejszym kolorem od ciemnego tła wody.

— *To sześć największych tankowców świata* — wyjaśnia. — *Stoją tutaj zakotwiczone w naturalnym porcie fiordu. Tutaj nie szaleją burze ani sztormy. Tankowce są bezpieczne.*

— Norweskie?

— *Nie. Trzy francuskie i trzy liberyjskie. Stoją tutaj od dziesięciu lat.*

Z PRAWDZIWKAMI MOGĄ BYĆ KŁOPOTY

Zjeżdżamy do miasta.

— *Zatrzymaj się* — krzyczę, a Inge tak zwykle powolny, błyskawicznie hamuje. Wyskakuję z samochodu. Za mną Inge i Anna. Przy drodze, nad rowem żółtobrązowy kapelusz grzyba. Prawdziwek wielkości talerza. Drugiego Inge znalazł pod ścianą jednego z drewnianych budynków Romsdalsmuseet — regionalnego muzeum folklorystycznego.

Prawdziwki tutaj są inne niż te, które znamy z polskich lasów. Różnią się nie tylko wielkością, ale także kolorem. Czy aby są dobre?

Inge zatrzymuje samochód. Podchodzi do człowieka w turystycznym ubraniu. Nie rozumiem o co pyta, ale widzę, że tamten przeczącо kiwa głową. Za zakrętem pojawia się starszy pan w dresie. Lekkim truchtem podbiega do nas. Narada trwa. Nadchodzi jeszcze jakiś człowiek. To weekend, więc mieszkańcy Molde wybierają się na wędrówki po okolicznych pagórkach. Widocznie narada dobiegła końca, bo panowie kłaniają się nam i każdy odchodzi w swoją stronę.

— *Jedziemy do dentysty* — stwierdza Inge.

— Do dentysty? Zęby cię bolą?

— *Oni powiedzieli, że tu w Molde nikt nie zna się na grzybach. My jemy tylko pieczarki. Ewentualnie kurki. Nawet w restauracji nie będą mogli nam pomóc. Ale ten z chow-chow wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do dentysty. Podobno on się zna. A wiecie kim był facet w dresie, który podbiegł do nas?*

— Nie.

— *Komendantem policji w Molde.*

Dentysta i jego żona, starsi państwo grubo po siedemdziesiątce bardzo ucieszyli się, że ktoś interesuje się grzybami. To ich hobby. Często zapraszają znajomych na potrawy z grzybów. To duża atrakcja dla Norwegów. Roztrzygnięcie było jednoznaczne — prawdziwki.

NA RYBY

Dziś wypływamy w morze na kutrze ojca Inge. Na wodach zatoki, maleńka łupinka nie wygląda tak źle, ale na pełnym morzu rzucana i wstrząsana falami zdaje się w każdej chwili zniknąć na zawsze pod jedną z ogromnych ścian wody.

Po godzinnym przebijaniu się w głąb Morza Norweskiego góry rozpłynęły się w oddali. Inge zredukował obroty silnika i kuter cichutko posapując posuwał się powoli. Kręcąc korbami sporych kołowrotków przymocowanych na obydwu burtach, odwijamy grubą żyłkę.

— A gdzie przynęta? — pytam.

Inge z uśmiechem pokazuje na sześć ogromnych kotwiczek — haczyków przymocowanych na końcu żyłki. Wygląda to jak choinka. Na końcu srebrzysty, podłużny ciężarek. Wpuszczamy żyłkę do wody. Wydaje się, że nie ma tu dna. Wreszcie po długiej chwili żyłka wiotczeje. Teraz trzeba wyciągnąć haczyki na jakieś trzy, cztery metry ponad dno. Inge pokazuje jak należy długimi posuwistymi ruchami wyciągać i opuszczać żyłkę.

— *Mam!!! Mam!!!* — krzyczy Anna. — *Nie mogę wyciągnąć! Szybko! Pomóżcie.*

Inge przesuwa się na drugą stronę kutra. We dwoje szarpią się z rybą. Żyłka jak szalona odpływa na kilka metrów od kutra i wraca, aż po samą burtę. Głęboko wrzyna się w ręce. Anna pokazuje mi krwawą pręgę w poprzek dłoni.

— *To musi być łosoś* — krzyczy Inge. Nie wiem jak on rozpoznał, że to łosoś. — *Ma ze dwadzieścia kilogramów. Olbrzym* — dodaje.

Walka trwa już pięć minut. Powoli Inge wyciąga żyłkę. Nagle szybko puszcza korbkę. Bez słowa oddaje kołowrotek Annie. Komentarz jest zbyteczny. Zwiotczała żyłka wyskakuje ponad powierzchnię wody. Ryba urwała się z całą wiązką haczyków.

Teraz łapiemy tylko na jeden kołowrotek.

Szczęście nam dopisuje. Wyciągamy kilka dorodnych dorszy. Inge wbija hak w łeb jednego z nich i pomaga mi wyciągnąć ryby do kutra. Dwa szybkie ruchy piekielnie ostrego noża i dorsz jest oprawiony. Cały czas buja kutrem. Horyzont znika, by za chwilę wyłonić się ze stalowoszarego morza. Temperatura wody około 10 stopni.

— *Drobnica* — krzywi się Inge. — *Chciałbym żebyście złapali naprawdę dużą rybę. Taką jaką urwała się Annie.*

Zaczyna coraz bardziej huśtać. Robi się szaro. Czuję jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Pojemniki powoli zapełniają się rybami. Głównie dorsze i makrele. Łosoś nie chce nam się trafić. Spoglądam na Annę. Jest zielona na twarzy. Ale Inge pod czerwoną czapeczką też nie wygląda dobrze. Wszyscy uwijamy się na maleńkim pokładzie, który stale umyka nam spod nóg. Robi się późno. Wracamy.

— *Nie czuję się najlepiej* — pierwsza przyznaje się Anna. Inge patrzy na mnie, ja na niego i wybuchamy śmiechem.

— *Nie ma się czego wstydzić* — mówi — *niewielu jest takich rybaków, którzy nie chorują. Jak nie od razu, to po kilku dniach. Ja przez sześć lat pływałem na trawlerach łapiących krewetki aż pod Grenlandią. I też mnie bierze. Prawdziwy rybak łowi na takim kutrze jak ten. Bezpośrednia walka z rybą. Ręce mieliśmy często poprzecinane żyłką do kości. Sól wżerała się tak, że palce puchły. Chorowaliśmy i wtedy tylko surowe ziemniaki mogą pomóc.*

— Surowe ziemniaki?

— *Tak. Trzeba coś jeść, a surowe ziemniaki najdłużej pozostają w żołądku.*

Na szeroko rozstawionych nogach uważnie stąpamy na ładzie. Wydaje mi się, że czuję jak obraca się ziemia.

— *A może chcecie połowić ryby na wędkę?* — proponuje Inge.

Krętą drogą wspinamy się wysoko w góry. Wśród kamienistych pól wije się potok.

— I tu mają być ryby? — nie mogę ukryć rozczarowania.

Rzeczka ma może z dziesięć centymetrów głębokości. Zamiast odpowiedzi Inge rozwija grubą plastykową żyłkę, bez spławika, na haczyk nacinga robaka i zarzuca. Po kilkunastu sekundach niebieskawa żyłka zaczyna wyczyniać dziwne harce. Gwałtowne podcięcie wędziskiem i srebrzysta rybka szybuje ponad naszymi głowami.

Ryb w norweskich wodach jest zatrzęsienie, a te które łowiliśmy, nieduże piętnastocentymetrowe rybki miały mięso koloru czerwonego. Należały do rodziny łososiowatych i były bardzo smaczne.

DROGA TROLI I NORWESKA OBORA

Droga Troli należy do jednych z bardziej malowniczych zakątków środkowej Norwegii. I bardzo niebezpiecznych. W zimie zamknięta.

Zadzierając głowę widzimy wysoko nad nami autobus wielkości zabawki jadący w poprzek góry. Sto metrów nad autobusem dwa samochody osobowe. W pewnym momencie znikają w wodospadzie. Droga biegnie pod kaskadami wody spadającymi z pionowej ściany.

Wreszcie szczyt góry. Drewniany kiosk, gdzie można kupić pamiątki. Wyrzeźbione w drewnie postacie troli. Ten stojący przed kioskiem jest wielkości dorosłego człowieka. Uśmiecha się życzliwie, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że trochę złośliwie.

Powyżej kiosku przycupnęły letniskowe drewniane domki. W słońcu lśnią od śniegu czuby Blizzardów, Kniesli i Fischerów. Ludzie albo opalają się, albo rozebrani do kostiumów kąpielowych jeżdżą na nartach.

W drodze powrotnej zaglądamy do jednego z kuzynów Inge. Wysoki, krótko ostrzyżony rudzielec przez dziesięć lat pływał na statkach rybackich, by wreszcie osiąść na stałym lądzie jako farmer. Z dumą oprowadza nas po gospodarstwie. Ma 40 krów, 17 owiec i 20 hektarów gruntów uprawnych.

— *Owce hoduję dla przyjemności. Lubię te zwierzęta* — wyjaśnia. — *Natomiast żyję z krów.*

— Przynoszą ci duży zysk?

— *Oczywiście. W innym razie nie trzymałbym ich. My w Norwegii mamy sporo kłopotów z hodowlą.*

— Dlaczego?

— *Nie wolno nam wyprodukować tyle mleka, ile byśmy chcieli. Po prostu nie ma zbytu. Eksportujemy i to dużo, ale wciąż jest za dużo masła, mleka, serów. Każdy z nas ma limit, gdy go przekroczy, płaci kary.*

— Kary?

— *Litr mleka kosztuje 2 korony. Jeżeli wyprodukuję więcej, to muszę zapłacić karę. Tak samo jest w Danii.*

— A dla siebie?

— *Oczywiście, mogę ile chcę, ale sprzedawać można tylko przez spółdzielnię. One układają plany. Prywatnie nie wolno. Rząd nie zachęca do rozwoju rolnictwa.*

Wchodzimy do obory. Krowy chodzą nie spętane po całym pomieszczeniu. Co jakiś czas któraś podchodzi do ogromnej rury biegnącej od sufitu do podłogi i wsadza łeb w dziurę na wysokości około półtora metra nad podłogą.

W małym pomieszczeniu na zewnątrz obory plątanina kabli i przewodów elektrycznych. Arne podchodzi do niewielkiego płaskiego przyrządu z kolorowymi przyciskami.

— *Komputer karmi krowy* — mówi. — *Zauważyliście kawałek metalu w uchu każdej z nich? To znaczek, który uruchamia fotokomórkę, gdy krowa wsadzi łeb do rury. Komputer poznaje po tym znaczku, która to krowa. Każda opatrzona jest numerem. Komputer oblicza jaka jest jej średnia dawka jedzenia, i ile zjada na jeden raz. Wtedy fotokomórka uruchamia urządzenie, które zsypuje tylko taką porcję, jaką krowa potrzebuje. W ten sposób pasza nie marnuje się.*

W pomieszczeniu wyłożonym kafelkami, rzędami wiszą dojarki elektryczne. Jest tak sterylnie czysto, że nie śmiemy tam wchodzić w butach.

— *Wiemy o sytuacji w polskim rolnictwie* — mówi Arne. — *Wysłałem kilkadziesiąt krów do Polski, stąd moje zainteresowanie waszymi sprawami.*

CYTRA PRABABKI I ZBÓR ZIELONOŚWIĄTKOWCÓW

Kuchnia norweska jest mdła, niesmaczna i... zdrowa. Norwegowie jedzą gotowane ryby i gotowane mięso. Rzadko kiedy smażone albo z grilla.

— *Taki dorsz, jak ten, który dzisiaj jemy, to przysmak* — mówi Inge — *i to nie ze względu na rybę, ale na luksusową śmietanę romme. Jeżeli rybak złowi łososia, to cieszy się, bo może go dobrze sprzedać, ale je makrele i dorsze.*

Tego dorsza sami złowiliśmy. Nie trzeba go godzinami moczyć w mleku, żeby stracił przykry zapach. Po prostu nie ma takiego zapachu. Mięso jest pachnące i delikatne. Eva — matka Inge, najpierw gotowała rybę w wodzie przyprawionej liśćmi laurowymi i pieprzem. Podała rybę z ziemniakami i polała ją romme. Śmietana jest tak dobra, że można ją jeść łyżkami. Do tego gotowane warzywa. Marchewka i groszek. Też w śmietanie, tylko specjalnie przeznaczonej do gotowanych warzyw.

W kuchni i w saloniku jest upalnie. Przez wielkie zajmujące pó ściany, hermetyczne okno — widać fale rozbryzgujące się o skaliste wybrzeże. Słychać głuche dudnienie wody uderzającej o brzeg. Na górze, w sypialni jest zgodnie z norweskim zwyczajem tak zimno, że czym prędzej trzeba uciekać pod kołdrę. Ale zanim pójdziemy spać, Eva podaje nam przepis na najpopularniejszą potrawę norweskich rybaków — Fiske kake.

Kilogram ryby, najlepiej dorsza, duża łyżka soli, 4 łyżki mąki ziemniaczanej. Mieszać wszystkie składniki dodając powoli mleko. Otrzymaną masę należy wsadzić do brytfanny i piec przez pół godziny. Następnie pokroić na kawałki i podawać ze smażonym boczkiem oraz z ziemniakami. Z podobnych składników można przyrządzić najbardziej ekonomiczną norweską potrawę: Fiske — boller. Powyżej opisaną masę należy wkładać łyżką do gotującej się wody. Gotować przez 5 minut. Następnie trzeba przygotować sos, roztapiając masło, wsypując mąkę, dolewając mleka i przyprawiając curry i solą. Z masy należy uformować kulki, które przysmaża się na patelni we wcześniej przygotowanym sosie. Jednego dnia przygotowuje się 100 takich kulek, tak aby wystarczyły na kilka dni w ciągu następnych trzech tygodni. Tuż przed podaniem wyjmuje się je z zamrażalnika i przysmaża na patelni w sosie.

Eva wyjmuje stary album i pokazuje nam zdjęcia z początków naszego wieku. Pokazywanie gościom zdjęć rodzinnych jest norweską tradycją. Stanowi to bardzo ważny etap na drodze przełamywania lodów w kontaktach między Norwegami.

Matka Inge wyciąga z szafy starą cytrę i opowiada nam jej historię. Ze wzruszeniem, delikatnie szarpie struny wiekowego instrumentu, który przywędrował do Bud razem z prababką.

— *A wiecie, że tutaj w czasie wojny byli polscy jeńcy wojenni* — nieoczekiwanie zmienia temat i nastrój.

— Nie.

— *Niemcy chcieli stworzyć „TWIERDZE NORWAY" i ufortyfikowali całe wybrzeże. Jeszcze po zakończeniu wojny były tu bardzo silne oddziały niemieckie. I właśnie Polacy budowali schrony. Pomagaliśmy im jak tylko było to możliwe, ale Niemcy strzegli jeńców bardzo dokładnie i przepędzali nas, gdy chciałyśmy podać Polakom żywność.*

Eva i Einar mają już około siedemdziesięciu lat. Są jak większość Norwegów protestantami. Raz w tygodniu spotykają się na zborach zielonoświątkowców. Pastor lub jego pomocnik prowadzą spotkanie, na którym jedna lub kilka osób grają na gitarze, a wierni śpiewają pieśni o Bogu. Od czasu do czasu ktoś wstaje i prosi o modlitwę w intencji kogoś bliskiego. Wtedy wszyscy modlą się wspólnie. Po zakończeniu spotkania otaczają nas kółkiem wypytując z zaciekawieniem o Polskę.

— *Utrzymujemy kontakt z zielonoświątkowcami z Polski.* — mówi dwudziestoletni pomocnik pastora. — *Był u nas chór z Zielonej Góry. Ich pieśni bardzo przypadły nam do gustu.*

Eva i Einar bardzo przestrzegają zasad religii. Nie piją alkoholu.

— *My nie chcemy oglądać gwałtu i przemocy w telewizji* — mówi Einar i wyłącza telewizor, w którym wyświetlany jest jakiś brutalny film brazylijski. — *Obcowanie z naturą, walka z żywiołem, ciągłe zmaganie się z surową przyrodą, to wszystko powoduje, że człowiek zbliża się do Boga* — ciągnie.

BJORNSUND — WYMARŁA WYSPA

Zaprzyjaźniliśmy się z Karen i Augustem — ciotką i wujem Inge. Obydwoje po siedemdziesiątce. On stary rybak, ona jak to w zwyczaju norweskich rodzin, wychowywała dzieci i zajmowała się domem. Zapraszają nas na wycieczkę na dwie wyspy połączone groblą. Całość nazywa się Bjornsund — Cieśnina Niedźwiedzia. Na skale jednej z nich rzeźba dziewczyny.

— *To dziewczyna z Lillehammer* — wyjaśnia August.

— Kim ona była?

— *Dokładnie nie wiadomo, żona albo córką dentysty z Lillehammer. Po jej śmierci zrozpaczony wyrzeźbił w skale jej postać. Teraz dziewczyna pilnuje wejścia do portu Bjornsund.*

— Mieszkał na wyspie?

— *Nie. Nikt go tutaj nie zna. Najpierw rybacy nie mogli przyzwyczaić się do jej obecności. Uważali, że może przynieść im pecha. Potem się przyzwyczaili. Teraz już nie ma kto na nią zwracać uwagi.*

— *Nie ma kto?*

— *Ano nie ma. Spójrzcie, nikt nie mieszka w tych domach.*

Kilkadziesiąt domów. Pośrodku osady kościół. Duży budynek nowej szkoły. Port, przystań jachtowa i rybacka. I wszędzie cisza. Żadnych ludzi. Nad tym zastygłym spokojem króluje rzeźba białego niedźwiedzia.

— *Tutaj urodzili się moi dziadkowie, rodzice i ja* — mówi August. — *Tutaj mieszkałem przez sześćdziesiąt lat.*

— Ale co się tutaj stało?

— *Bjornsund zestarzało się. Trzeba było utrzymywać regularną komunikację promową. Dowozić lekarzy, bo pozostali już sami starzy ludzie. Młodzież uczyła się i osiedlała na stałym lądzie. Tylko troje dzieci chodziło do szkoły.*

— I?

— *I rząd zaproponował nam, mieszkańcom Bjornsund, żebyśmy zostawili cały dobytek, wszystko co mieliśmy i przenieśli się na stały ląd, chociażby do Bud. Urządzono nam domy dokładnie takie jak mieliśmy w Bjornsund. Dostaliśmy wszystko.*

— A domy na Bjornsund?

— *Są w dalszym ciągu nasze. Możemy tu przyjeżdżać na urlopy, ale nie wolno nam mieszkać więcej niż dziesięć miesięcy w roku. Niektóre domy ludzie sprzedawali za bardzo małe pieniądze. Za tysiąc dolarów można było kupić sobie taki dom na letnisko. Teraz cena podskoczyła do 4 tysięcy, bo zainteresowali się wyspą Niemcy z RFN i Szwedzi. Ale na stałe mieszkać tutaj nie wolno.*

Zaglądamy do domu Augusta i Karen. Wygląda jakby ktoś wstał od stołu. Odsunięte krzesło. Kubek na stole. Obrazki na ścianach. A opuścili wyspę przed dziesięciu laty.

Na północnym, skalistym krańcu wyspy wybudowano potężną latarnię morską. Idziemy mostem nad cieśniną.

— *Jak jest sztorm, to tędy przejść nie można* — mówi Karen — *fale przewalają się nad głową.*

Przed latarnią spotykamy dwóch mężczyzn. Pracują na zmianę po dwa tygodnie każdy. Korzystają z pięknej pogody i suszą na słońcu ryby.

— *Suszony na słońcu dorsz to bardzo dobra potrawa* — zapewniają. — *Wystarczy potem wrzucić do gotującej się wody i palce lizać, takie dobre.*

Schodzimy po skałach nad samo morze.

— *Tutaj, dwa tygodnie temu morze zabrało turystę z Molde* — opowiadają. — *Przyjechał z żoną i z dwojgiem dzieci na wycieczkę. Była piękna pogoda. Ciepło. Zeszli na brzeg. Żona została powyżej. Morze było spokojne. Dzieci podbiegły do mamy i w tym momencie przyszła nieoczekiwana, jedna fala i zmiotła go ze skały. W kilka godzin potem znaleźli ciało piętnaście metrów od brzegu.*

Zatrzymujemy się nad dziurą w skale. Ma około dwóch metrów średnicy. Głęboka na jakieś cztery, pięć metrów. Wypełniona wodą.

— *To jottegryte. Kamień leży na skale i morze w czasie odpływów i przypływów porusza nim jak żarnem* — wyjaśnia Inge. — *Po wielu, wielu latach rzeźbi taką dziurę w skale. Dawniej wierzono, że to robota nadmorskich troli.*

Latarnicy chcą nam pokazać przedmiot swojej dumy. Prowadzą nas na środek wysepki, gdzie skała nieco się obniża, a niecki wypełnioną ziemią porasta gęsta trawa.

— *W tym roku było za mało słońca i nie dojrzeją* — mówi jeden z latarników wskazując na pięć pomidorów — *ale czasami są naprawdę czerwone.*

Wracamy na kuter, a po drodze stary wujek August opowiada nam o wyspie. Jest bardzo wzruszony i by się nieco rozweselić opowiada o jedynym na wyspie samochodzie, który został nie wiadomo jak, w nocy przetransportowany przez właściciela. Nie można nim było przejechać więcej niż dwieście metrów, bo tak długa jest droga na wyspie. Gdy wyprowadzano się z Bjornsund, mieszkańcy zepchnęli samochód do morza.

(6)

„W imieniu Boga" — tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Niezależnie od błędów i zaniedbań, jakie można przypisać papieżowi Pawłowi VI, jednego nie można było mu odmówić — umiejętności zorganizowania konklawe. Pozostawił on jednoznaczne reguły procedury wyboru swego następcy.

Jedną z najważniejszych dla niego spraw było zapewnienie tajemnicy. Zgodnie z ustalonymi przezeń wytycznymi, dwa dni przed konklawe kardynałowie złożyli uroczystą przysięgę. Musieli przysiąc — pod kara ekskomuniki — że „ani znakami, ani słowami, ani na piśmie czy w jakikolwiek inny sposób" nie zdradzą nic na temat przebiegu wyboru. Dla wykluczenia wszelkich nieporozumień kardynałowie musieli też przyrzec i przysiąc, że podczas konklawe nie będą wykorzystywali „żadnych urządzeń nadawczych i odbiorczych wszelkiego rodzaju, ani też aparatów umożliwiających robienie zdjęć". Najwyraźniej papież Paweł nie miał nieograniczonego zaufania do dostojników Kościoła rzymskokatolickiego.

Zatroszczył się nawet na wypadek, gdyby między złożeniem przysięgi a rozpoczęciem konklawe któryś z kardynałów cierpiał na zanik pamięci: wszystkich 111 dostojników musiało złożyć przysięgę jeszcze raz, skoro tylko znaleźli się sami między sobą w Kaplicy Sykstyńskiej.

Kiedy kardynałom przydzielono ich pokoje — lub „cele", jak określił je Paweł w swoich poleceniach — kardynał Villot podjął dalsze czynności: wspierany przez kilku swoich kolegów i dwóch techników przeczesał cały teren, na którym odbywało się konklawe, celem wykrycia ewentualnego podsłuchu (w postaci urządzeń technicznych lub ludzi), który mógł zorganizować ktoś węszący interes swego życia. Tak więc dokonano rewizji osobistej całego personelu obsługi, znajdującego się w kaplicy. Wszyscy jego członkowie musieli stanąć do apelu.

Dla zapobieżenia temu, by nikomu z zewnątrz nie udało się przeniknąć do wewnątrz, Paweł zarządził, aby zewnętrzne i najbliższe otoczenie Kaplicy Sykstyńskiej było przeszukane przez sporą grupę ludzi z Watykanu. Z pisemnego tekstu nie wynika, czy celem tego zarządzenia było zapobieżenie przedostaniu się do kaplicy przez okna dachowe kardynałów wykluczonych z udziału w konklawe z uwagi na wiek.

Villot, jego pomocnicy i dwaj technicy z pewnością uczciwie zasłużyli podczas konklawe na swój chleb powszedni. Ich dalsze zadanie polegało na poszukiwaniu magnetofonów, kamer elektronicznych i „pluskiew" wszelkiego rodzaju.

Z uwagi na tę całą ceremonię przeszukiwania, badania i liczenia, pierwszego dnia, jak z pewnością przewidział to zmarły papież, niewiele czasu pozostało na zajęcie się rzeczywistym zadaniem: wyborem papieża.

W Swiętym Mieście panowały niezwykłe upały i można przypuszczać, że również wewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej była temperatura prawie nie do zniesienia dla zebranych tam, w większości starych mężczyzn, tym bardziej, że zmarły papież nie zapomniał także o problemie okien: zgodnie z jego poleceniem wszystkie okna musiały być zamknięte, zaplombowane i zasłonięte. W takich warunkach zewnętrznych 111 kardynałów musiało teraz podjąć najważniejszą decyzję ich życia.

Różnorodność dążeń uczestników konklawe była wiernym odzwierciedleniem oczekujących na spełnienie różnorodnych potrzeb, nadziei i życzeń milionów ludzi, którzy na zewnątrz czekali na nowego papieża. Istniało „prawe" skrzydło, którego ambicją było cofnięcie Kościoła z powrotem na pozycje, na jakich znajdował się przed II Soborem Watykańskim, a więc przede wszystkim przywrócenie rygorystycznej dyscypliny wewnątrzkościelnej. „Lewe" skrzydło chciało papieża, który rozumiałby biednych i był wiarygodnym adwokatem ich interesów, papieża, któremu nie były obce demokratyczne reguły gry i który zapewniłby biskupom prawo współdecydowania o tym, w jakim kierunku zmierzałby Kościół. Życzyli sobie Jana XXIII, podczas gdy przedstawiciele prawego skrzydła rozglądali się za Piusem XII. Między nimi byli tacy, którzy potrafili połączyć te lub inne poszczególne żądania obu skrzydeł, połączyć stanowiska postępowe ze wstecznymi. Był też Albino Luciani, człowiek o niezwykłej skromności, jaką rzadko tylko można spotkać u ludzi o tak dużej inteligencji, skromności, która łączyła się z wielką kulturą osobistą i rozwagą. Luciani widział swoje zadanie w nadaniu siły nośnej niespełnionym nadziejom i życzeniom Trzeciego Świata. Stąd jego decyzja oddania głosu na arcybiskupa Fortalezy z Brazylii, Aloisio Lorscheidera, człowieka o nieprzeciętnym talencie, dokładnie znającego problemy biednych. Wybór takiego człowieka — z wykorzystaniem lub nie Ducha Świętego — byłby oznaką ulgi.

Oznaką takiej ulgi byłby jednak również wybór, co do którego porozumieli się Giovanni Benelli i Leon Joseph Suenens. Benelli milczącym uśmiechem zareagował na potraktowanie go przez środki masowego przekazu w tygodniu poprzedzającym konklawe jako kandydata mającego największe szanse na wybór. W milczeniu odparował on też zatrute strzały, jakie kardynałowie z Kurii, tacy jak Pericle Felici, prokurator zarządu majątku Stolicy Apostolskiej, wystrzelili w jego kierunku, na przykład uwagę Feliciego pod jego adresem: „On będzie głosował tylko na siebie samego".

Wkrótce Felici miał stwierdzić, że Benelli nie tylko sam, lecz — co było jeszcze ważniejsze — przy udziale także innych kardynałów dążył do zrealizowania nieoczekiwanych planów. Kiedy do uszu kardynałów z Kurii dotarły pierwsze, szczątkowe informacje na temat dyskretnych zabiegów Benelliego i Suenensa o poparcie dla Albino Lucianiego, zareagowali oni tak samo lekceważąco, jak uczynili to przedtem dziennikarze. Albino Luciani nie stanowił żadnego tematu. Wśród opublikowanych przed konklawe przez Watykan biografii kardynałów, biografia Lucianiego była najkrótsza. Najwyraźniej najpotężniejsi w Kościele, podobnie zresztą jak sam Luciani, byli zdania, że jego nazwisko może znajdować się co najwyżej na liście „C". Podobnie jak prasa światowa, również Kuria mało wiedziała o tym człowieku. Ku zmartwieniu Kurii kardynałowie znali go lepiej. Po dokonanym wyborze wielu dziennikarzy i watykanologów usprawiedliwiało swoją nieudolność prognozowania odwoływaniem się do tego, że Luciani był osobą „nieznaną", która nigdy nie opuszczała Włoch i nie włada żadnym językiem obcym".

W rzeczywistości poza swoim językiem ojczystym i łaciną Albino Luciani znał jeszcze niemiecki, francuski, portugalski i angielski. Był znany nie tylko większości kardynałów włoskich (z wyjątkiem kardynałów Kurii), lecz pielęgnował także wiele przyjaźni za granicą. W Wenecji gościli u niego Polacy Wojtyła i Wyszyński. Wojtyła wywarł trwały wpływ na stosunek Lucianiego do marksizmu. Podczas swojej podróży do Brazylii w 1975 r. odwiedził Lorscheidera. Dobrym przyjacielem Lucianiego był także kardynał Arns, również z Brazylii. Belg Suenens, Holender Willebrands, Francuz Marty, Amerykanie Cooke (Nowy Jork), Manning (Los Angeles) i Medeiros (Boston), jak również Niemcy Hoeffner i Volk to tylko nieliczni z kardynałów, z którymi łączyły Lucianiego nici przyjaźni. Poza Brazylią odwiedził Portugalię, Niemcy, Francję, Jugosławię, Szwajcarię, Austrię oraz Burundi w Afryce, gdzie nawiązał partnerską współpracę diecezjalną między Kiremba a Vittorio Venetto.

Do kręgu przyjaciół Lucianiego należało także wielu niekatolików. Gośćmi w jego domu byli zarówno Phillip Potter, ciemnoskóry sekretarz światowej Rady Kościoła, jak i przedstawiciele żydostwa, Kościoła Anglikańskiego i Ruchu Zielonoświątkowego. Z Hansem Kuengiem wymieniał książki i listy. Gdyby Kuria Rzymska wiedziała o tym wszystkim, zapewne wszędzie w Watykanie rozbrzmiewałyby dzwonki alarmowe.

Był to więc człowiek, który nie zamierzał teraz czynić nic więcej poza oddaniem swego głosu, przeżyciem wyboru i koronacji nowego papieża, wejściem do swej wielokrotnie naprawianej Lancii i udaniem się z powrotem do Wenecji. Zastanawiał się także oczywiście nad tym, co by było, gdyby jakimś szczególnym zrządzeniem losu wybór padł na niego.

Kiedy Mario Senigaglia życzył mu szczęścia i doradził, by „na wszelki wypadek" wziął ze sobą teksty swoich niektórych wystąpień, Luciani wzruszył tylko ramionami. „Zawsze istnieje możliwość wycofania się. Zawsze można jeszcze powiedzieć „nie".

Później po przybyciu do Rzymu, również Diego Lorenzi, od 1976 roku sekretarz Lucianiego, wyraził życzenie, by człowiek, którego — jak przedtem już Senigaglia —nauczył się szanować jak ojca został następnym papieżem. Luciani znowu wzruszył ramionami. Przypomniał Lorenziemu zasady proceduralne, ustanowione przez zmarłego papieża. Mówił o niepowtarzalnym momencie, kiedy jeden z kardynałów uzyska niezbędne minimum dwóch trzecich plus jeden głos, w tym wypadku 75 głosów. Zostanie on wówczas zapytany: „Czy przyjmujesz wybór?" Luciani uśmiechnął się do swojego sekretarza. „Gdybym to ja był tym, którego by wybrali, powiedziałbym: Jest mi przykro. Nie mogę przyjąć tego wyboru".

W niedzielę, 26 sierpnia 1978 r., po odprawieniu mszy i wspólnym śniadaniu, wstępnych rytuałach i kontroli bezpieczeństwa kardynałowie zajęli miejsca przydzielone im w Kaplicy Sykstyńskiej. Reguły proceduralne wymagały, by nazwiska pisać na kartkach do głosowania zmienionym charakterem pisma. Kartki te po jednokrotnym złożeniu miały wielkość zaledwie znaczka pocztowego. Przed rozpoczęciem wyborów powołano członków komisji wyborczej, której zadaniem było sprawdzenie ważności oddanych głosów i ich przeliczenie. Następnie wybrano gremium składające się z trzech kardynałów, których zadaniem było sprawdzanie pracy komisji wyborczej.. Wymóg „większości dwóch trzecich plus jeden głos" został wprowadzony przez papieża Pawła w celu zapobieżenia temu, by któryś z kandydatów został wybrany papieżem tylko dzięki własnemu głosowi.

Na zakończenie przy rosnącym napięciu i rosnącej temperaturze, rozpoczęła się pierwsza tura głosowania. *).

Kiedy wszystkie karty do głosowania zostały dwukrotnie sprawdzone i policzone, a potem policzone trzeci raz, by stwierdzić, że żaden z kardynałów nie oddał dwóch głosów, posortowano je według nazwisk i nanizano na sznurki, potem jeszcze raz policzono i umieszczono w przeznaczonym specjalnie do tego celu pojemniku, w którym oczekiwały na późniejsze spalenie.

Pierwsze głosowanie przyniosło następujące wyniki:
— Siri — 25 głosów
— Luciani — 23 głosy
— Pignedoli — 18 głosów
— Lorscheider — 12 głosów
— Baggio — 9 głosów

Pozostałe 24 głosy przypadły Włochowi Bertoliemu i Feliciemu, Argentyńczykowi Pironio, Polakowi Wojtyle, Pakistańczykowi Cordeiro i Austriakowi Koenigowi.

Albino Luciani nie wierzył własnym uszom, kiedy przy liczeniu głosów jego nazwisko wymieniono 23 razy. Kiedy niektórzy siedzący w pobliżu kardynałowie odwrócili się do niego i uśmiechnęli, z niedowierzaniem i zakłopotaniem potrząsnął tylko głową. Jak to się stało, że otrzymał tyle głosów?

Na pytanie to mogliby odpowiedzieć kardynałowie Benelli, Suenens i Marty. Osiągnęli swój cel, jakim było zbudowanie dla ich kandydata, Lucianiego „rampy startowej", z której z dobrymi szansami mógłby kontynuować współzawodnictwo. Kardynałowie, którzy poza trzema wymienionymi zdecydowali się w pierwszym głosowaniu poprzeć kandydaturę Lucianiego, reprezentowali międzynarodowy wachlarz. Byli to Renard i Gouyan z Francji, Willebrands i Alfrink z Holandii, Koenig z Austrii, Volk i Hoeffner z Niemiec, Malula z Zairu, Nesubuga z Ugandy, Thiandoum z Dakaru, Bernardin z Kurii Rzymskiej, Gantin z Beninu, Colombo z Mediolanu, Pellegrino z Turynu, Ursi z Neapolu, Poma z Bolonii, Cooke z Nowego Jorku, Lorscheider z Brazylii, Ekandem z Nigerii, Wojtyła z Krakowa i Sin z Manili.

Luciani, który nie wiedział, kto na niego głosował, liczył na to, że zainteresowani skorygują tę pomyłkę w drugim głosowaniu. Wziął nową kartkę do głosowania i ponownie napisał na niej nazwisko Lorscheidera.

Kardynałowie Kurii przyglądali się teraz Lucianiemu z pobudzonym nagle zainteresowaniem. Ich najważniejszym celem była obrona roszczeń Pignedolego do tronu papieskiego. Jak wykazała druga tura wyborów, cel ten osiągnęli:
— Siri — 35 głosów
— Luciani — 30 głosów
— Pignedoli — 15 głosów
— Lorscheider — 12 głosów

Pozostałych 19 głosów znowu oddano na różnych kandydatów.

Kartki do głosowania, razem z tymi z pierwszej tury, wetknięto do starego pieca. Pociągnięto za uchwyt z napisem NERO i chmura czarnego dymu nie wyleciała kominem na zewnątrz, lecz wydostała się do wnętrza Kaplicy Sykstyńskiej. Jakiś funkcjonariusz Watykanu uważał za słuszne zaoszczędzenie paru marek na miotłę do czyszczenia komina, podczas gdy pogrzeb papieża Pawła i konklawe kosztowały Kościół wiele milionów. Z uwagi na zamknięte okna skutki tego zaniedbania łatwo mogły doprowadzić do szybkiego, przedwczesnego konklawe. Na szczęście papież Paweł zarządził, że na miejscu musiało znajdować się kilku członków watykańskiej straży pożarnej. Naruszając odważnie reguły proceduralne otworzyli oni kilka okien. Wreszcie część czarnego dymu znalazła drogę do komina Kaplicy Sykstyńskiej i radio watykańskie ogłosiło, że nie ma jeszcze nowego papieża. Wielu watykanologów przepowiadało długie konklawe zakładając, że 111 kardynałów z całego świata będzie po prostu potrzebowało więcej czasu na osiągnięcie przybliżonej jednomyślności. Patrząc na czarny dym pokiwali ze znajomością rzeczy głowami i poświęcili się znowu zabiegom o wydobycie od przedstawicieli watykańskiego wydziału prasy szczegółów dotyczących przynajmniej tak ważnej sprawy, jak to, jakie potrawy otrzymują kardynałowie.

Największe i w największym stopniu nacechowane różnymi prądami konklawe w historii Kościoła szybko przeniosło się z Kaplicy Sykstyńskiej do prowizorycznej kantyny.

Trzecia tura wyborów powinna przynieść ważne rozstrzygnięcia wstępne. Rywalizacja między Siri a Lucianim była sprawą całkowicie otwartą. Podczas gdy wcale nie czujący się dobrze we własnej skórze Luciani poświęcił się jedzeniu, inni robili politykę

Giovanni Benelli prowadził ciche rozmowy z kardynałami z Ameryki Łacińskiej. Pokazali oni flagę, ale wyraźnie było do przewidzenia, że to konklawe nie wybierze papieża z kraju Trzeciego Świata. Czy chcieli oni w Stolicy Apostolskiej takiego człowieka, jak Siri z jego znanymi poglądami reakcyjnymi? Dlaczego nie miałby być to człowiek, który nie pochodzi wprawdzie z Trzeciego Świata, ale jego serce biło dla nich? Nie jest żadną tajemnicą, dodał Benelli, że głos Lucianiego należy do jednego z nich, Aloiso Lorscheidera.

Benelli napotkał otwarte drzwi. Kardynałowie z Ameryki Łacińskiej zrobili swoje zadanie domowe bardziej dokładnie, niż wszystkie inne grupy regionalne. Swiadomi zapewne, że szansa przeforsowania ich kandydata, Lorscheidera nie była zbyt duża, już przed konklawe ustalili listę możliwych do zaakceptowania przez nich Włochów nie należących do Kurii. Jedną z osób z którymi przedyskutowali tę listę, był ojciec Bartolomeo Sorges, żyjący w Rzymie jezuita. Podczas dwugodzinnej dyskusji Sorges wskazał na czynniki, które przemawiały za kandydatami lub przeciw kandydatom, znajdującym się na tej liście. W końcu pozostało nazwisko Albino Lucianiego. (...).

Wśród pomruków wielu przytłumionych głosów również kardynałowie Suenens, Marty i Gantin usiłowali przekonać jeszcze wahających się. Kardynał Koenig z Wiednia powiedział do swojego sąsiada, że kardynałowie spoza Włoch nie mają podstawy do tego, by sprzeciwiać się ponownemu wyborowi Włocha na ich najwyższego zwierzchnika duchownego.

Również członkowie Kurii rozważali w przerwie obiadowej swoje szanse. Z dotychczasowego przebiegu konklawe mogli być zadowoleni. Powstrzymywali Pignedolego. Było jednak również oczywiste, że ich kandydat, Siri w znacznym stopniu wyczerpał swój potencjał wyborczy. Chociaż Felici i jego klika także przed konklawe wywierali naciski i wpływy, można było jednak przewidzieć, że nie uda się przeciągnięcie do obozu Siriego wystarczającej liczby głosów z lewego skrzydła i z centrum. Z pewnością łatwo będzie wywierać wpływ i dyrygować Lucianim, spokojnym, dyskretnym człowiekiem z Wenecji. Przekonania tego nie podzielali ci, którzy życzyli sobie powrotu do ery sprzed II Soboru Watykańskiego. Wskazywali na to, że Luciani bardziej niż którykolwiek inny kardynał włoski realizował w praktyce ducha tego zwołanego przez papieża Jana XXIII Soboru. (...).

Niektórzy kardynałowie wykorzystywali sjestę poobiednią na przyciszone rozmowy w jadalni, inni udawali się na drzemkę. W celi nr 60 Albino Luciani ukląkł i modlił się.

„Z tego ciasta nie możecie zrobić żadnego gnocchi", powiedział przed konklawe do przyjaciół, którzy życzyli mu wszystkiego najlepszego. Znaczna część jego kolegów-kardynałów wydawała się nie podzielać tej własnej oceny.

W modlitwie Luciani nie poszukiwał odpowiedzi na pytanie jaki wynik przyniosą w końcu wybory, lecz na pytanie, co powinien uczynić, gdyby sam został wybrany. Luciani, który nigdy nie chciał być nikim innym, jak tylko księdzem parafialnym, stał u progu najpotężniejszego stanowiska w Kościele rzymskokatolickim Żarliwie i z całą powagą prosił swego Boga na kolanach, by wybór padł na innego.

Kiedy Albino Luciani o czwartej po południu wyszedł ze swej celi, powitał go i serdecznie objął kardynał Joseph Malula z Zairu, przekazując mu z radością swoje życzenia szczęścia.

Luciani ze smutkiem potrząsnął głową. „Szaleje we mnie potężny sztorm", powiedział, kiedy wraz z Malulą udał się na trzecią turę głosowania.
— Luciani — 68 głosów
— Siri — 15 głosów
— Pignedoli — 10 głosów
— pozostałych 18 głosów padło na różnych kandydatów.

Albino Lucianiemu brakowało teraz tylko 8 głosów. Zakrywając dłonią czoło mruczał: „Nie. Proszę nie".

Kardynałowie Willebrands i Riberio siedzący na lewo i prawo od Lucianiego słyszeli tę gorącą modlitwę. Obaj wzięli go spontanicznie pod ramiona. Willebrands perswadował mu spokojnie. „Tylko odwagi. Kogo Pan obarcza tym ciężarem, daje mu też siłę do jego dźwigania".

Riberio potakująco skinął głową i dodał: „Cały świat będzie modlił się za nowego papieża".

Na wielu obecnych uroczysty nastrój wywarło uczucie, że tego gorącego popołudnia Duch Święty był obecny w Kaplicy Sykstyńskiej. Inni wyrażali cyniczny poglad na temat tego, jaki to Duch uduchowił konklawe. Od Taofinaya z Samoa pochodzi uwaga: „Władza w ludzkiej postaci, lub lepiej w postaci kardynała z Kurii". Kiedy wypowiadał te słowa, skierował swój wzrok na Feliciego.

Felici, który przed południem głosował na Siriego, podszedł teraz do Lucianiego i przekazał mu kopertę z napisem: „Posłanie do nowego papieża". Na kartce znadującej się w kopercie napisane były słowa „Via Crusis" — metafora ciężkiej drogi krzyżowej Chrystusa.

Wśród uczestników konklawe rozpowszechnił się ożywiony i euforyczny nastrój. Wielu było przekonanych już teraz, że działają jako narzędzia inspiracji boskiej. Bez posłuchania nakazu zmarłego papieża, że przed każdą nową turą głosowania kardynałowie powinni na nowo składać uroczystą przysięgę, przystąpiono do czwartego głosowania.
— Luciani — 99 głosów
— Siri — 11 głosów
— Lorscheider — 1 głos

Głos, który padł na Lorscheidera, został oddany przez Lucianiego.

Kiedy ogłoszono wyniki ostatniej tury głosowania, zerwały się grzmiące oklaski. Była godzina 18.05. Mała grupa zaprzysiężonych zwolenników Siriego, wszyscy nieprzejednani reakcjoniści do samego końca trzymali się swego kandydata.

Drzwi kaplicy otwarły się i liczni mistrzowie ceremonii w towarzystwie kardynała Villota podeszli do Albina Lucianiego. Głos zabrał Villot.

„Czy przyjmujesz kanoniczny wybór na pontifex maximus?'.

Wszystkie oczy były skierowane na Lucianiego. Kardynał Giappi zrelacjonował mi ten moment. „Siedział trzy rzędy za mną. Również teraz, kiedy został wybrany, wahał się. Kardynał Villot zadał mu pytanie, a on wciąż jeszcze sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Kardynałowie Willebrands i Riberio dali mu dostrzegalne znaki zachęty".

Wreszcie Luciani odpowiedział: „Niech Bóg wybaczy wam to, co mi uczyniliście". Potem dodał: „Accepto".

„Jak chcesz się nazywać?", zapytał Villot.

Luciani ponownie zawahał się. Potem, po raz pierwszy, na jego twarzy pojawił się uśmiech: „Jan Paweł I".

C.D.N.

*) Jedyny istniejący protokół urzędowy tego, co nastąpiło podczas konklawe, jest nieosiągalny i znajduje się w archiwach Watykanu. Opis dalszych wydarzeń opiera się na informacjach, jakie uzyskałem z większej liczby dobrze poinformowanych źródeł. W danych liczbowych występują odchylenia, będące wynikiem różnic w podanych mi informacjach. Wynika stąd z konieczności wniosek, że niektóre dane musiały być błędne. To samo zastrzeżenie dotyczy nazwisk kardynałów, którzy w pierwszej turze głosowania oddali swoje głosy na Lucianiego. Mimo istniejących sprzeczności i odchyleń uważam, że opis ten oddaje w zasadzie właściwy obraz przebiegu wyboru papieża.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

JACEK SAWASZKIEWICZ

(4)

Wahadło

Obudziła mnie cisza, którą przerywało tylko miarowe kapanie wody z nieszczelnej rurki przy bojlerze w łazience:

— Kat-pef, kat-pef, kat-pef.

Obudziłem się z kacem i ze świadomością, że w otoczeniu zaszła jakaś zmiana. Zwlokłem z siebie przykrycie, wstałem i otworzyłem okno. Świt zgubił swój mgielny welon, który opadł na Miasto kropelkami rosy. Ulice nadal były bezludne; wozy osobowe, furgonetki, ciężarówki i autobusy stały na jezdni jak wrośnięte w asfalt.

U podnóża wieżowca z przeciwka płaszczył się długi pawilon handlowy z szeregiem sklepów: kosmetyki, wyroby wikliniarskie, optyk, artykuły piśmienne, galanteria skórzana, części elektrotechniczne. I sklep ze sprzętem myśliwskim — „Ryś". W pierwszych promieniach wschodzącego słońca przyblakłe neony wabiły nie istniejących klientów.

Odwróciłem się do pokoju i mój wzrok padł na pradziadkowy zegar. Zegar stał — na tym polegała ta zmiana. Wyregulowałem ciężarki, czego nie zrobiłem wczoraj, i pchnąłem wahadło.

— Trdyk-dak — odpowiedziało z wdzięcznością.

Potem nakręciłem budzik na półce przy tapczanie.

— Dzyk-dzak — odezwał się do mnie ciepło — dzyk-dzak, dzyk-dzak.

Obu zegarom dzielnie wtórowała woda kapiąca na folię rozłożoną w wannie. Te trzy źródła dźwięków wytworzyły bardziej familijną atmosferę.

Po śniadaniu znowu usiadłem przy telefonie. Zadzwoniłem do Instytutu i trzymałem słuchawkę przy uchu, dopóki centrala sama nie przerwała tego połączenia. Byłem bezradny. Nie mogłem znaleźć nikogo, kto by mi powiedział, co mam robić w tej sytuacji. Zdecydowałem się powierzyć swój los astrologii.

Wybrałem stosowny numer służby informacyjnej i szczęśliwie trafiłem na początek zestawu horoskopów. Ten sam epatujący serdecznością damski głos, zamiast podawać sposób przygotowania tortu „Mocca", tym razem wyrokował, uprzedzał, doradzał i przestrzegał.

— Baran. Nie upajaj się powodzeniem; trzeźwość sądu obowiązuje zarówno w dniach sukcesu jak klęski. Nie daj się nakłonić do zmiany planów i do porzucenia obranej drogi. — Byk. Bądź ostrożny, jeśli nie chcesz narazić na zerwanie trwałych i wypróbowanych związków uczuciowych. Nie dawaj okazji do plotek i domysłów. — Bliźnięta. Nie odkładaj roboty, która może być szybko ukończona; wystarczy ci przecież energii na sprawny finisz. — Rak. Przywrócenie harmonii w stosunkach z najbliższymi zależy teraz głównie od ciebie. Zachowuj się spokojnie i cierpliwie, okazuj zainteresowanie; nie wszczynaj i nie daj się wciągnąć do drażliwych dyskusji. — Lew. W miejscu twojej pracy zbliża się czas zasadniczych zmian...

— No dobra — powiedziałem do słuchawki. — Ale ja nawet nie wiem, spod jakiego jestem Znaku.

— Baran — zaczęła od nowa ta kobieta.

Zabrzmiało to jak obelga, mimo że głos epatował serdecznością. Powstrzymałem się, by nie odpowiedzieć równie obelżywie i przerwałem połączenie.

Nie daj się nakłonić do zmiany planów... Nie odkładaj roboty... W miejscu pracy zbliża się czas dużych i szybkich postępów... Możesz stopniowo przechodzić od zajęć dorywczych do długofalowych... Zacznij kontrolować swoje zachowanie w pracy... Nie daj się w pracy onieśmielać... Omawiaj problemy... Przysiądź fałdów i wyprowadź swoją pracę na czyste wody... Twoje obecne szanse w pracy polegają na podjęciu obowiązków trudnych i odpowiedzialnych...

Postanowiłem uchwycić się tej szansy. Postanowiłem podjąć obowiązki trudne i odpowiedzialne. Ułamałem kawałek kabanosa i zszedłem do fiata, który w późnoporannym słońcu wygrzewał karoserię obok samochodu sąsiada. Z tego samochodu, za pomocą węża podciągnąłem około dwudziestu litrów paliwa — i pojechałem do Szefa.

*

Z zewnątrz budynek Instytutu podobny jest do budynku Przedsiębiorstwa, tyle że ma więcej pięter, nowocześniejszą sylwetę, bardziej przestronne okna, i zamiast muru otacza go żelazna sztacheta. Zatrzymałem się na podjeździe, wysiadłem z wozu, minąłem pustą portiernię i po przecięciu służbowego parkingu wszedłem na kamienne stopnie. Domyśliłem się, że drzwi wejściowe są zamknięte, zanim nacisnąłem klamkę, ale musiałem się upewnić. Istotnie, były zamknięte.

Włączyłem silnik i ruszyłem przed siebie. Kosmonauta leżał twarzą do dołu na siedzeniu tuż przy mnie, kolebał się z boku na bok, ja zaś gryzłem kabanosa, lawirując między pojazdami unieruchomionymi na jezdniach i zajmując się liczeniem. Z Miasta wyjechałem w środę około szesnastej, późnym wieczorem przybyłem do Miasteczka. Spędziłem tam noc, po czym w południe udałem się w drogę powrotną. Do domu dotarłem w czwartek, dopiero przed północą, bo w trakcie jazdy dwukrotnie poszła mi guma. Nazajutrz w panice jeździłem po Mieście, włamałem się do paru prywatnych mieszkań i do „Amaltei", skąd skradłem żywność, następnie wypiłem pół litra „Czystej wyborowej" i półtora butelki szampana, usiłując dodzwonić się do swoich znajomych i do kogokolwiek, aż wreszcie zasnąłem zmorzony alkoholem. To było wczoraj, czyli w piątek. Więc dzisiaj jest sobota. Dzień wolny od pracy.

— Oczywiście — powiedziałem. — Przecież doktor Jonathan T. Smith wyruszył na weekend. Z całym światem.

— Pieszo? — zdziwił się fiat.

— Pieszo — odrzekłem kategorycznie. — Mamy już potąd tego warkotu i spalin.

Na skrzyżowaniu, przed sygnalizacją świetlną, mimo woli zwolniłem. Całą szerokość jezdni tarasowały tu sparaliżowane pojazdy. Wjechałem na chodnik, żeby je ominąć, i wtedy zobaczyłem kobiecą dłoń, która nagle wyrosła pięć metrów przed maską mojego fiata. Była kształtna, opalona i wystawała wprost z chodnika, od nadgarstka aż po czubki paznokci pomalowanych perłowym lakierem.

Wpatrywałem się w tę dłoń osłupiały.

Na jej serdecznym palcu błyszczała grawerowana obrączka, palec środkowy zdobił pierścionek z granatem. Nadgarstek opinała bransoleta zegarka.

Dłoń poruszała się nad ziemią, jakby w geście pozdrowienia machała do kogoś po przeciwnej stronie ulicy, potem zniknęła wessana w beton chodnika.

Nacisnąłem pedał gazu. Silnik ryknął i szarpnął fiatem do przodu. Pomknąłem ulicami, ścinając zakręty, wywracając kosze na śmieci i żłobiąc koleiny w trawnikach skwerów. Przed supersamem „Amalteja" gwałtownie skręciłem, by uniknąć zderzenia z dostawczym samochodem-chłodnią, który stał skosem na obu pasach jezdni. Z całej siły wdusiłem pedał hamulca i wóz wpadł w poślizg. Zablokowane koła piszczały na płytach chodnika, mur pędził mi na spotkanie, w końcu rozległ się huk, łomot, posypały się okruchy szkła i drzazgi.

Uderzenie rzuciło mnie na obręcz kierownicy i pod moim ciężarem zabuczał klakson. Fiat znieruchomiał, posapując chłodnicą. Powoli otworzyłem oczy. Zobaczyłem przed sobą rozbite drzwi, wygiętą kratę i stwierdziłem, że mój samochód błotnikiem tkwi w supersamie. Niepewną ręką włączyłem wsteczny bieg i metr po metrze cofnąłem się na jezdnię.

Muszę coś wypić — pomyślałem. — Cholera, muszę coś wypić. Alkohol ma zbawienny wpływ na moje nerwy.

Wygramoliłem się z wozu i na miękkich nogach poszedłem do „Amaltei". Wyjąłem z transportera „Czystą żytnią", zdjąłem z niej zakrętkę i przytknąłem szyjkę butelki do ust. Piłem długo, niemal chciwie, czując, jak strumyczki wódki ściekają mi po brodzie i po mokrej od potu klatce piersiowej. Zapaliłem papierosa, przełknąłem jeszcze kilka łyków żytniówki i dopiero wtedy odważyłem się obejrzeć wyrządzone szkody.

Drzwi supersamu, wyrwane z zamków, stały otworem. W ich metalowej ramie tkwiły odłamki siedmiomilimetrowego szkła. Krata była wepchnięta w głąb sklepu i między nią a ościeżnicą powstało szerokie przejście, przez które wydostałem się na ulicę, niosąc przed sobą butelkę żytniówki opróżnioną w dwóch trzecich. Mój poczciwy fiat także ucierpiał. Miał wgnieciony zderzak, zgruchotaną maskę i roztrzaskany prawy reflektor. Nadal posapywał i coś w nim chrobotało. Ale silnik ocalał.

Rzuciłem niedopałek na ziemię i rozdusiłem go obcasem. Butelkę z resztą wódki cisnąłem na stos szkła pod zdemolowaną wystawę i wszedłem przez tę wystawę do środka „Amaltei". Wyniosłem stamtąd transporter „Czystej żytniej" i kontent z tej zdobyczy zawiozłem ją do domu.

W domu zrobiłem sobie mocną herbatę i czekając, aż ona ostygnie, wsadziłem głowę pod strumień zimnej wody nad zlewem. Porządnie natarłem okolice uszu. To poprawia krążenie. Przynajmniej takie jest zdanie specjalistów.

W łazienkowej szafce znalazłem tabletki uspokajające. Wziąłem tek tabletki przeciwbólowe. Zażyłem dubeltową porcję. Szklankę z herbatą zaniosłem do pokoju Renaty, postawiłem ją na ławie, obok rozsypanych herbatników, i zwaliłem się na fotel. Z ulgą rozprostowałem nogi.

Tak, ludzie wyruszyli na weekend, mieli jednak piekielnego pecha. Wyruszając na ten wspólny, ogólnoświatowy weekend wywołali mnóstwo niepotrzebnego hałasu i zamieszania, co ściągnęło na nich uwagę mieszkańców planety Kanibalia. Ogromne i przepastne, czasoprzestrzenne statki Kanibalian wylądowały na Ziemi i wchłonęły w swoje trzewia wszystko, co żywe na naszej planecie, a następnie zawiozły to na inną planetę, skutą mrozem, żeby tam mięso skruszało i żeby jego zapasy były stale świeże. Kanibalianie pracowali w pośpiechu, dlatego przeoczyli pojedyncze dłonie czy ręce, może także nogi, może jeszcze to i owo.

Przeoczyli również mnie, kiedy stałem ukryty pod wiązem przyjacielem. Zostałem sam na świecie. Ja jeden. Jestem jedynym władcą tego świata. Jedynym władcą, któremu nie grozi spisek ani zdrada, ani przesilenie polityczne.

— Trdyk-dak — przytaknął pradziadkowy zegar i wybił południe.

— Władca świata? — powiedziałem głośno i bełkotliwie. — No i dobrze, ale od czegoś muszę zacząć te swoje rządy. Może właśnie od załatwienia Sprawy?

Chwiejnym krokiem udałem się po teczkę z dokumentacją techniczną wahadła neutronowego. Od środy woziłem tę teczkę ze sobą w skrytce fiata. Przyniosłem ją do mieszkania i znów zwaliłem się na fotel. Chociaż miałem pewne trudności z czytaniem, od razu zorientowałem się, że to, co trzymam przed sobą, nie jest żadną dokumentacją techniczną. Była to korespondencja, która wpłynęła ostatnio do Instytutu. Sekretarka pomyliła teczki. Ta właściwa leżała teraz niewątpliwie na biurku Szefa.

Chyba powinienem po nią jechać. Jutro pojadę. Nie, jutrzejszy dzień przeznaczę na przejrzenie tej dokumentacji. Później łatwiej mi będzie dogadać się z dyrektorem technicznym Przedsiębiorstwa. A więc pojadę po nią dzisiaj. Natychmiast.

*

Klucze od głównego wejścia do Instytutu wisiały w portierni, na osobnym haczyku w gablocie. Zdjąłem je z tego haczyka, halsem pokonałem służbowy parking i kamienne stopnie, i jakoś otworzyłem to główne wejście. Wdrapałem się na pierwsze piętro, skręciłem korytarzem w lewo, przy czym na zakręcie trochę mnie zarzuciło, i wszedłem do sekretariatu.

Panował tu regulaminowy porządek. Biurka były posprzątane i zamknięte, popielniczki czyste, dywan odkurzony, nawet na maszynę do pisania założono pokrowiec. Zatoczyłem się lekko w kierunku gabinetu Szefa. Tak, na jego biurku między popielniczką z dwoma amorkami a inkrustowaną szkatułką leżała ta właściwa teczka.

Usiadłem za tym biurkiem i oparłem na nim nogi. Zapaliłem papierosa.

— Zojka — powiedziałem. — Przynieś kawę.

Z podręcznego barku wydostałem butelkę „Jasia Wędrowniczka" i kieliszek. Dla zabicia nudy wypiłem jeden głębszy globtroterski.

— Co z tą kawą, Zojka?

Fotel Szefa obity był skórą i miękki niczym puchowa poduszka. Można było na nim siedzieć przez osiem godzin bez obawy o hemoroidy. Wstałem z niego z żalem i wymknąłem się bocznymi drzwiami na korytarz. Potem odważnie wszedłem do sekretariatu. Rozkraczony stanąłem przed biurkiem, pod którym kraglutkie kolana Zojki wstydliwie tuliły się do siebie.

— Gdzie jest stary? — zapytałem.

Zojka uniosła brwi.

— Przepraszam, kto?

— Stary — odparłem. — Łysy, gruby, niski bałwan.

Aż podskoczyła, biedactwo, na swoim krześle.

— Panie dyrektorze! — zawołała przestraszona...

Nie, nie tak. Sekretarka oblała się rumieńcem.

— Pan chyba pomylił...

— Niczego nie pomyliłem. Tutaj mieszczą się biura Instytutu, prawda?

— Owszem — powiedziała. Jej cudowne oczy były teraz szeroko otwarte.

— Szukam pewnego faceta — wyjaśniłem. — Uciekł z kliniki psychiatrycznej. To zboczeniec i przestępca, niebezpieczny dla otoczenia. Podaje się za naczelnego dyrektora rozmaitych instytucji. Taki łysy, tłusty kurdupel. Czy panią razi moje słownictwo?

Przełknęła ślinę.

— Nie, to znaczy... Ale o co panu chodzi?

— O pętaka, knota, konusa. Taki spaślak z łysym łbem. Podobno jest u was dyrektorem.

Zojka bezwiednie rozchyliła wargi. O rany, ale bym ucałował ten pyszczek!

— Pana dyrektora teraz nie ma — wybąkała. — Pojechał do Centrali.

— Więc jesteś sama?

— Co?

— Wstań, lalunia.

Zdezorientowana wlepiła we mnie spojrzenie, a ja patrzyłem na nią. Zojka ma krótką fryzurę, proste brwi, piwne, migdałowe oczy, wąski nos, średnie usta i gładką cerę o raczej ciemnej karnacji. Jest w egipskim typie urody. Sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, sześćdziesiąt siedem kilogramów wagi. Wymiary: sto pięć, osiemdziesiąt, sto dwa. Rany boskie!

— No, podnieś tę swoją słodką dupcię.

Podniosła ją.

— A teraz — zażądałem — rozbieraj się.

— Co?

— Rozbieraj się — powtórzyłem. — Ściągaj z siebie kiecę i tę całą resztę.

Znowu rozchyliła wargi.

— Och! — szepnęła.

— Ja nie żartuję. Tak czy owak cię zerżnę. Zerżnę cię tutaj, w tym sekretariacie, na tej podłodze.

— Nareszcie! — wykrzyknęła i zadarła spódnicę. — Zerżnij mnie, zerżnij! — Przymknęła powieki i rozkrzyżowała ramiona. — No, dalej! Och, na co czekasz?

Popsuła mi całą zabawę. Odwróciłem się do niej tyłem i pchnąłem drzwi do gabinetu Szefa. Szef garbił się nad papierami i udawał, że coś tam czyta.

— To ty — rzekł ponuro.

— To ja — *odrzekłem swobodnie. — Ty cymbale!*

Zastanowił się. Spojrzał na czubki moich butów i w zamyśleniu potarł dłonią brodę.

— Dostałeś nową posadę? — zagadnął.

Ze smutkiem pokiwał głową. Potem zdecydowanym ruchem odsunął na bok papiery i rozstawił przed sobą kieliszki.

— Siekniem? — *spytał konkretnie.*

— Możem.

Usiadłem po przeciwnej stronie biurka. Siekneliśmy.

— Odchodzicie — podjął rzewnie Szef. — Wszyscy odchodzicie. I każdy z was tylko na tym korzysta. A ja...

Głośno wytarł nos.

— No — upomniałem go — nie maż mi się tutaj.

— Łatwo wam, kolego, mówić. Przez czternaście lat kierowałem tym Instytutem, a teraz co.

— Co?

Wytrzeszczył na mnie świńskie oczka. Zakręcił butelkę i wydoił „Jasia" do dna.

— Nie wiecie?

— Nie wiem — odparłem zgodnie z prawdą.

Szef pochylił się ku mnie nad biurkiem.

— Chcą mnie wysadzić ze stołka — zwierzył mi się płaczliwie. — W Centrali nastąpiły zmiany personalne. Nowy minister nie lubi niskich. Już na pierwszym posiedzeniu użył... użył słów „szkraby", „pędraki", „fąfle" i „smerdy". I gdzie ja się podzieję?

Załkał.

— Sieknij jeszcze — poradziłem mu życzliwie.

Wydobył z barku drugą butelkę „Jasia Wędrowniczka" i napełnił kieliszki.

— A może — powiedział z nadzieją — znajdzie się jakieś wyjście. Zamówiłem sobie koturny. Dodadzą mi ze trzydzieści centymetrów. Będę waszego wzrostu.

— Sądzi pan, że to coś pomoże?

— Ma się rozumieć. Dyrektor wysoki, postawny i tak dalej, to... sami wiecie.

Sięgnąłem po swój kieliszek.

— Wobec tego życzę panu powodzenia, panie dyrektorze. Wypijmy za nasze przyszłe sukcesy w pracy zawodowej.

— Jak to „nasze"? — zerknął na mnie podejrzliwie. — Gdzie ty właściwie pracujesz?

— W Instytucie, rzecz jasna. Przyszedłem prosić o podwyżkę, którą pan mi obiecał rok temu.

— U mnie?

— U pana. W dziale zaopatrzenia.

Szef spurpurowiał i jakby napęczniał. Jego świńskie oczka prześliznęły się po ścianach i suficie gabinetu, by wreszcie spocząć na drzwiach prowadzących do sekretariatu.

— Zojka! — wrzasnął, a kiedy Zojka stanęła na progu, wskazał mnie palcem. — Widzisz go? Widzisz tego... tego... Za pysk i fora ze dwora!

— Czy mam to traktować jako wypowiedzenie? — spytałem.

— Za pysk i na zieloną trawkę!

C.D.N.

1

Felieton pesymistyczny

Puchowy śniegu tren...

Przede wszystkim dziękuję — choć z małym opóźnieniem za noworoczne serdeczności i założenie w redakcji „teczki". O „Odgłosy" w naszym ośrodku coraz trudniej, doszło do tego, że żona kolegi (Szogun na niego mówimy, taki do doktora Kildare podobny...), przemycała tygodnik w chlebie, ale się sanitariusze zorientowali i oddają nam — złośliwcy — stare numery „Playboya". A tak to zawsze siostrę przełożoną poproszę, ona na rewizję osobistą nie da się namówić i świeżą gazetkę dostarczy.

Byłem i ja na noworocznej przepustce, tak mnie ta aura zimowa rozkleiła, zabawy w śnieżki z dzieciakami się zachciało, kuligów, spacerów. „Łysol" (znany Panu lekarz) ostrzegał lojalnie, że zima ścisnęła tęgo i różne niespodzianki mogą na mnie czekać, proponował do wiosny wytrwać. Alem się zaparł.

Przez miasto jakoś przebrnąłem, gawędząc od czasu do czasu z facetami, którzy udawali, że śnieg odmiatają, wykurzyłem parę „Klubowych" z chłopakami z MPO, którzy zawsze wiedzą, jak się w czasie zimy w ustronną uliczkę schować. Czasem dla rozgrzewki pomogłem pchać jakiś zamarznięty autobus i po dwóch dniach byłem w domu. Moi, tak jak przypuszczałem, siedzieli w paltach (w końcu środek zimy...), lekko przybrudzeni, bo woda była wyłącznie letnia i jedli stare bułki (mrozy, więc kłopoty transportowe). Żona się *spłakała*, herbatą z termosu poczęstowała. Świeżej nie mieli, bo jakaś drobna awaria spowodowała wyłączenie gazu. Chciałem użyć maszynki elektrycznej, ogrzać się też nieco przy elektrycznym piecyku. Niestety, posłusznie odłożyłem te energochłonne urządzenia, gdyż sympatyczny facet z małego ekranu właśnie tokował, że zima, że mrozy, są trudności, trzeba oszczędzać prąd, bo jak nie, to choć jadą pełną parą, zaczną nam wyłączać różne rzeczy. Tak się przeraziłem, że na początku wyłączyłem faceta.

Po obiedzie przerywanym rodzinnym zabijaniem rąk, żona zaczęła mi delikatnie tłumaczyć dlaczego nie działa winda. Przyglądała mi się przy tym bacznie, bom się krzywił niemiłosiernie. Nie denerwowałem się jeszcze, o nie, ale mi ktoś z bloku usytuowanego opodal uporczywie w oczy świeci. Jakby latarką albo lusterkiem „zajączki" puszczał. Starszy syn coś chwilę sylabizował i ozwał się głośno:

— Mamo, Jacek prosi by mu matmę przedyktować...

— To telefon wciąż nieczynny? — zdziwiłem się głupio.

Odłączono go w początkach grudnia. Ponoć parę przecznic dalej nowych lokatorów uszczęśliwiano wynalazkiem pana Bella i w związku z tą operacją trzeba było odciąć kilka (kilkadziesiąt?) już istniejących telefonów. Dowiedziałem się też, że próbowano porozumiewać się przy pomocy tuby, w cenę poszły gołębie, a wyuczona na obcych filmach dzieciarnia zaczęła nawet tu i ówdzie ogniska rozpalać, by sygnały dymne sobie dawać. Sugerowałem by syn poszedł z „matmą" do kolegi, ale żona kategorycznie się sprzeciwiła. Zrozumiałem: najwidoczniej pod domy zaczynały wieczorami wilki podchodzić. A może to wyli lokatorzy?...

Łyknąłem parę prochów, po których opowieść małżonki o aktualnym malowaniu klatki schodowej tylko mnie utwierdziła w przekonaniu, że jednak mimo mrozów wielu ludzi pracuje wydajnie i rzetelnie. Z satysfakcją obejrzałem też zamontowane parę tygodni wcześniej na osiedlowym skwerku ławki. Ci to pracują!...

Założyłem onuce, pożegnałem dzieciaki i ruszyłem w drogę powrotną. Miałem szczęście: znajomy taksówkarz podjechał po paru minutach góralskimi sankami zaprzężonymi w parujące na mrozie siwki.

— Witam panie Stefanie! Do sanatorium, jak zwykle? — dopytywał się, otulając mnie kożuchem dla pasażerów. — Piękna zima, prawda? Ja się zabezpieczyłem, ale wielu kolegów na życie nie zarabia. Kochany, co oni w tych stacjach CPN sprzedają! Mnie najpierw „Borygo" w chłodnicy zamarzło, a później — paliwo w zbiorniku! Musiało być z wodą, nie?

— My jak my, sytuacja jest jaka jest — perorował, zawzięcie strzelając z bata — ale w takiej, weźmy, Kanadzie to chyba mrą jak muchy, bo słyszałem, że u nich jeszcze większe mrozy.

Minął nas jakiś kulig, saneczek dosiadali poważni ludzie, niektórzy z teczkami, traktor miał z przodu tabliczkę informacyjną „Do śródmieścia". A mój taksówkarz gadał jak nakręcony.

— Piszesz pan jeszcze do tych „Odgłosów"? To pozdrów pan Romana Kubiaka, kapitalny był ten jego serial o „dywanowym rejsie" promem do RFN. Byłem teraz w styczniu, wszystko się zgadza, tak jak pisał, toczka w toczkę. Jako ciekawostkę mogę tylko dorzucić, że na moim rejsie pobity chyba został szczyt bezczelności: byliśmy na wycieczce w „Tuborgu", w Kopenhadze i jeden facet w trakcie zwiedzania zakładu sprzedał dwie butelki „Wyborowej" pracownikowi, w damskiej toalecie. Pomyśl pan, to jest łeb: upłynnić towar w toalecie i to gościowi z browaru! No, wio maluśkie!

W oddali ukazały się ośnieżone wieżowce śródmieścia...

STEFAN ŻYCIOWY

2

Nagle zastępstwo

(1)

Ostatnie tango w Skiro—ławkach

Znajomy (wg nomenklatury KTT „raczej na NIE") zagadnął mnie niedawno: — Cenzura was, dziennikarzy, ostro naciska, co? Kiedy zaprzeczyłem, mrugnął: — No wiadomo głupio ci się przyznać, ale przecież wiadomo że was duszą. — Z dalszej rozmowy wynikało że mój znajomy działalność cenzury wyobraża sobie mniej więcej tak, jak nieustający proces przed trybunałem Świętej Inkwizycji. Myśle, że nie on jeden.

Ludzie nafaszerowani wszelka powielaczowa bibuła, którym nie zdarzyło się być nigdy w lokalu jakiejkolwiek redakcji sądzą, że wśród biurek, przy których powstają reportaże, recenzje, felietony itp. przechadzają się rośli dżentelmeni ostrzyżeni na resortowego jeża, z rękami założonymi na plecach i zaglądają przez ramie piszącym dziennikarzom. Kiedy cokolwiek im się w czytanych w ten sposób tekstach nie spodoba, wyrywają z maszyny kartkę drą a w najlepszym przypadku wykreślają fragmenty ogromnym, czerwonym flamastrem, ozdobionym portretem Dzierżyńskiego. Po takim zabiegu odnotowują sobie dyskretnie nazwisko autora skonfiskowanego tekstu — do wiadomych celów. Czasem, gdy są w złym humorze to i doraźnie przyłożą pała albo chcciaż wykręcą ucho.

Tymczasem cenzura to nie tylko instytucja pod nazwą Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Cenzura to proces, który powstawaniu gazety towarzyszy od autorskiego rekopisu, do każdego przeczytanego egzemplarza gazety. I dokonują tej cenzury wszyscy lub prawie wszyscy, którzy z gazetą mają cokolwiek wspólnego.

Zaczyna się od autocenzury. W każdym dziennikarzu tkwi cenzor, oceniający tekst pod względem politycznym i obyczajowym oraz pod wieloma innymi względami. Nie może być inaczej, przecież tak czy owak za artykuł, a nawet za anonimową notatkę odpowiada przede wszystkim jej autor. Odpowiada przed swoim sumieniem, przed kierownictwem redakcji, przed czytelnikami. Bywa wreszcie, że i przed sądem...

Potem tekst jest dopuszczany do druku przez kierownictwo redakcji. Czasem tylko przez kierownika działu, częściej jeszcze przez sekretarza redakcji, nierzadko przez naczelnego. A bywa że przez całe kolegium redakcyjne. Tekst jest oglądany pod światło i oceniany pod każdym względem. Także a nawet przede wszystkim, pod względem politycznym. Jest zatem również cenzurowany.

Wreszcie, w postaci tzw. odbitki szczotkowej tekst dociera do cenzury instytucjonalnej, tj. do pracowników UKPiW. I może mi czytelnik nie uwierzy, ale zdarza się wcale nierzadko, że ten etap cenzury bywa łagodniejszy, niż dwa poprzednie!

Wielekroć pisałem coś w przekonaniu, że nie puszczą, wielekroć mój szef krzywił się i z westchnieniem podpisywał do druku. A potem okazało się że puścili...

Fakt, że kiedy indziej skreślili, kiedym się najmniej spodziewał...

Może się narażę różnym ludziom spośród tych „raczej na NIE" ale jako autor felietonów pod nagłówkiem „Nagle zastępstwo" nie mam powodów do narzekania, a cenzor który mnie regularnie czyta, jest moim starym znajomym i ewentualne wątpliwości wyjaśniamy sobie przez telefon. Jakoś dochodzimy do porozumienia. (Przy okazji: Najlepsze życzenia noworoczne, Kaziu...).

Wreszcie cenzury etap ostatni. Czytelnicy. Proszę mi wierzyć, cenzorzy najsurowsi. Niemalże po każdym artykule ktoś poczuje się urażony, telefonuje, pisze. Ba żeby tylko do redakcji. Pisze do różnych władz i z reguły żąda, żeby odpowiedzialnego redaktora surowo ukarać, a autora natychmiast wywalić z roboty z wilczym biletem.

Niejednokrotnie właśnie od tych, co to mówią o surowości cenzury można usłyszeć: — Co to jest? Jak to się stało że to wydrukowano? Gdzie była cenzura?

Szczególnie często ta społeczna, czytelnicza cenzura represyjna (w odróżnieniu od cenzury prewencyjnej, tj. autorskiej redakcyjnej i instytucjonalnej) ukazuje swoją nieprzejednaną surowość w stosunku do wszystkiego co dotyczy lub choć dotyczyć może szóstego i dziewiątego przykazania. (Przypominam — szóste: nie cudzołóż, dziewiąte: nie pożądaj żony bliźniego swego)

Niedawno w jednym tygodniku ukazał się rysunek satyryczny. Był naprawdę doskonały, a w tzw „dymku", tj. części tekstowej, zawierał „brzydki wyraz". Boże, co się działo! Telefony w redakcji się urywały, poważne instytucje trzęsły się w posadach, Sodoma i Gomora! Zmasowane ataki szły z lewa i z prawa, z trybuny i kazalnicy...

Jeden z krytyków tak „zjadliwie" sformułował swoją pretensję do redakcji: — To ma być wkład w Kongres Kultury Jezyka?

Biedak. Inkryminowane słowo znajdzie w każdym poważnym słowniku języka polskiego. A wyrażenie „wkład w kongres" jest koszmarne językowo i nielogiczne...

ANDRZEJ KAROL

3

Lewym okiem

Vice versa...

Każdy z nas utworzył sobie jakiś tam wzorcowy typ człowieka, jakim chciałby zostać, i póki co na takiego właśnie człowieka pozuje. Poza — to program, mawiał świetny publicysta, Stanisław Cat Mackiewicz. A ponieważ każdy poza wszystkimi innymi zamierzeniami chciałby pozostać wiecznie młodym, więc też i przywdziewa często kostium młodzieżowy, młodzieżową minę i gest. Różne są tego objawy.

Młodość to brak kłopotów i odpowiedzialności, to zdrowie i beztroska, śmiech, taniec, radość. Tak? Wcale nie. Kto dziś mimo łysiny, brzuszka i tysiąca garbów na psychicznym grzbiecie pozuje na młodzieńca, musi być właśnie tak jak tamten złamany bólem istnienia, sfrustrowany, tragiczny, pełen odrazy do otaczającego go świata i traktujący ten świat jak spluwaczkę dla wszystkich swoich nie wiadomo gdzie nabytych zaflegmień. Musi przy tym zachowywać się cynicznie i — przede wszystkim — straszliwie przeklinać.

W niektórych środowiskach „młodzieńczość" — pojmowana zawsze adekwatnie do panującego młodzieżowego stylu — manifestuje się szczególnie mocno. „Młodzi" muszą być zwłaszcza aktorzy, wszyscy ludzie z branży rozrywkowej, zawodowi podrywacze, galanci, playboy'e. Puszczyk we mnie chichoce, gdy w kawiarniach uczęszczanych przez ludzi tego pokroju widzę te łatane i powycierane portki na biodrach siwych dżentelmenów, te bajeczne skafandry, rozchełstane flanelowe koszule, gdy słysze ich rżący donośnie śmiech i jeszcze głośniejsze plugastwa. Niedawno pewien wcale mi nie znany, po raz pierwszy w życiu widziany, starszy pan — mój chyba rówieśnik — wpuszczając mnie podczas bardzo urzędowej wizyty do swego gabinetu powiedział: przepraszam za ten kurewski bałagan, ale wie pan kurwa jak to jest...

Z całej bardzo urzędowej wizyty zapamiętałem ten wstęp. Ten facet chciał być za wszelką cenę „równy". Chciał być nim przede wszystkim wobec swoich młodych klientów, od pierwszych słów upoważniał ich do „nie krępowania się", do „bycia sobą", panicznie bał się posądzenia o sztywniactwo, o hołdowanie różnym takim waniackim bzdurom. Z przefajnowania i z rozpędu ten sam styl zachował wobec mnie — a szkoda na pewno był przekonany, że mnie także zależy na owej „równości" czy „równiactwie". I tak ta kumplowska maskarada uczyniła nas obu z miejsca nieprawdziwymi i zmusiła do dalszego zgrywania się — i po co?

Przez wiele dziesięcioleci wszystkie pisma humorystyczne i kabarety wyśmiewały ćwierćinteligentów, silących się na mówienie pięknymi słowami, nie zawsze rozumianymi. „Pocałuj mnie gdzieś i vice versa" — mówił taki zabawny prowincjusz. Wtedy wzorcowym modelem człowieka był inteligent. Trzeba było jak najczęściej mówić „aczkolwiek", „proszę konsumować" i „po co ta subiekcja". Dziś należy się orientować na knajaka, na chuligana i zblazowanego gitowca. Dziś inteligent uczy się na gwałt złodziejskiej ksywy i tylko dla uczonych artykułów rezerwuje arsenał przemadrzałych zwrotów, tak samo jak ksywa odległych od normalnego, rzetelnego operowania słowem.

Poza — to program. Czy pozując na bitowego chuna ów pan, wpuszczający mnie do swego gabinetu, chciał pokazać, że jego programem jest właśnie możliwie szybkie schamienie i zrównanie się ze sławetną młodzieżową „subkulturą"?

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

4

Sport

Obojętność

Narzekamy na zdziczenie obyczajów, pijaństwo, chamstwo, awanturnictwo. I narzekamy pewnie słusznie. W każdej grupie zawodowej znajdą się ludzie, których zachowanie rzuca cień na innych. Najczęściej tych porządnych. Nieznajomy taksówkarz, aby mu się nie nudziło, opowiada mi, jak onegdaj wiózł pijanego piłkarza jednej z łódzkich drużyn.

— Przecież oni muszą jutro grać — powiadam naiwnie z niejakim zdziwieniem.

— Wytrzeźwieje — uspokaja mnie taksówkarz i dodaje — oni wszyscy piją.

— A nie próbował pan mu powiedzieć, że źle robi? — moja naiwność osiąga już szczyty. Taksówkarz wzrusza tylko ramionami. — Od czego jest klub, trener, koledzy! Myśli pani, że oni o tym nie wiedzą?

Na przystanku tłum. Ludzie czekają na tramwaj. W bramie jakiś młodzieniec tłucze drugiego. Ludzie oglądają się za siebie i szybko odwracają głowy. Nie ulega wątpliwości, że obaj młodzieńcy są pijani. Jakiś starszy pan mówi półgłosem do swego towarzysza: — Pijackie porachunki. — Obaj odchodzą, aby być jak najdalej od bijatyki. Wszyscy witają cichym westchnieniem ulgi nadjeżdżający tramwaj. Lepiej nie mieszać się do cudzych porachunków i nie być świadkiem. Po sądach później będą ciągać i jeszcze można oberwać od kolesiów poszkodowanego lub oskarżonego.

W „Rzeczywistości" Bożena Krzywobłocka uznała za stosowne przypomnieć „niezapomnianego facecjonistę, a głównie znakomitego narciarza Zdzisława Motykę. Potrzebne jej to było, aby zacytować jedno z powiedzeń Zdzisława Motyki. Było to na balu sylwestrowym w Zakopanem. „...tuż po północy, gdy rozbawione towarzystwo miało już dobrze w czubie, po schodach prowadzących do sali balowej zaczęła schodzić elegancka starsza pani, Motyka ujrzał damę i zawołał: — Panowie, rany boskie, stary rok wraca." Jak się ma w czubie, to się różne rzeczy wykrzykuje, ale jak się wytrzeźwieje, to się później tego wstydzi. Dobry obyczaj — i nie tylko — nakazuje bowiem nie kpić ani z nazwiska, ani z czyjegoś wieku, bo to od człowieka jest niezależne i każdy będzie stary. Ale Bożena Krzywobłocka udaje, że o tym nie wie. Nie podobają jej się panie w „wieku, który dawniej uznany był za kanoniczny". Takie panie — jej zdaniem — występują w „Tygodniku Powszechnym" i Polskim Radiu. Nazwisk nie wymienia, bo już jej pewnie odwagi nie staje. Każe się jedynie domyślać o kogo chodzi. Taki więc Mieczysław R. Olbromski w spódnicy! Jeśli się już z kimś chce walczyć, to fair play, przy pomocy argumentów, a nie tylko z tego powodu, że popadł w wiek kanoniczny. Każdy popadnie, Bożena Krzywobłocka nie jest wyjątkiem.

Obojętność wobec naszych przywar może doprowadzić do nieszczęścia, a nawet zbrodni. We Wrocławiu głośna jest sprawa dziewczyn żużlowców ze „Sparty". Czterech z nich stanęło przed prokuratorem. Nie, przepraszam, czwarty, Henryk Fiedor wyjechał z kraju i nie ma chęci wrócić, aby stanąć przed prokuratorem. Natomiast trzej pozostali stanęli. Są to: Henryk Zieja, Piotr Masłowski i Marek Przybora. O co są oskarżeni? O gwałt!

Całą sprawę szczegółowo opisał Daniel Damian Grassant w „Sprawach i Ludziach" w artykule pod tytułem „Idole czarnego toru", a Ryszard Niemiec w krakowskim „Tempie" w felietonie pt. „Burdel na kółkach" wołał, aby żużlowców „Sparty" wyprowadzić na trawnik przed Stadionem Olimpijskim i „wybatożyć solidnie po gołej dupie". Zabieg to starodawny, ale ponoć skuteczny. Sądzę jednak, że dziś już za późno na batożenie. Henryk Zieja był już karany za gwałt przed 10 laty. Może wówczas batożenie by pomogło. Ale jakoś wszyscy przeszli do porządku dziennego nad wyczynami, młodego wówczas żużlowca.

Gwałty się u nas niestety zdarzają. Gwałcą nie tylko żużlowcy. Ale w seksualnych wyczynach żużlowców zadziwiające jest, że dla wielu ludzi nie było to tajemnicą. Zresztą raz zgwałcone dziewczyny wracały do żużlowców, wyjeżdżały z nimi na weekendy, były ponownie gwałcone, znów wyjeżdżały, chodziły z nimi do ich domów, znów były gwałcone. Może one po prostu to lubiły? Jedna z „dziewczyn żużlowców" „Sparty" powiedziała o tym matce innej dziewczyny, którą kilka razy zgwałcono, a matka nie zareagowała. Widać uznała, że to nie jej sprawa, choć dziewczyna nie miała 18 lat. Dziewczyny na ogół były dobierane spośród wyrośniętych nastolatek.

Żużlowcy „Sparty" naruszyli prawo, naruszyli obyczaje i muszą ponieść karę. Zadecyduje o tym sąd. Ale to jedna strona zagadnienia. A druga — to klub, rodzice, środowisko. Co ci ludzie, a jest to niemała gromada, na to wszystko? Czy nie czują się współwinni, bo byli obojętni?

To pytanie dotyczy nie tylko ludzi zamieszanych w sprawę czterech żużlowców wrocławskiej „Sparty".

BOGDA MADEJ

RAPIER NAPOLEONA (11)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Obudziła się z pierwszym brzaskiem. Leżała bez ruchu z głową na podgiętym, odrętwiałym ramieniu wdychając nie bez przyjemności zapach własnego ciała i wpatrując się w nieznany apartament. Delikatna, pastelowa tapeta mogła skojarzyć się od biedy z buduarem gwiazdy filmowej niewysokich lotów. Nocny stolik u wezgłowia także sprawiał miłe wrażenie — przykrywał go blat z żyłkowanego marmuru, a szufladka inkrustowana była masą perłową. Uchylone na korytarz, przybrane różową zazdrostką drzwi tchnęły ciszą i spokojem. Ładnie tu. Bardzo ładnie. Jednakże przytłumione snem wspomnienia pozostawiały na plażach pamięci same tylko odpadki i brud.

Przekręciła się ostrożnie na drugi bok, twarzą do aktora, który spał półodkryty z rogiem kołdry wciśniętym pomiędzy krągłe, opalone kolana. Nie czuła niechęci. Ale była także daleka od sentymentów. Ktoś inny na miejscu tego wiecznego, amerykańskiego chłopca, który nie zestarzeje się prawdopodobnie do śmierci, a i po niej, w trumnie, zaciągnięty po szyję białym całunem ciągle jeszcze będzie wyglądał jak skrzywdzone bobo — uderzyłby ją zapewne, gdyby otworzył nagle oczy i przyłapał jej wzrok. Było w nim (o wzroku mowa) akurat tyle tkliwości, co ironicznego pobłażania. Bo też z kim znalazła się w łóżku? Jezu kochany! Miał chyba wokół siebie jako dzieciak zbyt dużo kobiet i ani jednego prawdziwego mężczyzny takiego co to jeździ konno, poluje, wypija do kolacji flaszkę whisky i daje nieraz w zęby sąsiadowi. Zacałowały, zapieściły go te wszystkie matki, niańki i ciotki, i teraz, kiedy minął czterdziestkę, odpłacał tym samym każdej poznanej dziewczynie.

Na ekranie wcielał się w silne i szlachetne charaktery. Był szybki, krzepki, sprawny fizycznie, niezaprzeczalnie przystojny, z twarzą czystą uczciwą i gładką. W miłości jednak co tu dużo gadać, okazał się skończonym patałachem. Trzeba mieć doprawdy anielską cierpliwość, aby wejść z takim pod kołdrę i przeleżeć tam bite trzy godziny bez żadnego celu. Ot, dialogowali przyjemnie:

— Kocham cię, maleńka.

— Daj spokój, Robert.

— Naprawdę cię kocham.

Cmok, cmok. W czoło, w usta. Zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się do niego całym ciałem i wcisnęła mu kolano pomiędzy masywne uda. Chciała mieć to po prostu za sobą, ale gwiazdor wciąż uderzał w swój szlachetny, ckliwy ton.

— Nie jestem taki, jak inni.

— A jacy są inni?

— Cyniczni, egoistyczni wyrachowani. — Cmok, cmok. — Zależy im tylko... no, wiesz, na czym im zależy. A ja widzę w kobietach coś więcej.

— Pocałuj mnie, Robert. Mocno.

Cmok, cmok.

— Kocham cię, Korsyko.

— Daj mi swój język.

— Co?

— Nic. Rozchyl trochę zęby. Szerzej!

— Żebyś wiedziała, jak cię kocham. Sam nie mogę zrozumieć, jak to się stało. Szłaś z Anglikiem przez hall a ja pomyślałem: Oto jest kobieta mojego życia. Muszę ją zdobyć.

— Więc zdobądź mnie, Robert.

— Chciałbym posiąść twoje serce i duszę.

— Zacznij raczej od tego, co masz pod ręką.

— Rozwiodę się.

— Co ty powiesz?

— I zostanę z tobą na zawsze. — Cmok, cmok. — Jesteś taką miłą, ciepłą i piękną. Gdybyśmy zamieszkali razem i dzielili co noc łoże, ani na chwilę nie wypuściłbym cię z uścisku. Spałabyś zawsze z głową na moim ramieniu tak, abym czuł przez cały czas zapach twojego ciała, i aby nigdy nie nękały nas złe sny.

— Jesteś uroczym, amerykańskim chłopcem, Rob, ale ja wolę raczej sypiać sama i teraz, prawdę mówiąc...

Ziewnęła. Gwiazdor tymczasem, mistrz nieśmiałych pieszczot i niewinnych pocałunków, nie przekraczających nigdy granic obojczyka, uszczęśliwiał ją w dalszym ciągu.

— Tylko miłość jest coś warta w życiu, Korsyko. Zgadzasz się?

— Oczywiście.

— I mogłabyś mnie pokochać?

— Boże, Robert, jestem tak strasznie zmęczona. Czy nie moglibyśmy zdrzemnąć się trochę.

— Yes, moja śliczna mała dziewczynko. — Cmok, cmok. — Ale powiedz... chciałabyś mieć ze mną dzieci?

— A stać cię na to, chłopczyku?

Gwiazdor, któremu nie brakowało skądinąd refleksu, pobiegł myślą w inną stronę.

— No wiesz, jestem raczej zamożny — powiedział.

— Nie o to chodzi.

— A o co?

— Odpręż się, Boby.

— Jak?

— Tak.

Odsunęła na bok muskularne ciężkie udo mężczyzny i błądziła koniuszkami palców w gorącej, lekko spoconej kępce owłosienia.

— Och!

— Ach!

— Korsyko!

— Co, maleńki?

— Kocham cię! Kocham! Kocham!

— Jakoś tego nie widać.

— Nie jestem taki, jak inni.

— Już to mówiłeś.

— Seks nie ma dla mnie uuu!

— Czego nie ma dla ciebie?

— Znaczenia bez podłoża prawdziwej, serdecznej miłości.

— Tu ci wierzę — parsknęła dziewczyna.

— Drwisz ze mnie?

— Skąd!

— Słyszałem, że na dobrą sprawę uczciwym kobietom zbliżenia fizyczne w ogóle nie są potrzebne do szczęścia.

— Kto ci to powiedział?

— Istoty, którym wierzyłem i które głęboko szanowałem.

— Matki, niańki i ciotki?

— Nie, Korsyko. Siostry.

— Dużo miałeś sióstr?

— Cztery.

— Nie były przypadkiem lesbijkami?

Aktor popatrzył na nią z wyrzutem. Szepnął:

— Trzy wyszły za mąż i doczekały się potomstwa.

— A czwarta?

— Zmarła kilka lat temu na białaczkę.

— Przepraszam.

— It does not matter. One mówiły, że tym, czym dla mężczyzny jest stosunek płciowy, dla kobiety jest pocałunek w usta.

— I nic więcej?

— Czasami jeszcze przytulenie, pieszczota, dotyk ręki.

— I czego ta ręka ma dotykać? No, śmiało, dotknij mnie, Boby. To nie gryzie!

Gwiazdor westchnął i przytulił policzek do gorącej, dziewczęcej szyi. Wtedy przewróciła go na wznak, uklękła nad nim jak pobożny muzułmanin składający się w południe twarzą na wschód do modlitwy i powoli, delikatnie, cierpliwie, powtarzając raz po raz: — Nie myśl o niczym, maleńki. Uspokój się. — obdarzała go pieszczotą obydwu swoich rąk, wszystkich dziesięciu wprawnych dociekliwych palców, które nie ustawały w tej samarytańskiej zgoła choć na pozór beznadziejnej akcji tak długo, aż coś tam zaczęło się dziać. Piękna, męska, nie zniewieściała bynajmniej twarz czterdziestoletniego chłopca, któremu — jak można było przypuszczać — oddawały się w marzeniach sennych co noc tysiące wielbicielek stężała i swardniała pod zaciśniętymi oczami wyskoczyły niteczki zmarszczek, czerwone, miękkie i szerokie wargi odjechały jedna od drugiej prezentując dwa rzędy wspaniałych. Bóg jeden wie: nylonowych czy prawdziwych zębów a w ich szczelinie sterczał wstydliwie koniuszek języka, który baraszkował teraz, coraz śmielej, z szorstkim językiem dziewczyny.

Wprowadziła go w siebie po czym zanurzyła ręce w bujnych złocistych włosach aktora przekręciła mu głowę na bok i zaczęła całować go w ucho, wykonując przy tym wszystkie te rytmiczne czynności, które normalnie powinien wykonywać mężczyzna.

Małżowina uszna była zaśliniona i mokra od pocałunków. Niestrudzony język Korsyki pracował głęboko i bez wytchnienia. Gwiazdor jęczał.

— Boże.

— Cii.

— Ja zwariuję.

— Złóż kolana i nie ruszaj się.

— Kocham cię, kocham, kocham.

— Spokój, Boby.

— Ożenię się z tobą, o matko!

I już było po wszystkim. Wydał przeciągły zwierzęcy skowyt, a potem zmiękł i zwiotczał pod nią jak położony na łopatki zapaśnik. Gdyby włączyć stoper, właściwa akcja trwała około piętnastu sekund. Dziewczyna nie żywiła złudzeń. Owszem, mogłaby przy odrobinie szczęścia powtórzyć z aktorem ten szalony, seksualny wyczyn, ale nie wcześniej, jak za jakieś dwa — trzy dni. Aby zrobić z niego mężczyznę, trzeba by kilku miesięcy, kto wie — może kilku lat. Nie, tak dużo czasu, to ona nie miała. Niech go dalej szkolą siostrzyczki. Zaśmiała się wesoło i radośnie.

— Fontanna — powiedziała.

— Co masz na uwadze? — zapytał głosem, który zdawał się świadczyć, że myśl o długiej i pokrzepiającej drzemce nie była mu wstrętna. — Fontanna?

— Tak.

— Gdzie?

— Tu. — Dotknęła go śmiało, a potem, unosząc ostrożnie dłoń, wyjaśniła: — Jesteś prawdziwą fabryką plemników, Robercie.

— To dobrze, czy źle?

— Wspaniale. Będziesz miał na pewno całą furę dzieciaków.

— Z tobą?

— Kto wie...

Weszła do łazienki. Kiedy wróciła owinięta w duży, frotowy ręcznik, spał. Przebiegła wzrokiem zakamarki pastelowego apartamentu. Nie było wina, nie było whisky, nie było papierosów. Siostrzyczki wytłumaczyły mu widocznie, że to grzech. Pewnie jadał tylko cztery jajka tygodniowo, unikał zawiesistych sosów i brał co trzeci dzień na przeczyszczenie. Chadzał również regularnie do psychiatry, dentysty i kardiologa. Gimnastykował się, pływał, przebywał dużo na świeżym powietrzu. Krótko mówiąc — rokował poważne nadzieje, iż w wieku stu lat weźmie jeszcze udział w biegu maratońskim na nowojorskich ulicach i przetnie linię mety jako pierwszy.

Uniosła kołdrę. Wstrząsnęła się lekko na widok mokrego i potarganego prześcieradła. Przykryła je ręcznikiem i położyła się na skraju łóżka, daleko od parujących pleców mężczyzny. Spała około dwóch godzin, no a teraz, o pierwszym brzasku, który wpadł do pokoju przez szparę w ciężkich, aksamitnych kotarach, patrzyła z litością na swego gwiazdora.

Wstała. Śmiałe i zdecydowane odgłosy w sąsiednim pokoju świadczyły, iż para jakichś nieznanych kochanków przypomniała sobie, że życie nie jest znowu takie długie i że trzeba z niego skwapliwie korzystać. Kobieta pojękiwała lubieżnie, mężczyzna sapał, jakby walczył rozpaczliwie o każdy następny oddech wiedząc z góry, że jest to walka beznadziejna i przegrana.

Grube hotelowe mury nie były o tej wczesnej porze na tyle szczelne, aby stłumić żarliwe słowa zakochanych, ugniatających łóżko z pasją nowożeńców, którzy dorwali się do siebie po długim okresie czekania.

— Kochasz mnie?

— Bardzo.

— Jak bardzo?

— Bardzo, bardzo!

— Do tego jednak, co było między nami, nie przyznawał się nawet przed sobą.

— Oczywiście, że nie kwiatuszku.

— Ale będziesz mnie kochał?

— Zawsze.

— Bardzo?

— Bardzo.

— Jak bardzo?

— Bardzo, bardzo.

— Jesteś słodki. Wiesz, gdyby mój mąż...

— Bardzo lubię twojego męża.

— Ja też lubię go. Bardzo.

Bardzo, bardzo, bardzo! Zszargane kołdry, wytytłane poduszki, mokre i poznaczone zaciekami prześcieradła, odór perfum przemieszany z odorem potu, dużo pięknych słów — zaklęć i przyrzeczeń, dużo niepotrzebnych kłamstw i złudzeń. Wielce Szanowny Pan Seks i Wielce Dostojna Pani Miłość padli sobie w ramiona i zjednoczyli się w serdecznym uścisku. Szybciej, mocniej, wolniej, nie tak brutalnie. A potem spacer do łazienki. Mnóstwo różnych kolorowych łazienek w których można pozbyć się brudu, mnóstwo łazienek, w których pozbywasz się wyrzutów sumienia. Byłam w łazience, weszłam do łazienki, wyszłam z łazienki, pójdę do łazienki zamknę się w łazience, zrobię sobie teraz pyszną kąpiel z pianką koteczku, wezmę tusz siądę na bidecie, żeby wypłukać twoje rozkoszne aniołeczki.

Słodka ohyda. Korsyka umyła starannie zęby, a potem włożyła na siebie kolejno: majtki, męską wiśniową koszulę o podkasanych rękawach, luźną lejącą się między udami spódniczkę i proste, skórzane sandały. Wyglądała teraz dokładnie tak, jak w chwili, kiedy spotkała się na ustronnym parkingu z niejakim panem Matthew, osobistym sekretarzem wybitnego reżysera. Zagryzła wargi. Ohyda. Zdecydowana i bezdyskusyjna ohyda. Seks widocznie musi być ohydny — wyuzdany, perwersyjny, sprośny, lubieżny, cuchnący i mokry. Gdyby wysterylizować go, odkazić i uwolnić od wszystkich tych przywar, księża zalecaliby go wiernym podczas uroczystych mszy w kościołach jako najlepszy rodzaj wieczornej rozrywki. Nie byłby po prostu grzechem. Straciłby na słodyczy. Opadłyby z niego wszystkie kloaczne słowa, którymi posługują się w łóżkach szukający wciąż nowych, wciąż silniejszych podniet kochankowie. W szaletach miejskich, na ławkach szkolnych i na murach domów zabrakłoby nagle sugestywnych rysunków, które tak bardzo podkręcają wyobraźnię. Burdele splajtowałyby w ciągu kilku miesięcy sutenerzy staliby w długiej kolejce pod drzwiami urzędu do spraw zatrudnienia, a prostytutki przypomniałyby sobie, że oprócz nóg i tyłka mają także ręce, którymi ewentualnie można zarobić na chleb.

Świat byłby wtedy piękniejszy i uczciwszy, lecz przyrost naturalny zjechałby do zera, a gatunek ludzki zniknąłby z powierzchni ziemi.

Siedziała w fotelu i patrzyła na czyste, spokojne oblicze aktora. Zastanawiała się chwilę czy nie podgląda jej przez zmrużone powieki. Chyba nie. Śpi. Żaden symulujący osobnik nie ma tak uduchowionej, nieobecnej twarzy. No i nie oddycha tak głośno, głęboko i rytmicznie. Rozdziawił trochę usta i wydmuchiwał bąbelki śliny. W normalnych warunkach nie pozwoliłby sobie na takie faux pas.

Dobrze. Przeszukała torebkę z nadzieją, że zaplątał się w niej jakiś zapomniany papieros. Nie zaplątał się jednak. Trudno. Bolała ją głowa. Ucisnęła lekko skronie dużymi palcami lewej i prawej ręki. Rozmyślała. Sumienie wystawiało rachunek więc drocząc się z nim. Fakt, nagrzeszyła ostatnio. Ale kto o tym wie? Patrick nie byłby oczywiście zachwycony. Chryste! nikt nie byłby zachwycony. Trzeba z tym skończyć wrócić jak najprędzej do Paryża i poczekać spokojnie na jakieś prawdziwe trwałe uczucie. Dość ma prawdę mówiąc, wszystkich tych zmian. Za dużo ich i coraz łatwiej przychodzą. Jeszcze trochę i zostanie... Tak! Powoli, niedostrzegalnie zmieni się wokół niej atmosfera — jedni zaczną jej unikać inni pozwolą sobie na wymowne skrócenie dystansu. No i wcześniej czy później ktoś wymówi to słowo.

Wzdrygnęła się. Wykształcenie i uroda nie mają tu nic do rzeczy. Coś zmienia się po prostu w tobie, zalega się korodując mózg i duszę i nie uciekniesz przed tym nawet na skraj świata.

Nigdy więcej żadnych artystów — myślała. — Żadnych przeklętych reżyserów, aktorów i operatorów, malarzy i... perkusistów.

A potem szepnęła cicho:

— Patrick. Moja najdroższa perkusyjna pałeczko.

C.D.N.

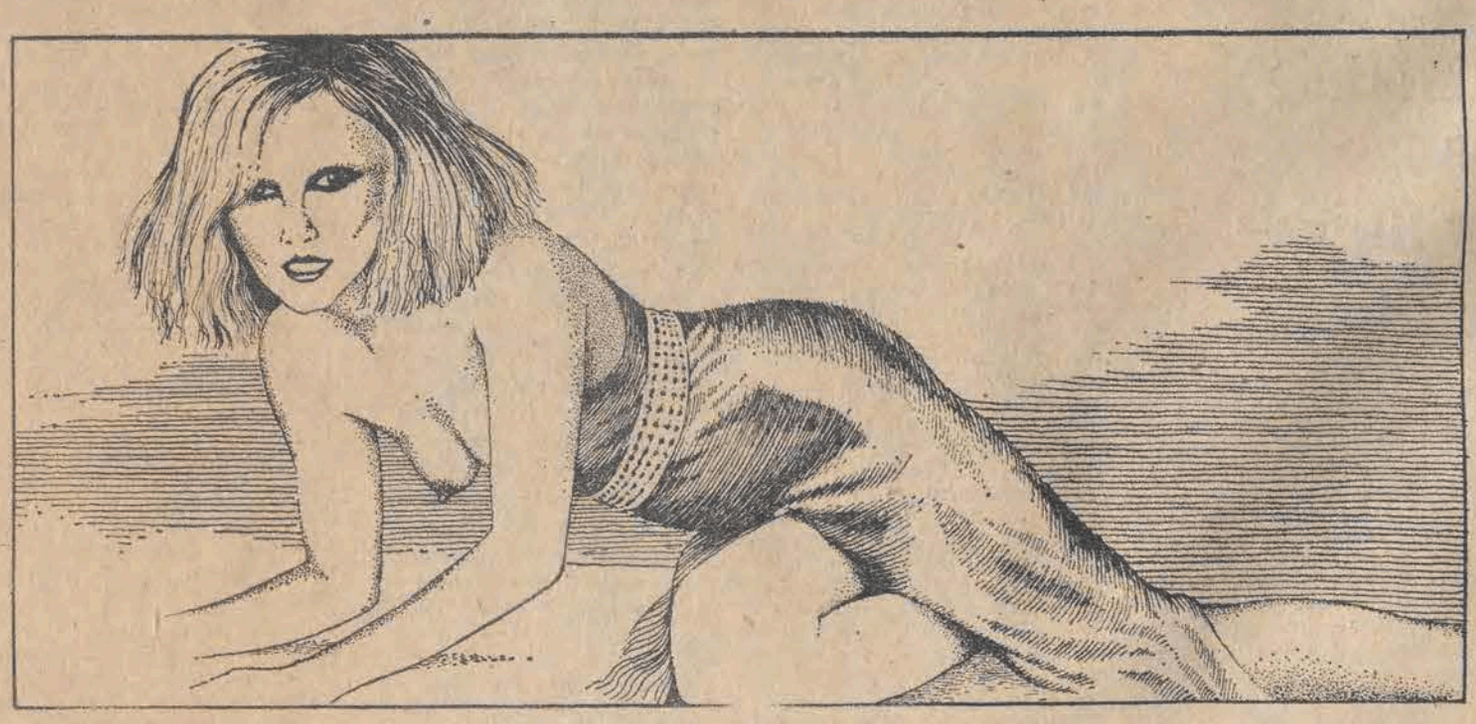

Rys. Janusz Szymański-Glanc